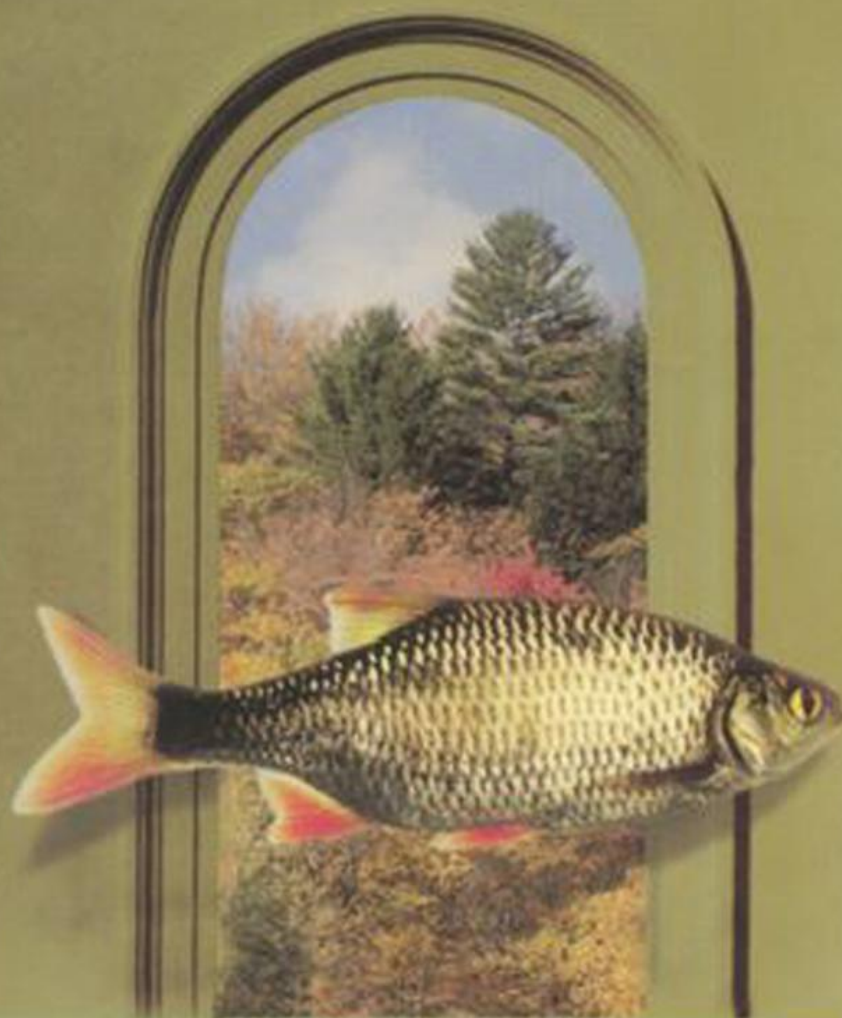


BB

OTA
PAVEL

Śmierć pięknych saren



Ota Pavel

Śmierć pięknych saren

Smrt krásných srnců
Jak jsem potkal ryby

Przełożyli:
Andrzej Piotrowski
Józef Waczków

Spis treści

Śmierć pięknych saren

[Najdroższa w Europie środkowej](#)
[W służbie Szwecji](#)
[Śmierć pięknych saren](#)
[Karpie dla Wehrmachtu](#)
[Jak współzawodniczyliśmy z Wilkami](#)
[Ostateczne rozwiązanie kwestii robactwa](#)
[Prosięcia nie będzie](#)
[Króliki o mądrych oczach](#)

Jak spotkałem się z rybami

[Dzieciństwo](#)
[Koncert](#)
[Czarny szczupak](#)
[Moja pierwsza ryba](#)
[Pojedynek na szczupaki](#)
[Koło Skaly Szymów](#)
[Jak z tatusiem uraczyliśmy węgorze](#)
[Prawdziwki](#)
[Mogę cię nawet zabić](#)
[Długa Miła](#)

Odważny młody człowiek

[U Proszków po wojnie](#)
[Mały pstrąg](#)
[Długi Honza](#)
[Łodzią podwodną na ryby](#)
[Palamidy](#)

Powroty

[Pumperdentlich](#)
[Żelazko](#)
[Przyjeźdź, fantastycznie biora](#)
[Złodziej wędek](#)
[Jak zgineliśmy na rybach](#)
[Jak nie zgineliśmy na rybach](#)
[Buty made in Italy](#)
[Złote węgorze](#)
[Epilog](#)

Śmierć pięknych saren

Najdroższa w Europie środkowej

Moja mamusia strasznie chciała przed wojną pojechać do Włoch. Marzyła nie tyle o zobaczeniu rzeźb Michała Anioła i obrazów Leonarda da Vinci, ile o kąpeli w ciepłym morzu. Bo mama pochodziła z Drzynia koło Kładna, gdzie znajdował się jedynie nędzny kaczycy stawek, pokryty gęsto żabim skrzekiem, i jako mała dziewczynka nigdy w nim kąpeli nie użyła. Tak więc co roku na wiosnę pytała tatusia:

- No i co, Leonku; pojedziemy w tym roku?

Mój tatuś, Leon, odpowiadał zazwyczaj, że właśnie w tym roku nie mamy dość pieniędzy, i tłumaczył, że - jego zdaniem - nad Berounką koło Krzywoklatu jest znacznie lepiej. Mój tatuś miał bowiem całkiem inne zmartwienia. W centrum jego zainteresowań znajdowały się: handel i ryby. I w jednym, i w drugim wyróżniał się wprost nadzwyczajnie, rybom jednak dawał pierwszeństwo ku wiecznej szkodzie naszej rodziny, a także szwedzkiej firmy "Elektrolux", w której pracował jako agent-komwojazer sprzedający lodówki i odkurzacze. Często po prostu zbaczał ze szlaku podróży handlowej i znajdowano go najczęściej nad Berounką, gdzie wraz ze swoim najlepszym przyjacielem przewoźnikiem Karolem Proszkiem łapał szczupaki na okonki.

Tę właśnie jego miłość do ryb ukoronowała decyzja zakupu stawu dla naszej rodziny, i to stawu wraz z karpiami. Będziemy mieć nie tylko swoje własne karpie, ale jeszcze na ich odłowieniu zarobimy mnóstwo pieniędzy. Mamusia na całe to przedsięwzięcie patrzyła dość sceptycznie i ostrzegała tatusia, żeby się za to nie brał, bo to nie jego branża. Ale zbytnio nie protestowała, tatuś przy takich okazjach na ogół sporo krzyczał, tylko pozwoliła sobie w końcu na uwagę, czy za te pieniądze nie powinniśmy raczej pojechać do Włoch. Tatuś nawet nie raczył się odezwać, obrzucił ją tylko odmownym spojrzeniem, był bowiem przekonany, że na interesach zna się lepiej niż mamusia i wszyscy jej aryjscy krewni razem wzięci. W spojrzeniu tym zawierała się tysiącletnia mądrość przodków i ten nagi fakt, iż za pieniądze, jakie na karpkach zarobimy, będziemy mogli pojechać do Włoch, i to wraz ze wszystkimi krewnymi. Muszę tu zauważyć, że tego mamusia obawiała się najbardziej.

No i tatuś zaczął się rozglądać za odpowiednim stawem. Oczywiście, już go sobie wyobraził, a obraz ten zrodził się w jego głęboko wrażliwej duszy. Staw otoczony pochylonymi nisko wierzbami, tu i ówdzie grążele w kształcie serca z żółtymi kielichami kwiatów, a w prześwietlonej słonecznymi promieniami wodzie pływają karpie wielkie jak cielęta. W pogoni za owym wyśnionym obrazem tatuś przypominał pszczołę w pogoni za pyłkiem. Przewędrował szmat kraju, ale takiego stawu na sprzedaż nie znalazł.

Dopiero w Kroczehlawach przyszedł do niego dobry znajomy, pan doktor Jakubczyk, ogromne, tęgie chłopsko z wąsami. Pan doktor zwracał się do tatusia per panie inspektorze, bo miał on wówczas - Bóg jeden wie dlaczego - tytuł inspektora.

- Panie inspektorze, nie kupiłby pan moich ryb?

Tatuś drgnął.

- A ile by to kosztowało, panie doktorze?

Pan doktor:

- Dziesięć tysięcy. Przyniosę rachunki, aby pan zobaczył, ile przed laty zapłaciłem za małe karpiki. Oczywiście od tego czasu sporo podrosły. Zresztą sam pan zobaczy.

Tatuś na to:

- Ależ ja panu wierzę, panie doktorze.

A pan doktor:

- Proszę ze mną, pokażę panu, jakie tam są karpie.

Poszli więc, a już po drodze obudziło się w moim tatusiu przecucie, że to właśnie to. Było to owo niezawodne przecucie, które podpowiadało mu z góry, gdzie sprzeda lodówkę, a gdzie odkurzacze, gdzie zaś na próżno będzie dzwonić czy pukać. Tak jak wyczuwał z daleka dobry interes, tak i tym razem przeczuł swój wymarzony staw, a w nim grubaśne, pękate karpie.

Zatrzymali się na grobli i pan doktor Jakubczyk pozwolił tatusiowi rozkoszować się widokiem.

Rozpościerał się przed nim niewielki prostokątny staw, na brzegu jasnozielone wierzby pochylały ku spokojnej wodzie swoje gałęzie, a na tafli tu i ówdzie leżały grążele o żółtych kwiatkach.

Tatuś westchnął, a jego przyjaciel, pan doktor Jakubczyk, powiedział znacząco:

- A teraz kolej na karpie.

Wyciągnął w kieszeni bułkę. Rozłamał ją i połowę rzucił tuż koło grobli. Pan doktor uśmiechał się zapewne, a tatuś nie spuszczał bułki z oczu.

Nagle toń otworzyła się, pojawiło się wielkie żółte cielsko i ogromna paszcza zrobiła: klap! I bułka zniknęła.

- Na miłość boską! - jęknął tatuś. - On musi ważyć co najmniej pięć kilogramów!

A pan doktor oświadczył stanowczo:

- Sześć!

I to zdecydowało. Tatuś wpadł do domu po wszystkie nasze oszczędności i mama mogła się pocieszać już tylko tym, że posiadamy własny staw z własnymi karpiami. Staw miał jedną złą stronę: znajdował się daleko od Pragi.

Jednakże od tego dnia tatuś często promieniał radością, i niekiedy uśmiechał się tajemniczo i mamusia mówiła, że znów jest duchem przy swoich karpkach w Kroczehlawach. Mama zawsze miała zrozumienie dla słabostek tatusia i dlatego godziła się na nie kończące się rozmowy o tym, jak to karpie rosną i przybierają na wadze.

Tatuś zacierał ręce.

- Herminio - przekonywał mamusię - my na tych karpkach zrobimy kokosy! Kokosy, mówię ci!

Nie bardzo rozumiałem, co to znaczy kokosy, ale musiało to być coś pięknego i wspaniałego, bo tatuś uśmiechał się błogo i gładził mamusię po rękę.

Zbliżała się jesień, a wraz z nią pierwszy odłów w naszym stawie. Cała rodzina, a przede wszystkim tatuś, szykowała się na ten dzień jak na wielkie święto. Tatuś poprosił w swojej firmie "Elektrolux" o dzień urlopu.

Pan dyrektor spytał:

- Na ryby, co? Znowu na ryby? To pana kiedyś zgubi, panie inspektorze...

A mamusia specjalnie na tę okazję uszyła sobie modny płaszcz z koworkotu. Musiała zaprosić dwóch swoich szwagrów robotników, krzepkich i przysadzistych, Karola Koprzywę i Karola Hruzę. Powierzono im ważne zadanie: mieli stać na grobli i pilnować, by nikt nie kradł wyłowionych karpki. Przyjechali nad staw z rodzinami. Do odłowu karpki mój tatuś najął zawodowego rybaka, pana Stehlika ze Smichowa. Przyjechał z ośmiu mężczyznami, odzianymi od stóp do głów w gumowe stroje. Pan Stehlik, tęgi, stary i doświadczony człowiek, uwielbiał porządek. To, co zaczęło się teraz dziać na grobli owego idyllicznego stawu z wierzbami i grązelami, przypominało raczej działania wojenne przeciwko nieznanemu przeciwnikowi. Na grobli stały dwa pięciotonowe samochody marki praga, na nich butle z tlenem i specjalne kadzie do przewozu karpki. Po grobli poruszali się bezszelestnie gumowi mężczyźni i rozkładali sieci.

Woda powoli wyciekała ze stawu, a tatuś spodziewając się pokaźnego zarobku ze sprzedaży karpki, które obiecał przedsiębiorstwu "Wańha", częstował gości.

Na drugie śniadanie - parówki na gorąco, bułki. I dwie beczki piwa. Na obiad wybrano się do restauracji Nejedlego. Po kolejnych kuflach piwa nastrój wyraźnie się poprawił. Tylko tatuś nic nie pił, nigdy nie lubił pić.

O trzeciej po południu na grobli stały setki gapiów, a w stawie pozostało już niewiele wody.

Pan Stehlik dał rozkaz do ataku. Jeden z rybaków zadał w złotą trąbkę i odłów się rozpoczął. Sieć wygięła się w ogromny łuk, a korki pływały po powierzchni wody jak kaczki. Pan Stehlik rzucał rozkazy, a gumowi pajace, przypominający marionetki na drutach, poruszali rękami raz w tę, raz w tamtą stronę. W miarę jak zbliżał się finał, napięcie wśród widzów rosło.

Przestrzeń z karpkami zwężała się do niewielkiego kręgu. W tej chwili powierzchnia wody powinna zafalować od rzucających się ryb, ale nic takiego się nie zdarzyło. A tatuś, który doskonale znał się na tych rzeczach, bladł coraz bardziej i na czoło występowały mu krople potu.

Rybaczy zacieśniał krąg, tak że w końcu korki zbliżyły się do siebie ze wszystkich stron. W sieci nie było absolutnie nic. A jednak! Na granicy wody i błota coś się poruszało. Pan Stehlik zręcznie chwycił to podbierakiem i uniósł w górę. Karp. I to jaki! Tatuś poznał karpki, jęknął, a grobla wybuchnęła gromkim śmiechem. Wszyscy wówczas rechotali prócz mojej mamy i mojego tatusia.

Mamusia musiała tę hańbę przeżywać szczególnie boleśnie, długo mieszkała nad Drzyną, a Kroczehlawy były jej miastem rodzinnym. Przyciskała nas do piersi i szeptała:

- Moje biedne dzieci. Gdybyście wiedziały, jakiego macie tatę!

Tatuś tymczasem zbiegł nad staw, stanął nad chwytającą powietrze rybą i przyglądał się jej, tak jakby widział karpki po raz pierwszy w życiu. Pan doktor Jakubczyk nie kłamał: karp ważył sporo ponad sześć kilogramów, od tego czasu, kiedy tatuś kupił staw, znacznie przytył.

Tatuś pognął do willi pana doktora Jakubczyka, zdecydowany całą tę sprawę załatwić po bokszersku, tak jak to robił: pan Franciszek Nekolny.

Otworzyła mu służąca.

- Pan doktor wraz z panią wyjechali na wakacje do Włoch!

- Za moje pieniądze pojechali. I to do Włoch.

Tego dnia mieliśmy karpki na kolację. Oczywiście mamusia i tatuś nie rozmawiali ze sobą i dopiero kiedy tatuś oświadczył z nadętą miną: "Skorośmy za niego zapłacili, to go sobie, dziatki miłe, zjemy!", mamusia

zauważyła z wściekłością, że nawet dla pana Rothschilda, współwyznawcy tatusia, byłaby to wybitnie droga kolacja. I na pewno miała rację. Prawdopodobnie był to najdroższy karp nie tylko w Czechosłowacji, ale w całej Europie środkowej. Kosztował mojego tatusia - wliczając koszty odłowu - dokładnie jednaście i pół tysiąca, za które to pieniądze - dodała mamusia pod koniec kolacji - moglibyśmy mieć żywe łosie sprowadzone wprost z Kanady.

Gniew tatusiowi minął i do pojedynku bokszerskiego z panem doktorem Jakubczykiem nie doszło.

Minęło wiele lat. Tatuś sprzedawał lodówki oraz odkurzacze i jeździł: na ryby nad Berounkę.

Pewnego dnia siedział sobie znów w swoim biurze przy ulicy Konwiktowej, a tu ktoś puka do drzwi.

- Proszę - powiedział tatuś.

I wszedł... pan doktor Jakubczyk.

Tatuś poczerwieniał, zrazu chciał go zacząć okładać pięściami, ale wkrótce się uspokoił. Uświadomił sobie, że pan doktor nie ma już wąsika.

- Panie inspektorze, panie inspektorze - zaszczębiotał pan doktor. - Jak się pan ma? Tak dawno się nie widzieliśmy.

Tatuś chciał odpowiedzieć, że miał się znakomicie, bo ciągle jadł te karpie, co mu je pan doktor sprzedał, ale nie powiedział nic. Coś mu szeptało, aby poczekał, że to najważniejsze dopiero przyjdzie.

I rzeczywiście: w końcu pan doktor Jakubczyk wyznał, że jego żona pragnie mieć lodówkę.

- Przyszedłem do pana, panie inspektorze. Wiem, że pan nam najlepiej doradzi, bo pan przecie z naszych stron.

I uśmiechnął się do tatusia.

- Oczywiście, panie doktorze, to moja branża zaświergotał tatuś i dodał: - Polecam panu typ GV, system Platr-Munters z marmurową płytą. Cena: dziesięć tysięcy trzysta pięćdziesiąt koron.

Pan doktor Jakubczyk nie miał zielonego pojęcia o cudownym systemie Platr-Munters, ale gorliwie przytakiwał. Tatuś zaprowadził go później do sklepu, aby mu tę lodówkę pokazać, i pan doktor był niezwykle zadowolony, najbardziej podobała mu się ta marmurowa płyta. Tatuś wziął go znów do swojego gabinetu, poczęstował koniakiem, cudownie im się gwarzyło, po czym pan doktor opowiedział tatusiowi, kto rozwiódł się, kto ożenił, kto umarł, a kto urodził w Kroczehlawach, tatuś zaś rewanżował mu się żydowskimi anegdotami o panach Apfelbaumie i Rappaporcie. Kiedy pan doktor Jakubczyk miał już po tym koniaku trochę w czubie, tatuś obiecał mu, że w ciągu trzech dni firma na własny koszt prześle mu lodówkę do Kroczehlaw, ale zapłacić musi natychmiast. Pan doktor na to, że nie ma przy sobie tyle pieniędzy; ale wpadnie do banku. Wrócił po godzinie, zapłacił tatusiowi za lodówkę, a tatuś wręczył mu pokwitowanie.

Po odejściu pana doktora Jakubczyka tatuś wezwał magazyniera Szkwora.

- Masz tam jaką starą, wybrakowaną lodówkę?

- Jedna się jeszcze znajdzie.

Tatuś kazał więc panu lakiernikowi Kuczerze pięknie ją polakierować i polecił wyjąć z niej środek, tak że z lodówki pozostała jedynie pusta skrzynia. Nie zapomniał, oczywiście, o oryginalnym opakowaniu i nalepkach *MADE IN SWEDEN* i raz jeszcze pomyślał z żalem, że na pierwszy rzut oka ten staw w Kroczehlawach również tak pięknie wyglądał, otoczony wierzbami i pokryty żółtymi grązelami. Żeby jednak rozpacz pana doktora Jakubczyka nie była aż tak straszliwie okrutna, kazał tatuś zapakować wraz ze skrzynią ową marmurową płytę, która tak bardzo się panu doktorowi podobała.

Lodówkę wysłano do Kroczehlaw.

Pan doktor Jakubczyk wezwał z Libuszyna montera Beznoska, aby lodówkę podłączył. A monter uciekł ponoć przerażony wołając, że nie chce mieć z tym nic wspólnego.

Pan doktor Jakubczyk natychmiast zadzwonił do tatusia.

- Panie inspektorze - krzyczał - ta lodówka nie ma środka. Przysłał mi pan pustą skrzynię. Królikarnię już mam, więc mi to do niczego niepotrzebne!

A tatuś na to:

- No, panie doktorze, nic się już nie da zrobić. To tak jak z tym stawem. On także nie miał środka, choć skądinąd wyglądał prześlicznie.

I odłożył słuchawkę.

Pan doktor Jakubczyk nie przyjechał do Pragi, aby sprawę z tatusiem załatwić po bokszersku, ani też nie podał tatusia do sądu. Musieli jednak mieć u Jakubczyków smutny wieczór, tak samo jak my po odłowieniu owych karpie. Toż przecie pan doktor Jakubczyk kupił najdroższą skrzynię na króliki nie tylko w Czechach, ale w całej Europie środkowej!

Dyrektor generalny firmy „Elektrolux”, pan Franciszek Koralik, u którego mój tatuś pracował, był bogaczem. Miał trzydzieści tysięcy koron stałej pensji miesięcznie, willę na Orzechowce i co roku nowy amerykański samochód; nie miał dzieci, ale za to własną stajnię "FRAKO" (Franciszek Koralik) w Chuchli, wspaniałe konie (również marki elektrolux), a do nich angielskich dżokejów.

Jednakże, zdaniem tatusia, pan Koralik był przede wszystkim gangsterem, a to dlatego że miał za żonę panią Irmę, na którą wcale sobie nie zasłużył.

Bo pani Irma okropnie się mojemu tatusiowi podobała. Miała - jak na Żydówkę - niezwykle jasne włosy i błękitne oczy, a poza tym przepięknie wymodelowane piersi, które piętrzyły się stromo pod sugestywnymi tkaninami, takimi jak atlas czy szantung, i pulchne okrągłe tyłeczki. Jędrnością dorównywała klaczom ze stajni swojego męża, a na jej twarzy malował się uduchowiony wyraz wtajemniczenia, co tatusiowi najbardziej imponowało, jako że nie wiedział, czy pisać ż czy rz nawet w najprostszych wyrazach, wyrzucono go bowiem ze szkoły we wczesnym wieku za cały szereg sprawek, a zwłaszcza za to, że rzucił w wychowawcę klasy Lukesza kałamarzem pełnym atramentu.

Nasza mamusia wiedziała o jego skrytej miłości do pani Irmy, ale niezbyt ją to niepokoiło. Stwierdziła, że szanse tatusia są tak nikłe, jak gdyby chciał zdobyć Mount Everest. Miał na karku nas (trzech chłopaków), koni ani amerykańskiej limuzyny nie posiadał, a znał się jedynie na piłce nożnej, boksie i rybach, czym pani Irma olśnić nie mógł. Nim zatrudniono go w owej sławnej szwedzkiej firmie "Elektrolux", sprzedawał gaśnice Tutenchamon rodzimej produkcji. Nie było tajemnicą, że przy interwencji Tutenchamona spłonęła doszczętnie niejedna fabryka. Gdzieś kiedyś wyznał również, jak w tym czasie żyliśmy - i to rozniosło się po Pradze. Mieszkaliśmy w wiosce pośród lasów niedaleko Mariańskich Łaźni i jadalśmy solone grzyby bez jajek i chleb z jakże zdrową cebulą.

Ale zdarzył się cud. Właśnie od chwili, kiedy pan Franciszek Koralik powiedział: "A więc przyjmujemy pana jako referenta handlowego!", na niebie tatusia zaczęła błyszczeć szczęśliwa gwiazda.

Stało się to wkrótce potem, jak wzięto go na próbę do filii firmy "Elektrolux" w Pilźnie, powierzając mu nieufnie jeden odkurzacz w drewnianej walizeczce. Nie dano mu jednak żadnych diet, musiał więc tatuś z tym odkurzaczem maszerować na piechotę do Rokycan, bo nie miał na pociąg. W Rokycanach przez dwie godziny stał na placu, nim w końcu zdecydował się odwiedzić pierwszego klienta i po raz pierwszy wyrecytować wyuczoną formułkę, którą powtarzał sobie przez całą drogę z Pilzna:

- Jestem przedstawicielem firmy "Elektrolux" i sprzedaję odkurzacze ze znakiem ochronnym "Made in Sweden".

I ten pan nie wyrzucił tatusia. Wprost przeciwnie: kupił nawet jeden odkurzacz. Jeszcze tego samego dnia tatuś sprzedał w Rokycanach cztery elektroluksy, a było to wówczas - jak na debiutanta - nie lada osiągnięcie, bo ludzie przywiązani byli do miotły i szczotki, a odkurzacz za dwa tysiące uważali za diabelski wynalazek i rzecz zupełnie niepotrzebną. Z Rokycan za pożyczone pieniądze udał się do Radnic (gdzie stryj lekarz polecił go swoim pacjentom) i do Przybramia. Powtarzał wyuczone zdanie, po czym następował pokaz sprzętu, uśmiechy, komplementy, ukłony. W ciągu dziesięciu dni sprzedał trzydzieści jeden odkurzaczy.

W Pilźnie nikt nie chciał w to wierzyć. A kiedy przekonano się, że to prawda, przyjechali po niego do Pilzna, aby pokazywać go w Pradze niczym ósmy cud świata, a kiedy w dyrekcji przechodził korytarzem, drzwi się otwierały i urzędnicy wskazując go palcem wymieniali szeptem uwagi. Zaprowadzono go do dyrektora generalnego, pana Koralika, gdzie czekała już jego błękitnooka i jasnowłosa małżonka Irma, która spojrzała rozmarzonym wzrokiem na mojego tatusia, podała mu rączkę i powiedziała:

- Serdecznie panu gratuluję!

A mój tatuś od razu znalazł się w siódmym niebie i natychmiast uświadomił sobie, że tak pięknej kobiety jeszcze nie widział, pocałował na pożegnanie tę jej rączkę i jękał się ze szczęścia, a kiedy wyszedł na dwór, obiecał sobie, że dla tej firmy i dla tej pani poświęci wszystkie swoje siły.

I tak też postąpił.

Dla firmy "Elektrolux" mój tatuś okazał się wielką wygraną na loterii. Wkrótce potwierdziło się, że jeśli idzie o sprzedaż odkurzaczy i lodówek, jest wprost fenomenem. Trudno powiedzieć, na czym to polegało, ale w tej dziedzinie okazał się geniuszem, a geniusza trudno rozpoznać nawet w dziedzinie sztuki, a co dopiero przy sprzedaży odkurzaczy. Miał w oczach wesołość, smutek i pokorę, a przede wszystkim wdzięk eleganckiego i przystojnego mężczyzny, potrafił być natrętny i bezczelny, ale nigdy nie przekraczał granicy dobrego smaku. Jedynie złośliwi plotkarze spośród konkurentów posługiwali się, mówiąc o nim, starym wyświechtanym zwrotem, że jak się go wyrzuci drzwiami, to pcha się z powrotem przez okno.

Wkrótce został mistrzem krajowym firmy "Elektrolux"; firma ta miała swoich mistrzów sprzedaży na całym świecie, tak jak istnieją, mistrzowie w piłce nożnej czy pływaniu. Na uroczystej akademii dyrektor generalny,

pan Franciszek Koralik, wręczył tatusiowi złoty zegarek marki movado w podwójnej kopercie z wygrawerowanym napisem: Pierwsza nagroda. Pani Irma podała mu rączkę i znów powiedziała:

- Serdecznie panu gratuluję.

I uśmiechnęła się do tatusia, a on w żaden sposób nie mógł pojąć, że jest to tylko taki grzecznościowy uśmiech, który ma swoje granice: stąd dotąd. Zachęcony nim zdobył kolejny złoty zegarek movado w podwójnej kopercie i zanosilo się na to, że może zostać niepokonanym wszechświatowym mistrzem firmy "Elektrolux". Tak oto piął się na zawrotne wyżyny, a popychała go, między innymi, wizja pięknej pani Irmy. Nasza mamusia była także jak najbardziej zadowolona, powodziło się nam już doskonale. Urządziliśmy sobie mieszkanie, ubraliśmy się, napełniliśmy spiżarnię, delikatesy zaś kupowaliśmy u Lipperta. A kiedy mieliśmy już wszystko, co najniezbędniejsze, mamusia powiedziała nam:

- No, chłopcy, teraz chyba tatuś pokaże rogi!

I rzeczywiście. Wystroił się jak dandy. U Meindla-Mecelesa Na Wałach uszył sobie angielski garnitur, u Poppera-Krasy przy ulicy Wodiczki buty, a u Księcia - płaszcz z tkaniny homespun. Był to wówczas bardzo drogi materiał i miał tę właściwość, że tatuś mógł z nim wobec klientów, a raz nawet przed samą panią Irmą, robić dyskretnie małe sztuczki: przebić go na przykład ołówkiem, tak że wystawała tylko połówka, po czym wyciągnąć ołówek nie pozostawiając żadnego śladu. I żebym nie zapomniał: tatuś strzygł się i golił wówczas u jednego z najlepszych fryzjerów w Pradze - pana Webera w pasażu Alfa. A na dodatek kupił amerykański samochód. Co prawda nie była to najnowsza limuzyna, ale w każdym razie wóz amerykański marki buick z podwójnymi reflektorami, kabriolet z płóciennym dachem, sześć cylindrów, dwadzieścia sześć litrów na sto kilometrów.

Mamusia załamała ręce i jęknęła:

- Ależ, Leonku, co ty będziesz robił z takim autem? I kto będzie nim jeździł?

- Ja - odpad tatuś z ogromną pewnością siebie, chociaż wiedział, że to nieprawda, ilekroć bowiem cokolwiek w życiu prowadził, zawsze kończyło się to katastrofą. A że samochód jest duży, doskonale wiedział, nawet dyrektor generalny, pan Koralik, tak potężnego auta nie miał, ale o to właśnie chodziło. Prowadzenie takiego wozu okazało się diabelnie trudne, musieliśmy więc na niedziele wynajmować sobie szofera, Tośka Walentę. Był to wysoki blondyn, sympatyczny gość, miał przy tym do tatusia świętą cierpliwość. Woził nas przez Lany do Krzywoklatu na ryby. Mój tatuś siedział obok niego i nieustannie udzielał mu rad, jak ma jechać. Inny by tatusia zabił, a Tosiek Walenta uśmiechał się tylko, zakłopotany. Pewnego razu tatuś namówił go, aby mu dał poprowadzić samochód właśnie przez Lany.

- Tosieczku, daj mi kierownicę, niech i ja sobie raz poszoferuję koło zamku pana prezydenta!

Mamusia krzyczała z tylnego siedzenia, że nie ma mowy, ale na próżno. Tatuś na pełnym gazie wziął zakręt przed zamkiem, oczywiście, nie zdołał wyprowadzić i wpadł prosto w zieloną bramę pana prezydenta. Odciągnął nas stamtąd krowi zaprzęg i nasza "ameryka" opuściła na pewien czas drogi państwowe.

Oczywiście, dyrektor generalny, pan Koralik, dowiedział się jakoś o tej naszej niedzielnej wizycie u pana prezydenta i nazajutrz zapytał z uśmiechem tatusia:

- No i jak spisuje się pański buick?

- Wspaniale - odpad tatuś oschle i wówczas po raz pierwszy rozgniewał się na swojego szefa. Patrzył na jego okrągłą, pozbawioną zarostu twarz za biurkiem, wszędzie widział jego głowę na portretach oprawionych w ramy, w każdym gabinecie zdawało mu się, że słyszy zewsząd: "Koralik! Koralik! Koralik!" Z czasem mój tatuś zaczął go nawet nienawidzić. A w miarę jak rosła ta nienawiść, tym bardziej ubóstwiał i litował się nad cierpiącą zapewne panią Irmą.

Cóż z tego, że mój tatuś miał płaszcz z homespunu i amerykański kabriolet buick, kiedy nadal był tylko komiwojażerem. Ale jakoś nie zdawał sobie z tego sprawy. A tymczasem pani Irma nadal kupowała do swojej willi na Orzechowce pieski, najdroższą porcelanę Rosenthal i Miśnię oraz oryginalne holenderskie radioodbiorniki Philipsa. Z niebosiężnych wyżyn spoglądała na karierę mojego tatusia, o którym wiedziała, że patrzy na nią zakochanym wzrokiem.

Jednakże mój tatuś postanowił, że osiągnie wszystko, że będzie piąć się coraz dalej i wyżej i że stanie się niepokonanym mistrzem choćby całego świata.

I osiągnął to!

Jeśli idzie o ilość sprzedanych odkurzaczy i lodówek, pobił swoimi osiągnięciami rekordy komiwojażerów z pięćdziesięciu pięciu krajów świata, a w samej tylko Japonii "Elektrolux" miał dwa tysiące przedstawicieli i wszyscy walczyli o ten szczytny tytuł. Zdobyl go tatuś wyprzedzając pewnego kolegę z Buenos Aires. Sprzedał najwięcej odkurzaczy na świecie i udawały mu się rzeczy wprost niewiarogodne. Sprzedał odkurzacze chłopom w Nesuchyni, gdzie dotychczas nie mieli prądu elektrycznego. Oczywiście, obiecał, że pomoże im doprowadzić elektryczność, ale nigdy tego nie zrobił. Sprzedał odkurzaczy swojemu nauczycielowi Lukeszowi,

temu samemu, w którego przed laty rzucił kałamarzem, sprzedał odkurzacz nawet wachmistrzowi Króliczkowi, który skonfiskował mu dubeltówkę, kiedy pewnego razu kłusował w lesie. Przekonał prezesa Rady Ministrów Małypetra, że musi kupić sobie lodówkę, a dr Edwardowi Beneszowi sprzedał od razu dwie.

W hotelu "Alcron" koronowano tatusia na mistrza świata. Złoty medal przypiął mu do kłapy prezydent towarzystwa, Venegreen (przyleciał na tę uroczystość z Londynu). Całe to wydarzenie nakręciła sławna amerykańska "Kronika" Foxa (operator przyleciał ze Stanów Zjednoczonych). Mój tatuś nie przyleciał znikąd, ale przyjechał wraz z mamą tramwajem (nasz buick wciąż jeszcze stał uszkodzony).

Na bankiecie podano jako przekąskę pieczone kurczęta. Każdy męczył się z nimi, tylko tatuś nie. Uniósł widelec, mamusia nie zdążyła mu w tym przeszkodzić, zadzwonił nim o kieliszek, a kiedy zapanowała cisza, powiedział:

- A teraz pokażę państwu, jak się je u nas w Busztegradzie!

Wziął kurczę do rąk, wbił w nie zęby i wszyscy poszli za jego przykładem; komiwojażerowie, a zebrali się ich tu trzystu, szeptali nawet z uznaniem:

- Fajny z niego chłop, z tego Poppera!

Ale w czole stołu zapanowała lodowata cisza, pan prezydent Venegreen i dyrektorzy generalni nadal dziobali kurczęta nożem i widelcem, a pan Koralik i pani Irma wymienili znaczące spojrzenia, wydając tym samym wyrok potępienia na mojego tatę.

I on sam też to zrozumiał, kiedy popatrzył na panią Irmę, oczekując od niej jako wszechświatowy czempion promiennego uśmiechu. Uśmiechnęła się, ale jej uśmiech nie mówił więcej niż dawniej, a poza tym w źrenicach jej oczu trwało jeszcze to pieczone kurczę, które trzymał w prawej ręce.

I mój tatuś natychmiast dostrzegł przepaść między sobą a panią Irmą, przepaść, której jako komiwojażer nie zdołał przekroczyć, nawet gdyby sprzedał odkurzacz samemu Panu Bogu. I posmutniał odrobinę, tak że nie zdołały go rozweselić nawet "lodowe słonie", podane na koniec bankietu, za którymi wprost przepadał.

Ale wkrótce zdarzyło się coś niezwykłego i nieoczekiwanego, co - mówiąc językiem komentatorów sportowych - na powrót dało mojemu tatusiowi fory.

W Pradze mieszkał malarz Vratislav Nechleba, tak sławny i głośny jak mało który z żyjących artystów. Znać go - oznaczało wspiąć się o szczebel wyżej na towarzyskiej drabinie, a zaprzyjaźnić się z nim - o nie, o tym zwyczajny śmiertelnik nie mógł nawet marzyć, przede wszystkim dlatego, że pan Nechleba był odrobinę dziwakiem i tak od razu przyjaźni z nikim nie zawierał.

I właśnie ten pan, niewysoki, o długich włosach, skierował się na Praskich Targach Nowości Przemysłowych do stoiska mojego tatusia sprzedającego lodówki i przedstawił się:

- Nechleba jestem.

Tatuś oczywiście nie miał pojęcia, kim jest pan Nechleba, znał tylko mistrzów bokserskich począwszy od Herzmanka i Nekolnego, ale skinął głową, że wszystko jest dlań jasne. Pan Nechleba przymrużył oczy pod gęstymi brwiami, uśmiechnął się, wskazał lodówki i powiedział:

- Interesuje mnie to draństwo. Niech mnie pan, dobrodzieju, odwiedzi w Akademii.

Wobec tego tatuś wybrał się do Akademii.

- Jest tu u was niejaki pan Nechleba? - spytał woźnego.

- A tak, to nasz profesor. Atelier na pierwszym piętrze.

Tatuś wszedł po schodach, zadzwonił i otworzył mu właśnie ów niewysoki pan o długich włosach.

- Ach, to pan, dobrodzieju. Musi pan chwilę poczekać, coś tylko dokończę.

Tatuś usiadł w skórzanym fotelu i przez chwilę obserwował, jak pan profesor poprawia pędzlem twarz człowieka, który wyglądał jak szaleniec i miał rozwichrzone włosy. Ten człowiek na obrazie nie bardzo mu się podobał, tchnęło od niego jakimś dziwnym niepokojem wewnętrznym, rozpraszał tatusia, odwrócił się więc od niego i rozejrzał po pracowni. Zobaczył dziesiątki obrazów na sztalugach, na ścianach i byle jak opartych na ziemi, spoglądali z nich prezydenci, artyści, finansisci, postacie biblijne. Przed tatusiem otworzył się nagle nowy świat, jakiego nigdy przedtem nie znał, te twarze w ramach przyciągały go z tajemniczą magiczną siłą, wszyscy jak gdyby znajdowali się tu razem z nim i chcieli porozmawiać. Wstał, zaczął przechadzać się po pracowni i ujrzał u malarza bliski sobie świat, który - jako znawca ludzi - rozumiał. Każdy z portretowanych wyglądał jak żywy, jakby zamierzał właśnie wyjść z ram, podać rękę i przedstawić się. I tatuś przyłapał się na tym, że zastanawia się, któremu z nich mógłby sprzedać odkurzacz, a któremu lodówkę, jak z którym by rozmawiał, a ponieważ znał się na ludziach, czytał w ich twarzach szczęście i nieszczęście, jakie ich spotkało w wędrówce przez życie.

- Podoba się to panu, dobrodzieju? - wyrwał go z zadumy głos gospodarza.

- O, bardzo, panie profesorze. Nigdy bym nie uwierzył, że można tak prawdziwie ludzi namalować - powiedział szczerze tatuś, który nie miał pojęcia o istnieniu Leonarda da Vinci, Rubensa i Rembrandta. I zaczął opowiadać

o ludziach, tak jak on ich znał. O ludziach, jakie mają oczy, kiedy umierają albo zabijają kogoś. O małym kulawym człowieczku, który w nocnym lokalu w Hamburgu rzucił w alfonsa stołkiem i rozwalił mu głowę, aż mózg opryskał tatusia. O oczach przyjaciela Zubana, pijącego własny mocz podczas ucieczki przez pustynię. I wiele jeszcze takich historii opowiedział tatuś panu profesorowi, który słuchał go z takim samym zainteresowaniem, z jakim tatuś oglądał przedtem jego obrazy.

A potem pan profesor zaprosił tatusia do swojego mieszkania. Przedstawił mu swoje ogromne psy. Złotego smukłego doga :

- To Helios.

I mrukliwego angielskiego mastifa: .

- Sam.

I pokazał mu swoje papugi.

- Pocałuj mnie w dupę, łajdaku! - krzyczały na tatusia.

I otworzył przed nim wszystkie pokoje, i otworzył przed nim także swoje serce, bo właściwie to mój tatuś był złodziejem serc. W ciągu godziny zdobył serce pana profesora, miał je jak na dłoni i tchnął na nie rozgrzewającym oddechem z arsenału komiwojażera.

W końcu pan profesor oświadczył:

- Biorę dwie lodówki. Jedną do domu, drugą do pracowni. I niech mnie pan jeszcze kiedyś odwiedzi.

Mój tatuś z pewnością całkiem by o panu profesorze zapomniał, gdyby po pewnym czasie przy czarnej kawie w dyrekcji nie padło nazwisko Nechleby. I zabrzmiało tak dźwięcznie, że tatuś natychmiast zauważył półgłosem:

- To mój przyjaciel.

Na siedzące wokół niego towarzystwo podziałało to jak uderzenie pięścią. Dyrektor generalny, pan Koralik, chwycił się za serce, ale jeszcze nie dowierzał, bo od chwili kiedy mój tatuś jadł na tym uroczystym bankiecie kurczę rękoma, upłynęło niewiele czasu, a poza tym miał on wyrobione zdanie o poziomie kulturalnym mojego tatusia. Znalazło to wyraz w zdaniu:

- Zapewne myli go pan z kim innym. Mówimy tu o panu Vratislavie Nechlebie, naszym najwybitniejszym współczesnym portreciście. Malarzu, rozumie pan?

- Ależ tak, panie dyrektorze. Właśnie ostatnio w jego pracowni rozmawialiśmy o tym, co mogą, a czego nie mogą wyrażać ludzkie oczy.

Prokurentka Gutówna spytała natychmiast:

- A co mogą ludzkie oczy wyrażać?

A tatuś odpowiedział jej surowo:

- To mogą zrozumieć jedynie artyści.

I tymi słowami wzniosł się wysoko ponad wszystkich tych ludzi, ponieważ nikt spośród nich, handlowców, nawet sam pan dyrektor generalny, nie mógł sobie wyobrazić, jak wiele ludzkie oczy mogą wyrażać.

Pod koniec zebrania dyrektor generalny, pan Koralik, dał tatusiowi znak, aby wstąpił do jego gabinetu. Przybrał bardzo życzliwy wyraz twarzy i powiedział prosto z mostu:

- Co pan na to, żeby tak mistrz Nechleba namalował moją żonę Irmę?

Spadło to na tatusia jak grom z jasnego nieba. Jezus Maryja, że też mu to od razu nie przyszło do głowy! Dlaczego nie powiedział panu profesorowi, kiedy tam u niego siedział, że zna najpowabniejszą niewiastę w Pradze?! Ależ będzie olśniony, gdy ją zobaczy! Będzie miał najpiękniejszą modelkę, jaką w ogóle można zdobyć. A przy tym pani Irma będzie szczęśliwa i wdzięczna - właśnie jemu! Znow uśmiechnie się do niego tak jak dawniej i być może pójdzie z nim do kawiarni, a może nawet gdzie indziej. Był jednak zbyt dobrym kupcem, aby głośno wyrazić zachwyt pomysłem pana dyrektora generalnego. Wprost przeciwnie, będzie zwlekać, cofać się, certować i trochę się drożyć. Tym lepszą uzyska cenę. Siedział i milczał.

- Nie słyszał pan, co powiedziałem? - spytał dyrektor generalny, pan Koralik, z naciskiem.

- Tak, ale to wcale nie takie proste.

- Wiem o tym i bez pana. Ten Nechleba kazał powtórzyć Bati, że szewców nie maluje, a od prezydenta Masaryka wziął za portret trzysta tysięcy. Ale mnie, rozumie pan, mnie tam na pieniądzach nie zależy. Gotów jestem dać mu nawet pół miliona!

Mój tatuś naprzód wytrzeszczył oczy, znał bowiem skapstwo pana Koralika. Ponieważ jednak rozumiał mowę ludzkich oczu, dostrzegł w tych piwnych przed sobą ogromne pragnienie posiadania czegoś, czego nie mogą ot tak, na zawołanie, mieć inni bogacze. Temu panu, który bez przerwy mełł językiem przed swoimi podwładnymi, wcale nie zależało na sztuce ani tym bardziej na pięknym portrecie żony, ale na tym, by móc nieustannie powtarzać: "Moją żonę maluje Nechleba." Aby móc to zdanie powtarzać przy obiedzie i przy kolacji, aby móc je pisać w listach do swoich krewnych w Anglii i w Stanach Zjednoczonych. I aby później powtarzać je przed portretem w czasie przeszłym, aby to zdanie wybuchało niczym bomba w określonych

miejskach. I mojemu tatusiowi przyszła nawet do głowy dziwna myśl, że pan dyrektor generalny nie ma zbyt wysokiego mniemania o urodzie swojej żony Irmy, w przeciwnym razie nie ofiarowałby bowiem tak zawrotnej sumy, i znów ogarnęła go wściekłość na pana Koralika.

Pan profesor Nechleba, szanowny panie dyrektorze generalny, będzie malować Irmę z innych powodów. Jej portret musi przetrwać wieki. Musi być na nim przedstawiona uroda, a jednocześnie męka kobiety, która żyje z panem. Pani Irma powinna mieć na sobie jasnoniebieską sukienkę, aby harmonizowała z jej błękitnymi oczyma, a cały obraz należy oprawić w ciężką złotą ramę.

Kiedy tatuś wszystko to sobie uświadomił, poczuł znaczną ulgę.

- No to ja pana profesora zapytam - odpowiedział.

I już nazajutrz mój tatuś wybrał się do pana Nechleby. Wchodził po szerokich schodach do atelier i sam sobie w duszy malował ów piękny świat, jaki otworzy się przed nim, kiedy portret pani Irmy zostanie już stworzony. A zresztą fakt, że pan Koralik jest jego szefem, też trzeba brać pod uwagę. I kiedy tak wspinał się po tych schodach, zaczęła go dręczyć jedna myśl: czy pan profesor Nechleba w ogóle zdoła uchwycić pędzlem osobowość pięknej Irmy. Malował wprawdzie prezydentów i ministrów, ale sportretować taką kobietę to mimo wszystko co innego. Ale jeśli mu się w końcu uda, jakież to będzie obraz!

Ostatnie stopnie tatuś przebył biegiem i gwałtownie zadzwonił, tak jakby pan profesor nie miał ani minuty do stracenia.

Drzwi otworzyły się i wyjrzał pan Nechleba.

- A, to pan, synu? A cóż to w takim pośpiechu?

Lecz tatuś rozochocony wizją najpiękniejszego obrazu pana profesora wiedział, że nie może zawołać: "Niech mi pan szybko namaluje Irmę!" Powiedział więc dyplomatycznie:

- Przyszedłem pana odwiedzić, panie profesorze.

- A więc proszę dalej! I niech pan siada.

Tatuś usiadł i rozejrzał się. Pan profesor miał dziś jako modela mężczyznę z brodą, który przy świetle lampy naftowej czytał gazetę. Profesor pracował powoli, przed każdym pociągnięciem pędzla zastanawiał się chwilę. Tatuś obserwował go kilka minut, po czym znowu rozejrzał się po pracowni. I znów zafrapowały go twarze mężczyzn, którzy jak apostołowie na staromiejskim zegarze w Pradze zaczęli przed nim swój dziwny korowód. Jeden marszczył brwi, drugi uśmiechał się, trzeci krzywił w jakimś grymasie. A jak na któregoś z nich spojrział, to ów wybrany natychmiast patrzył mu prosto w oczy. Była to gra, która go bawiła, ale nie miała końca. Lecz nagle tatuś poczuł, że przebiega go dreszcz. Na miłość boską, przecież tu nie ma ani jednego portretu kobiety! Pot wystąpił mu na czoło. Jeśli nie ma tu portretu kobiety... Pan profesor w ogóle kobiet nie maluje. Dyrektor generalny, pan Koralik, wiedział o tym i dlatego ofiarował taką sumę! Od tej chwili mój tatuś siedział w fotelu jak na szpilkach i otaczające go wokół obrazy nie sprawiały mu już takiej radości.

Gdy pan profesor skończył, tatuś zapytał go wprost:

- Nie maluje pan kobiet, profesorze?

- Wie pan, dobrodzieju, nie bardzo ja te wasze kobiety lubię... Strasznie działają mi na nerwy.

Kiedy pozują, a ja je maluję, są okropnie gadatliwe, a kiedy milczą, to znów nie ma w nich nic ciekawego.

- A więc w ogóle ich pan nie maluje, panie profesorze?

- Ależ tak. Mniej więcej jedną na rok. Ze wszystkich kobiet najbardziej lubię Lukrecję.

Tatuś odetchnął z ulgą. A więc nie wszystko stracone. I znów błogi spokój zagościł w jego sercu. Jedną na rok Irmę. Jego kupiecka dusza pojęła jednak, że nie należy od razu z tym wyskakiwać, tak jak to sobie przedtem wyobrażał, ale że trzeba tu pracować cierpliwie jak ogrodnik na rabatce. I że będzie to trudne, kto wie, czy nie trudniejsze niż sprzedanie dziesięciu lodówek. Najpierw musi poznać tę Lukrecję, aby móc ją porównać z Irmą. Na razie nie wiedział o Lukrecji zgoła nic, wstydził się o nią zapytać, wobec czego wolał się pożegnać.

- Niech mnie pan znów kiedyś odwiedzi, Popperku - zapraszał go pan profesor pieszczotliwie zdrabniając nazwisko, tatuś podobał mu się, nie chciał od niego portretów ani pieniędzy na cele dobroczynne i widocznie było mu z nim dobrze.

Ku swojemu zdumieniu i radości tatuś stwierdził, że szlachetnie urodzona dama Lukrecja przyspieszyła swój koniec, wbijając sobie sztylet w serce. Fakt, iż Lukrecja nie może już konkurować z panią Irmą, do tego stopnia go uspokoił, że oświadczył dyrektorowi generalnemu panu Koralikowi, co następuje:

- Da się zrobić, ale potrzeba na to czasu.

Po tych słowach mój tatuś żył w firmie "Elektrolux" jak hrabia. Nieustannie zapraszano go do pana dyrektora generalnego na brazylijską kawę i nasza rodzina, z mamusią włącznie, otrzymywała zaproszenia na różne bankiety. Sprawa z kurczęciem szybko została zapomniana i pani Irma uśmiechała się do tatusia bez przerwy. Państwo Koralikowie zaprosili nawet tatusia z mamusią do swojej willi na Orzechowce i kiedy tatuś przyglądał

się pływającym w akwarium pręgowanym skalarom, a pan Koralik w pewnym oddaleniu uprzejmie wypytywał naszą mamusię o nas, o dziatki, pani Irma podeszła do tatusia.

- Kiedy pan profesor Nechleba mnie sportretuje - powiedziała do niego ledwie dosłyszalnym szeptem - uczymy to. Tylko we dwoje.

To wlało nową energię w mojego tatusia, energię, która bez mała doprowadziła naszą rodzinę do ruiny. Zamiast sprzedawać odkurzacze i dzięki temu utrzymywać mamusię, trzech basalyków i amerykański samochód buick, który znów był na chodzie - odwiedzał pana profesora Nechlebę, przesiadywał u niego i całymi godzinami obserwował go przy pracy. Mój tatuś, który do niedawna nie miał jeszcze zielonego pojęcia o istnieniu jakiegos tam malarstwa olejnego i żywego malarza, zaczynał opanowywać w teorii różne rodzaje techniki malarskiej, i pan profesor zaznajomił go z całą plejadą sławnych malarzy współczesnych. Wiedział, ile obrazów pan profesor namalował, pamiętał, co który namalowany człowiek ma na sobie i jaki ma wyraz twarzy. Wiedział, że redaktora Bouszka pan profesor namalował w 1909 roku, a aktora Edwarda Vojana w dwa lata później. Zaczynał też znać się na dywanach perskich, a kiedy pan profesor nie miał czasu, karmił zamiast niego dogą Heliosa, psa Sama i papugi.

Jednakże nasza mamusia, która dobrze wiedziała, że to wszystko dzieje się z powodu pani Irmy, straciła w końcu cierpliwość i zwróciła się do niego stanowczo:

- Trochę za długo trwa już to twoje oczarowanie sztuką! Stoisz na krawędzi przepaści. Niedługo dzieci nie będą miały co jeść.

Ale tatuś nie potrafił już ustąpić. Bo i jakże to? Znajdował się przecież niemal u samego celu, lada chwila miał powiedzieć panu profesorowi tę najważniejszą rzecz. I oto pewnego zimowego dnia, kiedy Praga wyglądała jak z waty cukrowej, nad Zamkiem uśmiechało się słońce, a pan profesor miał wyjątkowo dobry humor i ciągle ssał mały palec, co było jego ulubionym zajęciem, mój tatuś zdecydował się.

- Panie profesorze, już od dawna chciałem panu powiedzieć, że znam najpiękniejszą kobietę w Pradze. Mógłby ją pan namalować, Sprawiłby mi pan ogromną radość.

Pan profesor natychmiast zmarszczył czoło.

- Nie mam ochoty.

Ale widząc, że tatuś posmutniał, dodał:

- Może kiedyś, później.

I koniec.

Pan profesor malował wówczas swoją Lukrecję... Kobietę o czarnych włosach i bladej twarzy, kobietę, która nie mogła mówić i nie potrafiła się bronić, gdy pan profesor kształtował ją zgodnie z własną wizją. Była piękna, ale to piękno było nieludzkie, i tatuś wiedział o tym, nie odważył się jednak tego panu profesorowi powiedzieć, bo pan profesor chyba właśnie dlatego kochał Lukrecję, że nie żyła, ale była to na pewno inna miłość niż ta, którą mój tatuś żywił do naszej mamusi, czy też miłość, z jaką spozierał na panią Irmę.

Minęła zima, wiosna, a mój tatuś nie posunął się ani o krok. Ale jako rybak i człowiek interesu umiał czekać. Na początku lata pan profesor wypowiedział obiecujące zdanie:

- Wie pan co, Popperku? Chyba jednak obejrzę sobie tę pańską najpiękniejszą kobietę.

- Kiedy, panie profesorze? - ucieszył się tatuś, który pod względem finansowym znajdował się już na dnie, a jeśli chodzi o ocenę obrazów, dywanów perskich, psów i papug - u kresu sił.

- Niebawem, jak tylko skończę... - Wskazał nabożnie nie wiadomo którą już z rzędu wersję Lukrecji, która tym razem - dla odmiany - wbijała ozdobny sztylet pod prawą pierś. W ciągu tego roku mój tatuś zdążył już Lukrecję znienawidzić. Ale w tej chwili wszystko jej wybaczył, bo zwycięstwo było już blisko. Pan profesor ujrzy Irmę i Lukrecja umrze na dobre. Niecierpliwemu dyrektorowi generalnemu, panu Koralikowi, któremu od roku już powtarzał pełen rozpacz: "Załatwi się. Proszę mi wierzyć, panie dyrektorze!", tym razem oznajmił zwycięsko:

- Pan profesor wkrótce rzuci okiem na panią Irmę. Bo on, zanim kogoś namaluje, musi go najpierw obejrzeć.

Pan dyrektor generalny z zachwytem skinął głową i zaprosił tatusia na obiad do "Alcronu".

A mój tatuś kuł żelazo póki gorące. Wtajemniczał w swoje plany naszą nieszczęsną mamusię i obiecał jej, że wszystko niedługo się skończy. Jeszcze tylko zaprosimy pana profesora Nechlebę na łono natury, dokąd on sam nigdy by się chyba nie wybrał. Weźmiemy go na ryby do "Tajnego Agenta". Mamusia upiecze mięso, ciasto, tort.

Pan profesor Nechleba z wdzięcznością przyjął zaproszenie.

No i pojechaliśmy naszym buickiem z Tośkiem Walentą za kierownicą. Podczas gdy my zamieszkaliśmy w pokojach gościnnych gospody "U Tajnego Agenta", tatuś wraz z panem profesorem rozbili namiot tuż nad rzeką Berounką. Wówczas jeszcze ta rzeka płynęła piękna, czysta, pełna ryb. Był czerwiec, a poniżej kwitła najpiękniejsza chyba łąka, jaką znam. Pan profesor, który widział Londyn, Paryż, Amsterdam, naj słynniejsze

galerie całego świata, nigdy w życiu nie trafił na łono natury, więc ta łąka Klabala po prostu go zachwycała. Przykucnął i podskakiwał tak jak małe dziecko, obserwował koniki polne i żuczki, kwiatki, i wołał:

- Ach, Popperku, to prawdziwy cud!... Jakie to wszystko piękne!... Ta natura wygląda jak najautentyczniejszy kicz!...

A tatuś przytakiwał gorliwie i przygotowywał wędziska, modląc się w duchu, aby w nocy niebo się zachmurzyło, bo jak na niebie nie będzie gwiazd i księżycy, ryby będą brać jak szalone i entuzjazm pana profesora będzie rósł, rósł i rósł, aby nazajutrz przekształcić się w słowa:

"No to niech mi pan tę damę przyprowadzi!"

Mój tatuś zrobił nawet to, czego nigdy przedtem nie czynił i co sprzeczne jest z rybackim kodeksem. Od swoich znajomych rybaków wypożyczył ze dwadzieścia wędek i powbił je wzdłuż całego brzegu, a na czubku każdego wędziska powiesił - jak na świątecznej choince - dzwoneczki, aby dzwoniły, kiedy ryba weźmie.

Pana profesora posadził na wyszywanej poduszczonej przed namiotem, a mamusia przyniosła mu flaki, nerkę cielęcą, szynkę na gorąco, ciasto, tort i piwo. Pan profesor pocałował naszą mamusię w rękę i dopiero po trzydziestu latach wyznał tatusiowi, że nasza mamusia tak mu się podobała, że chciał poprosić, aby wolno mu było ją sportretować, ale nie znalazł w sobie odwagi, by to tatusiowi powiedzieć.

A potem nadszedł wieczór, taki, o jakim rybacy marzą. Łagodny, ciepłutki, taki, że można go bez mała krajać i ładować do turystycznego plecaka. I żydowski Pan Bóg w niebiosach wysłuchał tatusia: nad rzeką zapadły nieprzeniknione ciemności, pośród których pan profesor siedział na poduszczonej i uszczęśliwiony ssał palec. I nagle w tej boskiej ciszy rozległo się: dzyń, dzyń!

- Popperku, ktoś dzwoni - powiedział pan profesor.

- Ależ ja nic nie słyszę, panie profesorze tatuś udawał głupiego.

- Co mi pan tam będzie opowiadać! Mam uszy jak sowa.

- Ma pan rację. Wobec tego chodźmy szybko!

I mój tatuś zaprowadził go prosto do wędki kołyszącej się i wydzwaniającej nad wodą. Pan profesor ujął wędzisko, poderwał i wyciągnął miotającą się wojowniczo barwę, długą co najmniej na łokieć. Błyszczała srebrzyście w trawie, jakby to z nieba spadł sam księżyc. Pan profesor, który nigdy nie polował na żywe stworzenia, poczuł w sobie żar i podniecenie dawnych łowieckich przodków i uległ namiętności. A tatusiowi tej nocy przysłała w sukurs chyba cała zaprzyjaźniona z nim kompania z rzeki: muskularne barweny, węzowate węgorze, sprytny jelce - przyplływały do jego wypożyczonych wędek, pociągały za dżdżownicę i inną żywą przynętę i dzwoniły dzwoneczkami jak na Boże Ciało. Pan profesor biegł przy tym koncercie wzdłuż brzegu, a tatuś obsługiwał go jak w strzelnicy na jarmarku, nadziewał mu przynętę, zdejmował ryby z haczyka i obaj byli szczęśliwi.

Rano nasza mamusia - pan profesor znów tak ładnie się do niej uśmiechał - przyniosła po raz drugi flaki, szynkę na gorąco, ciasto, tort i czarną kawę.

A po tej czarownej nocy musiało nieodwołalnie paść w poniedziałek owo oczekiwane zdanie pana profesora:

- A więc niech mi pan tę damę przyprowadzi i pokaże.

Mój tatuś zachowywał się jak niepoczytalny. Natychmiast wezwał taksówkę, pojechał do pana dyrektora generalnego, polecił mu, aby pani Irma włożyła tę niebieską suknię, dyrektor generalny udał się swoją amerykańską limuzyną na Orzechówkę po panią Irmę, która stroiła się godzinę, a potem pojechała uczesać się do najsztywniejszego fryzjera w kraju, mistrza Pohla. A tatuś tymczasem wrócił do domu, włożył swój najlepszy garnitur z angielskiej wełny i także pojechał uczesać się do swojego fryzjera, pana Webera, w pasażu Alfa. Przeżywał swój wielki dzień.

O godzinie drugiej po południu przed słynną firmą "Elektrolux" stał amerykański samochód dyrektora generalnego, pana Koralika, a obok niego - mój tatuś o wyglądzie i minie angielskiego dyplomaty i pani Irma. Pani Irma miała na sobie swoją błękitnoniebieską sukienkę i pantofelki z węzowej skóry. Mój tatuś nie mógł od niej oderwać oczu.

Szofer otworzył tylne drzwiczki i dyrektor generalny, pan Koralik, pożegnał się z nimi, jakby właśnie odjeżdżali razem w podróż poślubną.

Po drodze tatuś usiłował wziąć panią Irmę za rękę, ale ona powiedziała:

- Potem, mój drogi, potem!

Wysiedli i wstępowali po schodach do atelier pana profesora. Pani Irma szła wolno, blada, tatuś uśmiechem dodawał jej otuchy. Zadzwoił do drzwi pracowni, długo nikt nie otwierał. Zadzwoił po raz wtóry i ukazał się pan profesor. Zobaczywszy tatusia, przypomniał sobie ową piękną łąkę i ową czarowną noc.

- To pan, Popperku? - zaszczębiotał.

A potem dostrzegł również panią Irmę i przypomniał sobie swoją obietnicę.

- O, prowadzi mi pan tę damę...

Tatusz spodziewał się, że pan profesor poprosi ich dalej. Ale nic takiego się nie stało. Pan profesor tylko patrzył i patrzył, przyglądał się jej twarzy, wydawało się, że nie wierzy własnym oczom. I nagle niemal szepnął:

- Niech się pani obróci. Chciałbym jeszcze zobaczyć panią z odwrotnej strony.

Obróciła się i ukazała się w całej krasie jej krągła pupcia, wypinająca się nad zgrabnymi nóżkami w pantofelkach z wężowej skórki, na wysokim obcasiku. W pięknym uczesaniu - same loczki przypominała barwnego motyla, który na ciemnych schodach szarej akademii zamierza wzbić się do lotu. i pofrunąć. A potem rozległo się coś, co wybuchło jak bomba i przypominało okrzyk upartego dziecka:

- Takiej paniusi ja malować nie będę. Za żadne pieniądze! Nie, nie i nie!

Mój tatusz podtrzymał płaczącą panią Irmę przez całą drogę: od drzwi, przez schody, aż do amerykańskiego samochodu marki ford, czekającego przed przybytkiem sztuk pięknych.

W wozie spełniło się najskrytsze marzenie tatusia. Trzymał panią Irmę w ramionach.. Ale marzenie to ziściło się zupełnie inaczej, niż to sobie tatusz wyobrażał. Ona szlochała, on ją pocieszał. Czuł jej prężne piersi na swoim gorsie, dotykał jej aksamitnych włosów, gładził jej ramiona, jej łzy ciekły mu po rękach. Tulił ją tak po raz pierwszy i ostatni zarazem. Bo jak tylko się uspokoiła, nie chciała mojego miłego tatusia widzieć więcej na oczy i przypomniała sobie, jak to jadł kurczę rękami. Wszędzie opowiadała, że to wszystko wcale jej nie zaskoczyło, bo od dawna miała swoje zdanie o duchowym poziomie mojego tatusia, tak samo zresztą, jak ma je również ten przeuroczy profesor Nechleba, który mojego tatusia wprost nie znosi, i dlatego jej nie przyjął. O tym, jak postąpił dyrektor generalny, pan Koralik, wolałbym zamilczeć. Chciał tatusia zastrzelić, bo już dawno wszystkich swoich krewnych i znajomych w Europie i w Stanach Zjednoczonych powiadomił, że pan profesor Nechleba maluje jego żonę. Krótko mówiąc: pomiędzy naszą rodziną a rodziną dyrektora generalnego, pana Koralika, zapanował stan zwany w terminologii wojskowej wojną, i przed wyrzuceniem na bruk ocaliło tatusia tylko to, że rok temu zdobył tytuł mistrza świata. Długo jeszcze mój tatusz dręczył się tą swoją nieszczęśliwą miłością do pani Irmie, ale w tym cierpieniu i udręce pocieszał go chyba fakt, że przynajmniej raz w życiu tulił ją w swoich ramionach.

Jedyną zadowoloną istotą okazała się nasza mamusia. Sprawdziły się jej słowa, że tatusz nie może zdobyć Mount Everestu. A nasza spiżarnia znów zaczęła się wypełniać i znów zaczęło się nam dobrze powodzić. Mój tatusz przestał zajmować się obrazami, perskimi dywanami, psami i papugami i poświęcił się swojej branży, którą miał opanowaną bezbłędnie: odkurzaczom i lodówkom.

A drugim zadowolonym człowiekiem był pan profesor Nechleba. Znów malował swoją Lukrecję.

Kiedyś, w parę lat później, tatusz odwiedził go, powiedział mu, że jest przepiękna, i uradowany pan profesor mu ją podarował. Podczas wojny zerwał nam ją ze ściany pijany esesman o niebieskich oczach i płowych włosach, przebił ją sztyletem i w ten sposób uśmiercił ją właściwie po raz drugi. Tatusz miał wówczas łzy w oczach, bo o pani Irmie dawno już zapomniał, a Lukrecję skrycie uwielbiał.

Śmierć pięknych saren

My, chłopaki - a było nas trzech - bardzo chętnie jeździliśmy w okolice krzywoklackiego zamku. Wówczas nie wiedziałem dlaczego, dziś wiem. Mój tatusz już wtedy zrozumiał, że kiedyś mogę zobaczyć bulwary Paryża i drapacze chmur Nowego Jorku, ale już nigdy nie będę mógł całymi tygodniami mieszkać w chacie, gdzie pachnie w piecu chleb, a w kierzance ubija się masło, bo obok tych chałup będą kiedyś parkować szkody, a w środku migotać telewizory, i podadzą tu człowiekowi kiepską czarną kawę i niedopieczony chleb.

Tatusz szukał tego miejsca "na węch". W latach trzydziestych przejechał kiedyś z naszym szoferem Tośkiem Walentą koło krzywoklackiego zamku, by wspinać się straszliwymi serpentynami dalej, na zachód, wzdłuż rzeki Berounki, w której pływały wówczas szczupaki jak krokodyle, a na mieliznach wygrzewały się wśród rzęsy dorodne jelce i barweny jak polana. Tatusz rozglądał się pilnie, patrzył na wszystko i jechał dalej, aż do przydrożnego zajazdu "U Tajnego Agenta". Tam spędziliśmy dwa sezony. Ale to nie było to! Mimo że pani Frońkowa była miłą i ładną niewiastą i robiła bajeczny gulasz i flaki, w soboty i niedziele bywał tam jednak tłok i wrzask. Przyjeżdżało mnóstwo włóczęgów, włóczykijów, łazęgów i "kowbojów", którzy z cichej gospody robili piekło godne Dzikiego Zachodu. Z początku mamusia posyłała tatusia do tych obiboków, aby ich poprosił, by tak nie hałasowali, ale po kilku próbach poddała się. Wkrótce bowiem w chórze głosów śpiewających pieśni o tym, że życie jest nic niewarte i że najlepiej żyć bez żony nad rzeką Jukon, wybijał się piękny głos tatusia, i do nas, nieszczęsnych dziatki, docierał dźwięk instrumentów, na których grać umiał tylko tatusz, a mianowicie miotły i pokrywek pożyczonych od pani Frońkowej. Nazajutrz mamusia znajdowała tatusia podbitego obok studni, gdzie siedział i grał na grzebieniu sentymentalne piosenki o swoim czarnym Kładnie.

A żyli w tamtych stronach wspaniali ludzie, jak na przykład włóczęga Bambas. Od wiosny do zimy nie pracował, łowił ryby przy Diabelskiej Skale. Na każdy dzień miał w płóciennym woreczku przygotowaną porcję: pięć kostek cukru z zimowych miesięcy, kiedy trochę pracował. Jego życie urzekło mnie nawet w późniejszych latach; kiedy inni życzyli mi, abym został pisarzem albo lotnikiem, ja chciałem być Bambasem. Sypiał w na wpół zawalonej chatyńce i przykrywał się wyleniałą skórą jelenia. Ryby umiał łowić fantastycznie, na wszystkie dozwolone, a przede wszystkim niedozwolone sposoby. Mamusia niechętnie patrzyła na moją zażyłość z Bambasem, obawiała się, że mnie zepsuje. Niestety, nie udało mu się!

Ale wracam do tego, co działo się później z moim tatusiem i z nami. Po jednej takiej burzliwej nocy tatuś zmuszony był poszukać jakiejś wiejskiej chałupy. Wobec tego załadował nas na szkuner i popłynął do domku pod Branowem, nazywało się to miejsce: Łęgi. I w chałupie przewoźnika Karola Proszka - miał taki sam wąsik jak Adolf Hitler - znaleźliśmy schronienie na długie lata. W chałupie znajdował się piec chlebowy, w piwnicy - mleko i masło, a także maślanka, w oborze stała krowa, na stoku rosły ziemniaki, w lesie zaś grzyby, a w wodzie, na którą spoglądaliśmy z okna, pływały całe ławice ryb. To był raj, o którym dawniej śpiewał pan Werich, a później pan Matuszka, w gospodzie zaś, na skrzyżowaniu dwóch dróg, zwanej "Annam", można było kupić całe morze piwa.

Dzięki przedsiębiorczości i pracowitości Karola Proszka oraz pieniądzom mojego tatusia chatka przewoźnika stała się nagle najbogatszym domem Łęgów. W piwnicy ustawiono kamienne garnki z rybami w occie i cebuli, a kiedy brał je człowiek do ręki, sok ciekł mu między palcami i urywały się smakowite kąski, tak że aż mrużył oczy z zachwytu, takie to było dobre. Stały tam też gary z marynowaną sarniną i wisiały wianuszki praskich serdelków od Maceszki, stały także bańki z mlekiem i dzbanki ze śmietaną. I piekło się chleb i ciasto. Tatuś kupił nam oryginalną angielską żółtą piłkę, graliśmy w futbol na placyku, a w oknie naszego pokoju stał gramofon nakręcany korbką, a jak się go nastawiło, wygrywał:

*Na kierownicy sprawne ręce, gdzieś w oddali cel nasz łśni...
Masz mocne nerwy? Przewyciężysz zasadzki tysiąca mil...*

Sarninę przynosił Karol Proszek z krzywoklackich lasów, gdzie zdobywał ją w zagadkowy sposób, przynajmniej przez długie lata nikt nie wiedział w jaki. Oczywiście, w żyłach Proszka od urodzenia płynęła kłusownicza krew. Już jego dziadek zastynał z tego, że założył się, iż w samo południe przewiezie największego rogowca z krzywoklackich lasów obok posterunku żandarmerii, i zrobił to: w trumnie i na karawanie; kiedy indziej znów jego mamusia, kiedy żandarmi przeprowadzali w domu rewizję, kołysała rogowca w kołysce. Tych dwóch zniewag - a wieść o nich szybko się rozniosła nie mogli żandarmi Proszkom zapomnieć; i dlatego Karol wiedział, że nie uda mu się ani razu wystrzelić, wołał więc swoją flintę rzucić do Berounki, tuż nad jazem.

Ale mój przybrany wuj Proszek, miłszy mi niż wszyscy prawdziwi, znalazł inny sposób. Od gospodarza Novaka kupił sobie szczenię wilczura i nazwał go Holan, a to od sławnej praskiej firmy spedycyjnej. No bo i Holan mógł śmiało ciągnąć wóz z meblami. Miał potężną pierś, mocne nogi i ogromną paszczę, a nos mu jeszcze trochę z pyska wystawał, ślipia zaś miał żółte i zamyśnione, tylko że za tymi oczyma coś się jeszcze kryło. Były to oczy wilka. Po prostu kiedyś w kolejach losu jego rodu musiało się coś przytrafić, i Holan był w zasadzie wilkiem. Turlał się jeszcze - taka szczenięca kuleczka o wypukłych oczach - a już zabijał kury. Hau, hau, wrr, wrr. A przede wszystkim: haps! i laps! I ŚMIERĆ! To później. I dlatego gospodarz Novak chętnie się go pozbył. Ale był to właśnie taki pies, jakiego wuj Proszek potrzebował.

Przyganiał gęsi do domu, a tę, którą mu wuj Proszek przed odpustem wskazał, zagryzał jak ta lala.

Wypędzał krówkę i kury ze szkody. Rano Proszek znajdował na progu chaty zabita kunę albo tchórza, a zagryzione szczury leżały równiutko w szeregu jak kury na grzędzie. Na naszych oczach stoczył Holan pojedynek z roslym lisem, niosącym do lasu ukradzioną kaczkę. Holan dogonił go na zboczach i skoczył mu na kark. Ale lis nie był żółtodziobem. Przez godzinę leciały z nich kudły i płynęła krew, miotający się kłęb przesunął się o kilometr nad rzekę, gdzie w końcu Holan, który umiał łowić pstrągi, trzymał tak długo lisa pod wodą, aż ten się utopił.

Gdzieś w duszy Proszka i Holana rosła przyjaźń, jakiej nigdy nie widziałem nawet wśród ludzi. Holan z miłości do Proszka skakał do wody. Ilekroć go Proszek nie chciał wziąć ze sobą na drugi brzeg rzeki, ponieważ akurat woda była brudna, wezbrana albo płynęła kra, Holan rzucał się w nurt i podążał w ślad za panem. A tam, za rzeką, koło tego białego murowanego budynku "Annam", pan popijał piwo lub jeszcze chętniej rum, a Holan bez ruchu czekał całe godziny na dworze, ze wzrokiem utkwionym w drzwiach. Po alkoholu Proszek miał zawsze kiepski humor. Wytoczywszy się z gospody, wymyślał psu i rzucał w niego grudami ziemi albo polnymi kamieniami, ale Holan biegł nie opodal.

Proszek kłął na hipotekę ciążącą na chałupie i kłął na swojego tatusia. A potem jego wątłutka żona Karolina przywoziła go wraz ze skomlącym psem do Łęgów, on zaś kładł się pod ogromną piękną akacją, w której kwiatkach brzęczały na wiosnę pszczoły i trzmiele, i spał jak w bajce. Ale Holan, nocny włóczęga, który nigdy nie widział swojego pana śpiącego w łóżku, tego snu nie rozumiał i zawsze mu się wydawało, że jego pan umiera, wobec czego wył i skomlał, i dopiero po dłuższym czasie przytulał się do swojego pana, zbliżał pysk do jego nosa i poczuwszy jego oddech, usypiał również. A kiedy budzili się, Proszek mówił do Holana: "Ty draniu!", i schodził do piwnicy na ogórki kiszzone w occie i koprze.

Nazajutrz już przekopywał motyką kamieniste poletko, a Karolina całymi kilometrami nosiła ciężkie płachty trawy i patyków z łąki Brtwy. I to było ich życie. Ale nie całe...

Na kępie nad rzeką pięło się w górę zbocze i było to zbocze niezwykle: nie leżał tu ani jeden kamień, jakich mnóstwo bywa na takim stoku, ale na polankach pomiędzy potężnymi dębami rosła soczysta miękka murawa; tu przychodziła zwierzyna paść się, tędy biegła do wodopoju. Właściwie był to piękny ogród czy też park zamkowy, ale tak naprawdę był to ogród śmierci, można tam było umieścić napis: "Śmierć pięknych saren."

Kiedyś - a upłynęło od tamtej chwili sporo czasu - Karol Proszek przychodził tu z Holanem, ujmował łeb zwierzęcia w dłoń i wskazując mu brunatną kropkę na tym zboczku, ledwie widzialny punkcik, polecał mu:

- Bierz go, piesku!

I Holan, wczoraj jeszcze szczenię, gnał, jakby polował od niepamiętnych czasów. Chwytał wiatr, aby go rogacz nie zwietrzył, i biegł lekko, podobny do babiego lata. Najpierw sadził susami, zamiast łap nadmuchane poduszeczki, ostatnie dziesiątki metrów biegł przygięty ku ziemi, a w końcu pełzł. Potem zaś rzucał się, mając nad rogaczem niewielką, ale znaczącą przewagę - moment zaskoczenia. Rogacz bekał, odbijał się - ale za późno. Holan kilka metrów trzymał się jego boku, po czym skakał mu na kark, siłą rozpędu zwał go na ziemię i zazwyczaj łamał mu kręgosłup, potężną szczęką przegryzał mu jeszcze tętnicę szyjną i zanim Proszek doszedł do zwierzęcia, było już po wszystkim. Odgrywało się to cichutko, dęby milczały, górą nad zboczem chodzili po płaskowyżu gajowi i liczyli pnie do wywózki, a leśniczówka kąpała się w słońcu. Proszek wsadzał rogacza do ogromnego wora, w stodole odzierał go ze skóry i wszystko prócz mięsa palił. Przez cały miesiąc mieli mięso, tak jak później mieli z kolei ziemniaki z kamienistego poletka, skąd musieli je wykopywać motyką. Tak to ci ludzie widzieli, ale kryła się w tym także tęsknota za przygodą, chociaż nie nazywali tego tak jak ludzie z miasta.

A co było dalej?

Otóż dalej było tak, że leśnicy i gajowi z czasem zaczęli oprócz drzew liczyć także sarny i rogacze, i rachunek im się jakoś nie zgadzał. Przypomnieli sobie kłusownika Proszka, udali się do Łęgów, a kiedy zobaczyli Holana, poczuli pismo nosem.

Proszek przewoził leśniczego Novotnego i jego pomocnika przez rzekę, a Holan właśnie gonił za czymś po zboczku.

- Ten pies to kłusownik, panie Proszek - powiedział Novotny prosto z mostu.

- Ależ skąd, panie leśniczy. Bawi się tylko.

- Ładnie się bawi! Ściga zwierzynę! Ani na metr nie zboczy z tropu!

- Zagwiżdżę i zanim przybijemy do brzegu, będzie przy łódce.

Proszek puścił wiosło, gwizdnął na palcach i beztrudnie prowadził łódź dalej. Przybił do brzegu pod tą piękną akacją, a Holan tam już stał i merdał ogonem.

- Gdzie masz krówkę? - zwrócił się doń Proszek. - Przyrowadź ją do domu.

Holan potrząsnął łbem i pobiegł na stok, a później na pole.

Novotny patrzył w ślad za nim.

- Nie, on nie jest kłusownikiem, to dobry pies, panie Proszek.

Od owego dnia, jeśli idzie o te sprawy, zapanował tam istny raj. Gramofon odeon wygrywał "Tysiąc mil" i przyrządzało się sarninę w śmietanie z knedlami i wszystkie te miejscowe branowskie potrawy jak ziemniaki i knedle, zwane "węglarz", albo knedle z masłem czy placki kartoflane zapiekane w piekarniku, zwane "bac". Jezu Chryste, to ci były specjały! I nagle wszystko się skończyło, bo przyszedł były kapral pan Adolf Hitler, który miał pod nosem wąsik jak mój ukochany wuj Karol Proszek.

Łęgi nie miały wówczas miejscowego radiowęzła, a nowiny ogłaszał waląc w bęben przed chałupami strażnik gminny, Karol Kowarzyk, były szewc, głuchy jak dwa pnie, w austriackiej czapce na głowie i w wyświechtanych łachach. Miał czerwony bębenek i niebieskie pałeczki, a kiedy skończył bębnić, zebrał od nas, chłopaków:

- Daj mi koronę!

Mój tatuś dawał mi zazwyczaj pieniędzy dla niego, a on tak się z tego cieszył, że szedł przez las na daleki Kourzimec i na Emilownę, a po drodze uderzał pałeczkami w ten czerwony bębenek. Sarny i jelenie znały go

już i zbiegały się wzdłuż drogi, aby na niego popatrzeć, bo wiedziały, że z tego hałasu płynie tylko dobro. Ale w końcu staremu pomieszało się trochę w głowie, bo chodził ponoć przez ten las i błagał zwierzęta, aby i one dały mu po koronie.

A kiedy przyszedł Adolf Hitler, pan Kowarzyk zabębnił i ogłosił:

- Podaje się do wiadomości, że w tym kraju powstał Protektorat Czech i Moraw, Protektorat Bohmen und Muhren.

Mój tatuś cierpiał nad tym, że nie może pojechać do Krzywoklatu, i gdyby nie mamusia, której bał się tylko odrobinę mniej niż Adolfa Hitlera, dawno już by się tam wybrał. W trzecim roku wojny moi bracia Hugo i Jurek otrzymali wezwania do obozu koncentracyjnego.

- Ci chłopcy muszą się przed odjazdem najeść - powiedział wówczas tatuś. - I to mięsa. Przywiozę jakieś ryby. Tatuś nie miał prawa jeździć na rowerze gdzie indziej jak do pracy, nie mógł bez pozwolenia opuścić miejsca zamieszkania, a ryb łowić to już w ogóle mu nie było wolno, bo nie mieszkał na Riwierze, ale w Protektoracie, pod dozorem żandarmów i gestapo. Udał się więc do swojego najlepszego przyjaciela w Busztegradzie, doktora Gwidona Jarzabka, który napisał mu zaświadczenie, że z powodu choroby mój tatuś nie może pójść do pracy. Gwidonowi nawet do głowy nie przyszło, że tatuś wybiera się na weekend w okolice krzywoklackiego zamku. Tatuś opuścił nasz dom w Busztegradzie, oznaczony numerem pięćdziesiątym czwartym - bez gwiazdy, odpruła ją i włożył do kieszeni, załadował na rower plecak, worki, a także składany basenik na węgorki. Mamusia wymyślała mu, że tyle tego bierze!

Słońce jeszcze nie wzeszło, a tatuś już pedałowal przez Żehrowice i Lany, drogę zaś oświetlały mu inne gwiazdy niż ta w kieszeni, na której wypisano: JUDE. I myślał o wszystkim, również o tym, jaki ten świat jest zagmatwany i zaszary: niedawno jechał tędy jak pan w swoim amerykańskim buicku, a teraz wlecze się wzdłuż skarpy na skrzypiącym rowerze jak biedny Żydowin. A potem serpentynami zjechał pod Krzywoklat i pchał rower pod górę nad Wiszniówką, i pedałowal dalej wzdłuż rzeki Berounki, gdzie piana zbierała się na szczupaczych dołach jak przed laty i woda tak samo szumiała jak wtedy, i rozleniwione upałem żmije pełzły przez drogę. Pojawiła się piękna willa Czecha i młyn, i bielona chata Proszka z dwoma oknami i czerwonym dachem, i mój tatuś jechał tam, jakby go magnes przyciągał, i dojechałby aż do niej i do tej kwitnącej właśnie akacji, gdyby między nim a tą chatą nie płynęła rzeka. Przyjeżdżał przecież tu już ze sto razy, ale teraz wydała mu się najpiękniejsza: jak pałac lub jak zamek czy jak coś, czego w ogóle nie da się wypowiedzieć. Nie wiedział, dlaczego tak się dzieje, ale chyba dlatego że długo jej nie widział i że zasłużył sobie na nią, wypedałowal ją sobie na tym rowerze i całymi latami przewycięzał strach, aby tu przyjechać. To jednak zupełnie coś innego niż przywieźć tu swój tyłek, siedząc w wygodnym buicku. A poza tym ujrzeć tę chałupę oznaczało przekonać się, że jeszcze stoi i będzie stać nadal, kiedy Niemców już tu nie będzie, i że potem także będzie tu Karol Proszek, a być może również i my: Żydzi, pół-Żydzi i ćwierć-Żydzi.

Siedział na miedzy i patrzył na chałupę.

- Hej, tam, przewoźnik! - zawołał.

Kiedy indziej wszyscy wybiegaliśmy na dwór, puszczaaliśmy na gramofonie "Tysiąc mil", a nasza mamusia pędziła zazwyczaj na brzeg i - tak jak stała, w sukience - rzucała się do Berounki: ot tak sobie, dla zabawy! Jurek, który najlepiej z nas kopał, z okazji przyjazdu tatusia wykopywał wysoko w powietrze tę żółciutką angielską piłkę, my zaczynaaliśmy krzyczeć, a Holan szczeakał jak szalony. Słowem: cyrk!

Ale tym razem chałupa stała cicha, jakby w pobliżu już rozlegały się strzały, i tylko po chwili wyszedł z niej pan w kapeluszu i duży pies. Proszek zbliżał się łodzią do drugiego brzegu, a kiedy poznał tatę, rozpromienił się jak słończko. Po raz pierwszy w życiu ucałowali się.

Tatuś nie spał u Proszka. Wstawił tylko rower do stodoły i wziął w płachcie żytnią słomę na kępe, w nocy położył się na niej i przykrył kawałkiem brezentu. Karol przyniósł mu na śniadanie mleko, masło, chleb i świeży makowiec od pani Karoliny. Tatuś mącił wodę i łowił malutkie okonki jako przynętę na duże węgorze, przygotowywał sznury i składany basenik. Gospodarze z Busztegradu obiecali mu za węgorze mięso i smalec ze świnioobicia. Ale noce były cudownie jasne, a więc niedobrze. Księżyc świecił pełnym blaskiem, czyli raczej dla poetów, a węgorze, nocne drapieżniki, bały się i nie brały. Tatuś już zaczął rozpaczać, całymi nocami nie spał, zakładając na haczyki rybki i dżdżownice. Rano sznury świeciły pustkami, a on, wyrwał sobie włosy z głowy i przeklinał zaszary świat. Karol przyglądał się, jak gotuje w kociołku knedle z malinami.

- Niech się pan nie martwi - odezwał się. Zawiezie pan do domu mąkę i masło.

- Ja, Karolu, potrzebuję mięsa dla swoich chłopaków. Jeszcze raz w życiu muszą się porządnie najeść mięsa.

- Nie mam mięsa, panie Leonie... Musiałbym dla pana zabić krowę. Jeśli pan chce, jeszcze dziś zabiję Srokata. I wtedy tatuś wypowiedział to zdanie, o którym widocznie myślał już w domu i którego mamusi nie zdradził, ale dla którego tu przede wszystkim przyjechał:

- Przynieś mi, Karolu, rogacza. I była to prośba, a zarazem rozkaz.

A Karol na to:

- Od czasu kiedy szkopy tu przysły, nie byłem z Holanem w lesie. Myśli pan, że nie jestem mężczyzną, ale ja mam sześcioro dzieci. A teraz grozi za to kara śmierci.

- Dobrze, Karolu. Pożyczysz mi Holana?

- Nie wiem, czy pójdzie z panem. Z nikim jeszcze nie chodził.

- Ze mną pójdzie.

- Jeśli pójdzie, to go dam.

- Zjawię się po niego, Karolu, gdy nadejdzie właściwa chwila.

Karol Proszek odchodził ze zgarbionymi plecami, to było dla niego okrutne.

Mój tatuś rozłożył pośród tataraku swój brezent, wyciągnął się na nim i przez teatralną lornetkę babci obserwował zbocze. Minał dzień, drugi. Koziół nie przychodził. Tatuś pił mleko z bańki, którą mu przynosił Proszek. Z Proszkiem nie rozmawiali, jakby nagle wyrósł pomiędzy nimi mur.

- Przyszedł?

- Nie przyszedł.

I to wszystko.

Nadszedł ostatni dzień, kiedy jeszcze mógł się zjawić, bo nazajutrz tatuś musiał już wyjechać. Leżał w sitowiu i przyciskał do oczu małą lornetkę, z zaczerwienionych oczu płynęły mu łzy zmęczenia i wściekłości. Natura zmówiła się przeciwko Żydowi: te jasne księżycowe noce, te nocne węże wodne, a teraz las cichych dębów, pośród których nie pokaże się nawet wiewiórka. Po południu usnął, czapka zsunęła mu się na tył głowy, lornetka babci Malwiny spadła w tatarak. Kiedy się obudził, było popołudnie, takie późne popołudnie, kiedy owady dokądś odlatują, krowy wracają z pastwisk do domu, a ryby zaczynają brać. Tatuś przetaił oczy. Naprzeciwko, na zboczu, zupełnie blisko pasł się rogacz, widocznie w ostatniej chwili przysłał go tu żydowski Pan Bóg. Tatuś chwycił lornetkę i przyjrzał się zwierzęciu. Piękne poroże, piękniejsze niż wszystkie, jakie widział przed wojną w krzywoklaskim zamku. Był to wprost boski rogacz. Potężna głowa spoczywała na mocnej, grubej szyi, a cały płonął niezwykłą rudozłotą barwą, jakby przyszedł tu nie od samego Boga, ale wprost z ognistych czeluści piekła.

Tatuś omal że się utopił w bagnistej zatoce, brodząc na drugi brzeg; do przewozu przybiegł cały zadyszany i czarny.

- Co pan wyrabiał? - przywitał go Proszek.

- Karolu, gdzie jest Holan? Jest tam kapitalna sztuka. Rogacz jak ciele.

- Ja bym tam tego, proszę pana, nie robił. Po południu przechodzili tędy Niemcy, na pewno gdzieś do gajówek. Cały oddział. Nieśli ręczne karabiny maszynowe.

- Powiedziałeś, że mi dasz swojego psa.

- Jeśli z panem pójdzie. Holan!

Holan wylazł spod drzwi. Zbliżył się i popatrzył na Proszka:

- Pójdiesz z nim i będziesz robił, co ci każe. Rozumiesz? - A do tatusia: - W ostatniej chwili ujmie pan jego łeb w dłoń i powie: "Bierz go, piesku!" I o nic więcej nie musi się pan już martwić. Proszek wszedł do chałupy i zamknął za sobą drzwi, aby Holan zrozumiał, że ma teraz innego pana.

Holan usiadł i wpatrywał się w oblepionego błotem tatusia. Jeszcze nigdy w życiu nie widział takiego straszdyła. Po chwili poznał go, pomerdał ogonem, podniósł się i tatuś myślał, że wygrał. Ale mylił się. Holan usiadł ponownie, oczekując, że tatuś rzuci mu jak zwykle kilka praskich serdelków.

- Choć ze mną, Holan. Pamiętaj chyba te serdelki, które ci przywoziłem. Chodź, przyjacielu!

Holan siedział, mrugał tylko ślepiami i nadal wpatrywał się w mojego tatę. Nie ulegało wątpliwości, że z nim nie pójdzie, nigdy z nikim nie chodził. Mój tatuś zaczął go znów prosić, jak nigdy jeszcze nikogo nie prosił, ale na próżno. Mówił mu:

"Holanie!", "Holaneczku!" - ale na nic się to nie zdało. W końcu ogarnęła go rozpacz. Znajdował się na granicy stanu, jaki nazywa się szaleństwem. Wyjął z kieszeni tę małą płócienną gwiazdę Jude i pokazując ją Holanowi krzyczał:

- Teraz ze mnie parszywy Żyd i nie mam żadnych serdelków! A przydałyby mi się bardzo. Jestem Żydem i potrzebuję mięsa dla swoich wspaniałych chłopaków, i ty musisz mi je zdobyć!

Łzy ciekły mu po policzkach, odwrócił się i ruszył ścieżką, która prowadziła na kępę. Posyłał Proszka i Holana do wszystkich diabłów. Postanowił iść dalej, nigdy już nie spojrzeć na tę białą chałupę, spakować brezent, przybory rybackie i bez niczego wracać do domu. Ale na początku dróżki jednak nie wytrzymał i obejrzał się.

Oczy psa spotkały się z oczyma człowieka. Patrzyły na siebie długo, może cały wiek, światła gasły w nich i zapalały się, a co sobie mówiły, nikt się nie dowie, bo obaj nie żyją, a gdyby nawet żyli, nikt by się i tak nie dowiedział, gdyż oni sami tego nie wiedzieli. Może przeklinały psie życie, może żydowskie, ale to wszystko -

może... Holan wstał, przeciągnął się i ruszył leniwie jak zwyczajny pies przewoźnika za moim tatusiem, jakby zawsze do niego należał. Na ścieżce zmienił się w wilka.

Mój tatuś szedł tą samą wąską ścieżką nad rzeką ku stokowi, gdzie pasł się rogacz, a o trzy kroki przed nim kroczył Holan. Mój tatuś uczestniczył już w różnych polowaniach, ale to było coś zupełnie innego niż wówczas, gdy strzelał na polowaniach i dawał istne koncerty, bo strzelać nauczył się w Afryce, gdzie nie mieli co robić i nieustannie strzelali. Pewnego razu koło Bakowa stracił dwoma strzałami z dubeltówki dwa bekasy, które latają zygzakiem nisko nad ziemią. Podeszedł do niego mistrz republiki w strzelaniu, pan inżynier architekt Kostrba, wyjął zza wstażki kapelusza pióro sójki i wręczył je tatusiowi.

Szedł z boczem i w duchu widział Niemców na płaskowyżu. Siedzieli na pniach przed śnieżnobiałą gajówką, kroili bagnetami słoninę i popijali sznapsa. Śmiali się, a na kolanach mieli szybkostrzelne żelazne karabiny i wyrwali Żydom włosy z głowy i z brody. Tatuś wiedział, że jeśli go złapią, to najpierw go skatują, a potem rozstrzelają i wrzucą do rzeki, a on popłynie przez krainę, którą uważał za najpiękniejszą na świecie, i zaczepi się o wielki czarny gład koło Szymów Skały, a tam wślizną się weń węgorze, które wyjedzą mu wnętrzności, serce i mózg i tak odpłacą za to, że wyławiał je z tej najpiękniejszej rzeki na świecie.

Do kępy nie było już daleko. Kilka grabów, potem zagajnik chudziutkich brzoźek o liściach koloru bagna, a dalej już dęby. Pies zatrzymał się. Dostrzegł rogacza.

Jeszcze można było zawrócić, Holan zrobiłby to. Ale tatuś ujął jego łeb w dłoń i szepnął mu ten morderczy rozkaz:

- Bierz go, piesku!

I Holan pobiegł. Obrął kierunek i niemal leciał w powietrzu pomiędzy dębami. A potem sunął już przygięty, na ostatnich zaś metrach zniknął tatusiowi z oczu, czołgał się w wysokiej trawie. Tatuś zapomniał o ostrożności i o tym, że może rogacza spłoszyć, i zafascynowany szedł coraz dalej i dalej. A potem zobaczył, jak pies skoczył, i usłyszał, jak kozioł beknął. Holan od kilku już lat nie polował i po prostu chybił. Skoczył rogaczowi na grzbiet i ześliznął się po zadzie. Mój tatuś oparł się o pień dębu, nie miał już siły dokądkolwiek iść czy też cokolwiek robić. Oglądał ciche przedstawienie, ale jak na las - bardzo głośne. Zwierzęta sapały, stok osypywał się, trzaskały stare gałęzie, w koronach dębów śpiewały ptaki. Rogacz okazał się jeszcze potężniejszy, niż wydawał się z kępy. Sadił skokami ku rzece, jakby wyrzucała go mocna sprężyna. Na mniej więcej dwadzieścia metrów od brzegu rzeki Holan skoczył po raz wtóry i ostatni. Rogacz wywinął kozła jak trafiony śrutem zając. Ale żył jeszcze. Coś działa się nadal, oba skłębione ciała toczyły się po stoku i zielona trawa późnego lata zabarwiła się krwią. Nad rzeką kozioł spoczął ostatecznie: już nie poruszył się, a Holan stał nad nim dysząc.

Mój tatuś spływał potem od stóp do głów. Wyszedł spod dębu i zamierzał zejść nad rzekę. Nagle zobaczył dwóch mężczyzn, którzy odpędzali psa. Tatuś zaczął drżeć, pomyślał znów o tych niemieckich żołnierzach z karabinami maszynowymi, którzy już zapewne nie siedzą koło śnieżnobiałej leśniczówki. Ale ci dwaj mężczyźni okazali się rybakami, mieli na plecach wędki, tak jak inni noszą karabiny. Odpędzili psa, wyjęli noże i zupełnie spokojnie, jakby rogacz do nich należał, zaczęli ściągać z niego skórę. Holan wrócił z oklapłymi uszami i zawstydzonym spojrzeniem jak po porządnym laniu.

Smutni wrócili do chaty przewoźnika, Karol Proszek ujrzał pusty plecak ojca i przyjął ich niemal z radością.

- A więc rogacza już tam nie było? Uciekł?

Mój tatuś opowiedział, co się stało. Wuj Proszek nie znosił, kiedy mu ktoś sprzątał rybę z zarzuconej wędki, a cóż dopiero kozła! A poza tym wiedział, że zaczęło już się na dobre coś, w czym na początku nie chciał uczestniczyć, ale w końcu i tak musiał w to wdepnąć.

- Niech pan mnie uważnie słucha - powiedział. - Pan pójdzie ścieżką, a ja trochę niżej, tak jakbyśmy czegoś szukali. Ale szybko. Psa zostawimy tutaj.

Szli, niemal biegle, a w pobliżu tego zbocza, gdzie umierały sarny, Proszek zawołał:

- Panie nadleśniczy, to było tutaj!

A tatuś odpowiedział jak kiepski aktor-amator:

- A tak, tak, chyba tutaj!

Usłyszeli głośny tupot i ujrzeni obu rybaków uciekających wzdłuż rzeki w stronę "Tajnego Agenta" i miejsca, gdzie zwykle żerowały barweny i gdzie dało się przejść rzekę w bród i zmykać dalej, aż tam gdzie pieprz rośnie.

Proszek zbliżył się do rogacza: był już sprawiony, odarty ze skóry, ozdobiony świerkowymi gałązkami jak w sklepie z dziczyzną, widać, że robili to fachowcy. Opodał leżał łeb zwierzęcia z zamkniętymi oczyma i wspaniałymi ogromnymi rogami. Proszek raz jeszcze popatrzył w ślad za rybakami.

- Ślicznie wam dziękujemy, chłopaki! - powiedział.

Wepchnęli kozła do plecaka i wtedy rozległy się w lesie pierwsze strzały. Niemcy rozpoczęli polowanie. Tatuś i wuj Proszek biegle już ścieżką na przemian dźwigając plecak. W domku przewoźnika ukryli go na strychu, a

tatusz spędził ostatnią noc na kępie. Nie spał, nieustannie wpatrywał się w milczące gwiazdy i świecący jasno księżyc, a kępę opływała rzeka i gdzieś polowała wydra, i było mu cudownie, że tu był i że wszystko się udało, tak jak tego pragnął.

Wyruszył z domku przewoźnika przed wschodem słońca, biedak Proszek zdobył mu jeszcze gdzieś sto cygar na drogę. Na rowerze miał mąkę, masło, ciasto, a w plecaku tuszę rogacza, głowę z rogami zostawił Proszkowi. Wspiął się pedałując mocno na wzgórze, a potem zjechał w dół do miasteczka Krzywoklat. W miasteczku roilo się od Niemców. Stracił głowę i chciał porzucić rower, ale pewna pani zwróciła mu uwagę:

- Proszę pana, gdzie się pan tak zakrwawił?

Ta czeska kobieta, której nie znał z nazwiska, wzięła go do domu, wraz z mężem przepakowali mu dziczyznę, zrobili mu kawę, aby posilił się przed drogą, a ona tymczasem sprąła plamy z jego płaszcza. A potem mój udany tatuścio gnał dalej i był już jakoś spokojny, bo po tym, co przeżył w krzywoklaskich lasach i teraz, wiedział, że dziś, a także jutro będzie miał szczęście i że nic mu się nie stanie. Wracał jak z wycieczki, a kiedy rozedniło się i minął go samochód pancerny Wehrmachtu nie zwracając na niego uwagi, zaczął sobie pogwizdywać legionowe piosenki, a także tę nieprzyzwoitą, po niemiecku:

Der Elefant von Indien, der kann Loch nicht findien.

Zaczynało się lato i było pięknie, kwiaty czereśni opadały już i opadały kwiaty grusz i jabłoni, i zaczynały się już zawiązywać owoce w tym trzecim roku wojny.

Do Busztegradu przyjechał po południu i rogacz został sprawiedliwie rozdzielony. Jeden udziec daliśmy piekarzowi nazwiskiem Blaha, był dla nas podczas wojny bardzo dobry, drugi - Burgerom z dworu, którzy byli dla nas jeszcze lepsi, a resztę mama zamarynowała w takim pięknym kamiennym naczyniu i robiła moim braciszkom Hugonowi i Jurkowi pieczeń na dziko i befsztyki, a to były jej popisowe dania. Chłopcy napychali się na przyszłe lata, aby przeżyć Teresin, Oświęcim, Mauthausen i marsze śmierci w trzydziestostopniowych mrozach, i dźwiganie kamieni po mauthauseńskich schodach w trzydziestostopniowym upale, i wszystkie te wspaniałe rzeczy, jakie im Niemcy zgotowali. Hugo wrócił w całkiem dobrym stanie. A kiedy Jurek przyjechał z Mauthausen, ważył czterdzieści kilogramów i przez pół roku umierał z głodu i cierpienia, zanim znowu zaczął żyć. Nigdy mi o tym wiele nie mówił, raz tylko, kiedy wspomnieliśmy tego rogacza, zauważył:

- Kto wie, czy właśnie ten rogacz nie ocalił mi życia. Może właśnie te ostatnie kawałki porządnego mięsa dały mi siłę, by przetrwać do końca.

Wuj Proszek ów łeb rogacza spreparował i powiesił nad drzwiami swojej śnieżnobiałej chałupy. Zrobił to, choć było to wbrew jego zasadom, leśnikom zaś powiedział, że te piękne rogi dostał z Alp. A swoim dzieciom i wnukom opowiadał, że jeśli się tak dobrze zastanowić, to polowanie na tego rogacza było znacznie niebezpieczniejsze niż polowanie na dzikie zwierzęta w Afryce. I obiecywał przy tym, że kiedyś im to opowie. Ale już nie zdążył. Nie zaniósł też na mój ulubiony krzywoklaski zamek poroża rogacza, tak jak obiecywał, ktoś mu je ukradł, bo Holan już nie żył. Wuj Proszek umarł po wojnie wkrótce po nim i nie miał już na to czasu.

Kiedy przyjechałem na jego pogrzeb i na brzegu orkiestra wygrywała pieśń o wiernym przewoźniku, a wujka w wielkiej czarnej trumnie kładli na jego najstarszą łódź, na której przewiózł na drugą stronę rzeki dziesiątki nieżyjących już przyjaciół, zrozumiałem wszystko i ryczałem jak nigdy w życiu. Leżał w tej trumnie z pięknym wąsikiem pod nosem, blady jak sama kuma Śmierć. Wieźli go na drugi brzeg i rzeka płynęła pod nami, jak płynie od milionów lat, a mnie nie można było uciszyć. Miałem już tyle lat, że wiedziałem, iż nie tylko grzebię wuja Proszka, ale całe swoje dzieciństwo i wszystko, co się z nim wiązało. W tej trumnie spoczywała też prawdziwa angielska piłka, chłodna maślanka, marynowane ryby i dziczyzna, pies Holan, praskie parówki i płyta gramofonowa "Tysiąc mil".

Karpie dla Wehrmachtu

Już na samym początku okupacji zabrano mojemu tatusiowi busztegradzki staw.

- Po co Żyd ma hodować karpie? - przekonywał go starosta.

Dolny staw w Busztegradzie już z dawien. dawna był miłością mojego tatusia, kochał się w nim jak w dziewczynie (w dziewczynach zresztą - mówiąc nawiasem - tatuś też niekiedy się kochał!). A przy tym ten staw nie wyglądał wcale tak baśniowo jak tamten w południowych Czechach, gdzie unoszą się znad wody opary, szeleści tatarak i z krzykiem krążą mewy, ale szło tu o przyzwoity staw pośrodku miasta, mający z jednej strony browar, z drugiej topole, a z jeszcze innej domki i chałupy. Jednakże tatuś po tym stawie już jako malec

pływał w balii, tak jak przed nim pływali tam w balii jego tatuś, dziadek i pradziad, łączyły go więc ze stawem jakieś więzi rodzinne (mówiąc między nami, także i to, że w tym stawie rosły szybko smaczne karpie, nie śmierdziały bagnem i on mógł sobie na nich dorobić do swojej pensji komiwojażera, handlującego lodówkami i odkurzaczami sławnej firmy "Elektrolux").

W czasach pokoju tatuś chodził brzegiem stawu z kajzerkami w papierowej torbie i karmił swoje karpie jak kury:

- No, macie, łobuzy. Na, na...

Karpie podpływały, otwierały pyszczki, połykały bułkę i - plusk! - bezbłędną przewrotką znikwały z powrotem pod wodą. Kazał je również dokarmiać młótem z pobliskiego browaru i karpie wyglądały jak pączki w maśle. Rosły, no po prostu rosły jak na drożdżach. Kiedy przyszli Niemcy, wzięli je - jak wiele innych rzeczy - do niewoli. Poza tym Niemcy nie mieli nam co zabrać, bo z tatusia był spryciarz nie lada i już na długo przed wojną mawiał, że w naszej rodzinie wszystko się przejada, przepija i wydaje na przyjemności (mamusia robiła mu czasami wymówki, że z tych przyjemności korzysta tylko on sam !). Ale prawdę powiedziawszy, wcale tak nie było, pamiętam czasy, kiedy zarabiał mnóstwo pieniędzy i dawał nam wszystko, co mógł, w spiżarni wisiały wspaniałe bażanty z pięknymi długimi ogonami i szynka, z której mogliśmy sobie kroić, ile dusza zapagnie. Jednakże bywały i takie czasy, kiedy przychodzili do nas komornicy nakładając sekwestr na meble, a my stawaliśmy na baczność. My, trzech basatyków, stawaliśmy na baczność również z innej okazji, a to wówczas, gdy z radia płynęły dźwięki naszego hymnu narodowego. Pewnego razu hymn rozległ się, kiedy leżeliśmy już w łóżkach, i my zerwaliśmy się i staliśmy na baczność w nocnych koszulach, a tatuś z dumą pokazywał nas gościom: jak to jesteśmy wychowani w duchu patriotycznym.

Mój tatuś w ogóle kochał ten kraj, i to chyba bardziej niż mamusia, która była chrześcijanką; ale dla niej było to w jakiś sposób oczywiste, podczas gdy mój tato szukał ojczyzny poprzez swoich przodków setki lat, zanim ją wreszcie znalazł. I tak też za ostatnie większe pieniądze przed wojną, zamiast zgromadzić zapasy żywności, kupił oryginalne piękne czeskie popiersie. I kiedy Niemcy przyszli, ono stanowiło cały nasz majątek. Z zapakowanym popiersiem i meblami przeprowadziliśmy się na początku wojny z Pragi do Busztegradu, gdzie tatuś miał swój dom rodzinny i swój jedyny staw.

Kiedy mu wówczas pan starosta w obecności nas wszystkich oznajmił: "Konfiskujemy ten staw!", tatuś nie zwiesił głowy, nie zgarbił się, lecz odciął się ostro: "Obyście jeszcze zechcieli udławić się ośmi moich karp!" Pan starosta otworzył szeroko oczy, ale nic nie zrobił, nie chciał mieć mojego tatusia na sumieniu.

Potem tatuś i moi braciszczkowie zaczęli pracować w kładeńskiej kopalni, tatuś jeździł na rowerze, rower mu po drodze skrzypiał i śpiewał taką niezwykłą piosenkę, trudno ją było zrozumieć, ale naprawdę była bardzo niezwykła. Być może kryło się w niej coś o hańbie, to znów o buncie człowieka, rower chyba wyśpiewywał to, co rozgrywało się w duszy tatusia.

A potem zaczął na tatusia spadać cios za ciosem.

Wiedzieliśmy, że ciągle chodzi nad swój staw do swoich karpie. Mimo że mieliśmy mało chleba, stale je karmił i chyba miał nadzieję, że mu ich podczas wojny nie wyłowią i karpie doczekają się szczęśliwego końca. Chodził nad staw w dzień i o zmroku, po prostu go to opętało.

Pewnego dnia zjawił się na grobli pomiędzy topolami i struchlał. Na bagnistym brzegu stali czterej mężczyźni w eleganckich zielonych mundurach, z wędkami w ręku. Tatuś jak zafascynowany zbliżał się do nich krok za krokiem, jakby chciał zapytać, co tu robią i na co pozwalają sobie tu przy jego stawie. A kiedy ten pierwszy, szczupły, w butach z cholewami, obrócił się do niego, tatuś zobaczył trupią czaszkę esesmańską i roześmianą twarz.

- Czego chcesz, Żydzie? Masz ochotę na karpia?

Tatuś milczał.

- Weź go sobie! - rozkazała. trupia czaszka.

Oficer wyjął z wiaderka karpia i rzucił go pomiędzy siebie a tatusia w błoto, gdzie karp powoli umierał. Wszystkie cztery trupie czaszki wybuchnęły śmiechem. Potem jeden z nich przestał chichotać i wrzasnął:

- Wynoś się stąd, Żydzie!

Mój tatuś odwrócił się i oddalił z wolna, wyprostowany jak zawsze, nigdy się nikogo nie bał i nawet Niemcy nie nauczyli go pełzać.

Okupacja wszędzie była zła, ale w Busztegradzie jeszcze odrobinę gorsza. Zagłada Lidice wstrząsnęła całym światem. Ale Busztegrad, mój tatuś, mamusia, bracia, ja, my wszyscy widzieliśmy, jak Lidice płonęły, my słyszeliśmy, jak Lidice krzyczały zza wzgórza; chodziłem do szkoły z chłopcem o nazwisku Przygoda, i teraz jego miejsce w ławce ziało straszliwą pustką, często graliśmy tam w piłkę nożną, tatuś miał tam kolegów; Niemcy wpadali do nas na rewizje z bagnetami na karabinach. A mamusia, drobniutka, jasnowłosa, musiała chodzić pracować na lidické pola i często wracała zapłakana, bo na grobach z krwi i ciał pomordowanych rosła

wysoka gęsta trawa. My o zagładzie Lidic nigdy nie zdołamy zapomnieć, wgrzyły się nam w serca jak kleszcz w skórę, kleszcz, który zamiast ząbków i odnóży ma czarną swastykę.

Tatusia to wówczas całkowicie zmogło, miał już w oczach ten przeklęty stuletni smutek.

I przestał chodzić nad staw, nie wierzył już, że karpie kiedyś znów będą jego.

A potem spadł na nas straszliwy cios. Moi bracia musieli pójść do obozu koncentracyjnego. Zostaliśmy tylko we trójkę i niekiedy posyłaliśmy im na adres w Teresinie dwudziestokilowe paczki. Tatuś zdobywał pieniądze na paczki, a ja chodziłem do gospodarzy w Busztegradzie i do innych wsi, aby kupić żywność. Nie rzucałem się w oczy, byłem mały i wąły, miałem przecież zaledwie dwanaście lat, nikt nie zwracał na mnie uwagi. Znaleźli się wspaniali ludzie, tacy, jak Burgerowie czy piekarz Blaha, ale byli także inni. W zimie chodziłem od wsi do wsi z węzełkiem na plecach, w jednym z gospodarstw czekałem na podwórzu dwie godziny, zanim pani gospodyni raczyła mi przynieść małej woreczek mąki. Nigdy nie przynosiłem tego wiele, ale mamusia zawsze chwaliła mnie, gładziła po włosach i mówiła: "Mój ty mały biznesmenie!" A już najszczęśliwszy byłem wówczas, gdy udało mi się gdzieś wyżebrać dla nich papierosa: siedzieli wówczas z tatusiem naprzeciwko siebie, podawali go sobie i palili w najlepsze, opowiadając, jak to będzie, kiedy wojna się skończy.

Tuż przed Bożym Narodzeniem tatusia powołano do obozu koncentracyjnego.

Powodziło się nam wówczas już dość kiepsko, mamusia skarżyła się, że nic nie będzie mu mogła dać na drogę.

Na dwa dni przed odjazdem tatuś uprzętał śnieg przed domem. Byliśmy wówczas winni gminie żydowskiej jakieś tam podatki i oczekiwaliśmy, że ktoś z tej gminy do nas przyjedzie. Przed domem zatrzymał się samochód, wysiadło z niego trzech panów w cywilu i ten pierwszy zaczął natychmiast:

- Spójrzcie no tylko, czy to nie cud: Żyd coś robi!

A tatuś na to:

- Z was za to lepsze obiboki!

A ten pan:

- Za kogo pan nas uważa?

Tatuś obrzucił ich wzrokiem, jeden miał bardzo semicki wygląd, więc tatuś oświadczył:

- Wyglądacie panowie jak cała gmina, żydowska razem wzięta!

Ów pan z kolei uznał, że tego już za wiele, wyciągnął odznakę i oświadczył:

- Geheime Staatspolizei.

"A więc gestapo!" - pomyślał tatuś, a na głos oświadczył:

. - Maszci, babo, placek!

Jakoś się tym gestapowcom spodobał, bo jeden z nich, z wąsikami, powiedział:

- Widać, że nie jest pan tchórzem, wobec tego proszę pójść z nami i pokazać, gdzie tu ukryliście pistolety i karabiny maszynowe.

A potem przetrzasnęli nasz dom od parteru po strych. W pokoju zatrzymali się zdumieni: w żydowskim mieszkaniu zobaczyli choinkę bożonarodzeniową obwieszoną staniolem, i ten z wąsikami nawet się leciutko do mamusi uśmiechnął. W końcu wdrapali się aż na strych i w najodleglejszym kącie znaleźli owiniętą w papier paczkę, a w niej owo popiersie.

O, wówczas już z tatusiem nie żartowali i ten z wąsikami już się do mamusi nie uśmiechał. Tatuś sam musiał wziąć to popiersie i zrzucić je z góry na wybetonowane podwórze, a potem jeszcze kawałek po kawałku rozkruszać siekierą. Odjechali, a mamusia, która miała już pewne doświadczenie, zauważyła, że są jeszcze przyzwoici Niemcy, ale tatuś tylko splunął. Nazajutrz dowiedzieliśmy się, że ci przyzwoici Niemcy tego samego dnia, kiedy byli u nas, wystrzelali w okolicy dwie rodziny żydowskie.

A potem o dzień wcześniej urządziliśmy sobie Wigilię, bo rano tatuś miał wyjechać. Na choince migotały płomyczki świec, staniol lśnił srebrem i pokój tchnął wonią lasu. Tatuś - Bóg jeden wie gdzie - wytrzasnął dla mnie buty z łyżwami, od dawna marzył, abym został sławnym hokeistą. Ja z kolei miałem dla niego zdobyte od chłopaków w szkole dwie paczki papierosów na drogę do obozu koncentracyjnego. Mamusia i tatuś udawali radość, pomrukiwali sobie, ale pewnie robili to ze względu na mnie, abym ten wieczór miło wspominał. Oboje musieli czuć się okropnie: mógł to przecież być ich ostatni wspólny wieczór w życiu.

W nocy ktoś potrząsnął mną w ciemności.

- Wstawaj, kolego, wstawaj!

Potrząsał mną tatuś, niekiedy mówił do mnie: kolego! Nie chciało mi się wylazić spod kołdry, w pokoju panowało okrutne zimno. Zęby mi szczękały, trząsałem się na całym ciele. Ubrałem się, w sąsiednim pokoju stała mamusia, podała mi płaszcz i czapkę. Coś się działo, a ja nie miałem pojęcia co.

- Tatuś czeka na ciebie na dworze - powiedziała mamusia.

Zszedłem po schodach, tatuś stał tam z siekierą i stosem worków w ręku. Ogarnął mnie strach. Skinął na mnie. Szedłem za nim po zamrożonym śniegu, który skrzypiał pod nogami, raz po raz rozlegało się: trach-trach!

Tatus nie odzywał się i zmierzał nad staw. Wkrótce za topolami ukazał się ten jego staw, wyglądał jak w baśni, cały zamrożony, a nad nim błyszczący jasno księżyc. Wszędzie cisza, niczym nie zakłócona cisza.

Tatus zaczął opukiwać lód. Zaczął od brzegu, po czym szedł w głąb stawu, pod uderzeniami siekiery lód rozbrzmiewał jak organy w kościele.

- Karpie się duszą - zwrócił się nagle do mnie. - Nie wyrąbali im otworów.

Stał na szeroko rozstawionych nogach i uderzył w lód. Wśród nocy rozległ się dudniący odgłos, a ja zadrżałem.

- O, tutaj zrobimy otwór! - oświadczył.

Stał i rąbał lód. Lodowy prysznic skrapiał mu płaszcz i ubranie. Wyrąbał kwadrat lodu i wyciągnął go z wody.

- Musimy poczekać, kolego - odezwał się do mnie. - Za kilka minut przyplyną.

Jak oczarowany wpatrywałem się w przejrzystą wodę, w której wyraźnie rysowała się każda nierówność dna, każdy kamyczek. Woda drżała, wnikały w nią z powietrza życiodajne bąbelki, ten kwadrat wyglądał jak źródło dla podróżnych karp. Tatus znalazł się na tym, nagle w kryształowej wodzie pojawił się owalny cień i przepłynął pod nami. Wrócił. Karp. I to jaki karp! Wysunął okrągły pyszczek i chwycił powietrze tuż przy powierzchni wody. Po chwili przyplynął następny. Zachowywały się jak oszołomione, wcale im nie przeszkadzało że stoimy tu i patrzymy na nie. W ciągu kilku sekund przerębła wypełniła się, a ryb ciągle przybywało. W tej chwili tatusia ogarnęło jakieś głębokie, nieznane uczucie, uklęknął na lodzie, podwinął rękawy i zaczął gładzić karpie po łebkach i grzbietach, pieścił się z nimi i mrucał:

- Karpunie moje słodkie, karpunie!

Bawił się z nimi, a one przyplływały mu do rąk jak jego dzieci, srebrzystozłote, w blasku księżyca promieniały niczym święci pańscy, nigdy później takich karp nie widziałem. Przerzucał je z ręki do ręki, podnosił je i puszczał, i coś przy tym mamrotał.

A potem wstał, księżyc świecił mu prosto w twarz, na której malował się wyraz zadowolenia. Podeszedł do worków i wyciągnął ukryty podbierak. Wziął jeden z worków, podeszedł do przerębli i zagarnął pierwszego karpia. Dopiero teraz zrozumiałem i przeraziłem się nie na żarty.

Pociągnąłem go za rękaw.

- Tatusiu, chodźmy stąd. Jeśli nas tu złapią, to nas zabiją!

Spojrzał na mnie nieobecny wzrokiem i dzisiaj wiem, że było mu wszystko jedno: niechby go nawet złapali i zabili na miejscu. Nie mógł odjechać zostawiając swoje karpie Niemcom.

Teraz się już z karpami nie pieścił. Pakował je do worków, nosiliśmy je do domu, a mamusia umieszczała je w naczyniach. Nasz dom wypełnił się wodą od piwnicy po strych. Karpie pływały w wiadrach, w wannie, w beczkach, w starych żłobach końskich w stajni.

Nad ranem, kiedy księżyc przestał świecić, a mróz chwycił coraz większy, byliśmy przemarznięci na kość, a że nosiliśmy na plecach mokre worki, mamusia musiała zeskrobywać z nas lód. Ale staw był już pusty, karpie przeprowadziły się do swojego właściciela, tatus właściwie ukradł swoje własne karpie.

Rano odprowadziliśmy tatusia na autobus do Pragi. Niósł w ręku walizkę i po raz pierwszy szedł przygarbiony, ze zwieszoną głową. Ale w moich oczach ogromnie owej nocy urósł.

Jeszcze tego samego dnia zaczęliśmy wymieniać karpie - ze sklepikarzami i wieśniakami - na żywność. Przed Bożym Narodzeniem karpie otwierały mi bramy i wrota nawet tych najzatwardziajszych fortec. Kiedy pokazywałem w teczce ogromne pękate ryby, gospodynie radowały się wielce i mój zimny pokoik wypełniał się smalcem, wędzonką, mąką, bochnami białego chleba, cukrem, paczkami papierosów. Kilkakrotnie nawet zaproszono mnie do stołu i podano białą kawę z babką, nie musiałem już długo czekać pod drzwiami, witano mnie jak króla, któremu karpie otworzyły drogę w świat.

Były to najwspanialsze wojenne święta Bożego Narodzenia.

A w nowym roku nad dolny staw w Busztegradzie przyjechano z sieciami. Wśród rybaków migwały mundury Wehrmachtu: karpie rekwirują niemieckie siły zbrojne.

Stałem z chłopakami na grobli i czekałem, jak się to skończy.

Z początku - wielka pompa: na grobli grała orkiestra wojskowa i wszystko zapowiadało się obiecująco. Staw jednak okazał się pusty i nikt nie potrafił tego wyjaśnić.

A ja wówczas pomyślałem sobie, że ta orkiestra gra właściwie tylko i wyłącznie na cześć mojego taty, który z gwiazdą Dawida na płaszczu sprzątnął Niemcom sprzed nosa ryby ze stawu.

Jak współzawodniczyliśmy z Wilkami

Po wojnie znów wybraliśmy się do Łęgów. Wuj Proszek powitał nas serdecznie i z miejsca oświadczył:

- Coś wam powiem. Pełno tu szczupaków. Szczupaki już nie harczą tuż pod powierzchnią i mało który z rybaków coś o nich wie.

Wobec tego wybraliśmy się z tatusiem łodzią w kępę na szczupaki.

Łapać szczupaki na bąka, to znaczy na splawik, który jest nieomal tak duży jak jajko, to rzecz stosunkowo łatwa, ale podniecająca. Zdarza się, że trzeba czekać całe godziny, by się ten ogromny splawik zanurzył, ale kiedy w końcu pójdzie pod wodę, to człowiek zaczyna drzeć albo pocić się z emocji. Jest bowiem wielce prawdopodobne, że chwycił nie byle jaki drobiazg, jak nazywa się małe rybki, ale rybę jak się patrzy: od kilograma do piętnastu kilo żywej wagi.

Wówczas - tego pierwszego dnia - przywieźliśmy osiem szczupaków. Zaraz się to rozniosło, tak jak kiedy znajdzie się w lesie prawdziwki albo jagody. Wyruszyło mnóstwo rybaków. A w owym czasie Berounka od Skryj aż po Branów była istnym rajem szczupaków. Podczas wakacji tatuś złowił ich sto, ja - sześćdziesiąt cztery. Niektóre okazały się spore. Wtedy brakowało jeszcze żywności i tytoniu, musiały więc być spore, skoro za jednego szczupaka krzywoklacki rzeźnik dał mi prawie dwa kilogramy smalcu, a krzywoklacki właściciel trafiki sto papierosów dla mamusi, która kopcila jak Turek. Tak, tak, z czasem udało nam się uwolnić tę rzekę od drapieżnych szczupaków, a prawdę mówiąc, dokładnie splądrować. W rzece pozostały jedynie ogromne, kute na wszystkie cztery płetwy szczupaczyska i owe malutkie szczupaczątka, szczupacze dzieci, których nikt, jeśli nie był bandytą, nie łowił.

W tym samym czasie, w jeden z takich nieokreślonych dni doszło do nieoficjalnego współzawodnictwa pomiędzy Wilkami, którzy mieszkali w Łęgach, a naszą rodziną, która składała się głównie z tatusia i ze mnie. Wuj Proszek nie mógł wówczas pójść z nami, bo akurat trochę niedomagał. Spośród Wilków ryby łowili przede wszystkim Adolf i Franek, obaj pracowali na kolei. Adolf pracował w parowozowni, Franek zaś dojeżdżał pociągiem do Pragi, na Smichow, do kantoru. Przez trzydzieści trzy lata - lato czy zima - chodził na pociąg dziesięć kilometrów pieszo! Było to coś fantastycznego. Często mróz, zaspas, ulewy. Było to jedno z największych osiągnięć sportowych, trwające dziesiątki lat. A do tego musiał chodzić przez urozmaiconą okolicę: lasy, urwiska, wzgórze, wąziutkie ścieżki. Zawsze myślałem, że Wilki nas nie lubią, ale po latach, zwłaszcza kiedy przestaliśmy u nich łowić, okazało się, że nas lubią, że tylko złościli się na nas jako na prażan, którzy włązili im w paradę, a właściwie do rzeki.

Żeby nie zapomnieć: Adolf miał w Łęgach, i ma tam do dziś, piękną żonę Marię, która mnie jako szesnastoletniemu chłopcu bardzo się podobała. Od pasa w górę wszystko miała jak się patrzy, i to wcale nieliche. Z tymi oto Wilkami rozpoczęliśmy współzawodnictwo.

Wiedzieliśmy, że Wilki to świetni rybacy. Znali tę rzekę od dzieciństwa, wiedzieli, jak jest w którym miejscu głęboka, a więc mogli nawet przewidzieć, gdzie jaki zapomniany szczupak leży czyhając na zdobycz; tak często przebywali nad wodą, że wiedzieli o niej wszystko. Łapali na spinning i na żywca, i znali się na tym: potrafili skusić nawet najbardziej obżarte szczupaki. Ale to wszystko nie przeszkadzało mojemu tatusiowi, który z pewnością siebie rozgłaszał wszędzie, że damy im w dupę.

Wyruszyliśmy przed wschodem słońca, po ciemku, i płynęliśmy niemal aż do łąki Brtwy, gdzie rozpościerały się najpiękniejsze szczupacze doły i tonie, ale gdzie niełatwo było wówczas łowić: rosło tam bowiem mnóstwo trawy i wysokich pokrzyw. Trudno to już nazwać łowieniem ryb, była to istna harówka.

Po południu tatuś powiedział:

- Kończymy! - i dodał: - Dzisiaj dopiero tym Wilkom pokazemy! Ale im damy łupnia!

Wcale nie byłem tego taki pewien. Mieliśmy trzy szczupaki, a tylko o jednym dało by się powiedzieć, że jest duży, dwa pozostałe nie były ani duże, ani małe, lecz średnie. Płynęliśmy łodzią w dół rzeki do przewozu i obaj zastanawialiśmy się, ile też złowili Adolf i Franek.

Kiedy zatrzymaliśmy się pod akacją, tatuś powiedział z naciskiem:

- Idź pożyczyc wózek.

Oślupiałem. Nic z tego nie mogłem pojąć.

- Po co wózek, tatusiu?

Mojemu tatusiowi nie można się było długo opierać.

- Idź po wózek, mówię! Dzisiaj nasze szczupaki powieziemy na wózku - wyjaśnił stanowczo, a już tylko półgłosem dodał, jakby sam nie bardzo w to wierzył: - Są bardzo ciężkie.

A więc udałem się po wózek. Był to taki mały wózek z drabinkami po bokach, ale mimo to tak duży, że szczupaków prawie nie było w nim widać.

I właśnie tego największego szczupaka tatuś przesunął do tyłu, aby mu wystawał ogon. Nie wiem, skąd się wziął we mnie ten sprzeciw, ale oświadczyłem stanowczo:

- Ja tego wózka nie będę ciągnąć! Przynajmniej nie przez Łęgi.

Właściwie to te słowa nieomal wykrzyknąłem i pomyślałem o pani Marii, która będzie stać w drzwiach.

Tatusz popatrzył na mnie, zastanawiał się nad czymś, może nad tym, czy dać mi w pysk, czy też wyjąć te szczupaki z wózka. Widziałem, jak jego głębokie oczy błędzą wokoło po stokach i są pełne wyrazu, jak oczy wszystkich ojców, zwłaszcza zaś żydowskich, kiedy los ich pokarze żoną albo dziećmi. Po czym zbliżył się do wózka, mnie dał wędki i sam zaczął ciągnąć wózek, który rozkołysał się i skakał po kamienistej dróżce pomiędzy domkami Łęgów. Nigdy ta droga nie wydawała mi się tak krótka. Biegliśmy wprost z tym wózkiem, chociaż pragnąłem, aby do domku Adolfa Wilka trwało to cały wiek, a jeśli nie wiek, to przynajmniej całe ludzkie życie. A przy tym musieliśmy jechać strasznie wolno, bo mojemu tatusiowi, ledwie zobaczył z daleka tych wspaniałych rybaków, Adolfa i Franka, nogi wyraźnie zaczęły się ugiąć w kolanach.

Ale jakoś dotarliśmy przed ich ładny domek.

Dla mnie istniała tylko Maria. Wlepiłem w nią oczy, bo rzeczywiście stała na zaprożu w białym wyprasowanym kaftaniku, z rękami założonymi na piersiach. Na jej twarzy malował się wyraz pogardy. Wstrząsnęło to mną. Oprzytomniałem i mój wzrok spoczął na ich trzepaku.

Wisiało tam na drutach pięć szczupaków. Ogromnych szczupaków. Trzy należały do królewskiego rodu pięknych, długich, zielonych szczupaków, a dwa żółtawe były tłuste, jakby je specjalnie dla Wilków podkarmił wodnik z Szymów Skały.

Tatusz w tej chwili potknął się, omal nie upadł, przystanął, słyszałem, jak ciężko dyszy. Nie wiem, jak długo tam staliśmy. Cisza, głęboka cisza, bo i co tu powiedzieć?

A potem mój tatusz zwrócił się do mnie i powiedział chrapliwie:

- Pomóż mi! To jednak diabelnie ciężkie!

Zrobiło mi się go żal, wózek teraz na pewno był dla niego niezmiernie ciężki. Nie odezwałem się ani słowem, zapomniałem o pani Marii, położyłem wędki na wózku i zacząłem popychać wózek z Łęgów pod górę. Należymy wszakże do jednej rodziny i musimy trzymać się razem. Jechaliśmy ze zwieszonymi głowami i wiedzieliśmy dobrze, iż tego dnia Wilki, którzy nie powiedzieli ani słowa, dali nam - według słów tatusia - porządnie w dupę!

Ostateczne rozwiązanie kwestii robactwa

Po drugiej wojnie światowej tatusz rzucił się w wir powojennych interesów, ale jakoś mu się nie wiodło. Nie był już tak młody, aby działać na młode kobiety, które najwięcej kupują, nie był chyba też tak uroczy i miły i trochę zmęczyła go wojna, Afryka, druga wojna i obóz koncentracyjny. Pragnął latać, ale tylko trzepotał się jak motyl z uszkodzonymi skrzydłami.

Żył przeszłością i wspominał, jak przed wojną wracał do domu i z ogromną radością wykladał setki koron na okrągły stół. Miał rację, rzeczywiście robił to jak prestidigitator, rzucał banknoty z góry, żeby opadały, albo kładł na stół i je przyklepywał. Mamusia wydawała okrzyki podziwu i klaskała w dłonie, a my, chłopcy, staliśmy z szeroko otwartymi ustami. Wprawdzie później następował zazwyczaj drugi i trzeci akt, o których tatusz wspominał już niechętnie: kiedy żądał od mamusi tych pieniędzy z powrotem, ale to znamy tylko ze słyszenia, tak więc mamy tatusia żywo w pamięci jedynie jako bohatera aktu pierwszego. Kiedy tatusz mówił o tym po raz setny, mamusia rzekła mu:

- To, Leosiu, już tylko przeszłość. Niestety...

Tatusz westchnął i nazajutrz stanął - jak mawiają komiwojażerowie - na placu. A my, którzyśmy go znali, zrozumieliśmy nagle, że z tym zmęczeniem życiem to bzdura. Miał niespożytą energię. Tylko nie miał teraz okazji sprzedawać artykułów, które byłyby go godne. Oto w czym rzecz. Po wojnie brakowało dobrego towaru, "sam szmelc, szajs, czyli gówno" - jak powiedziałyby nasza babcia Popperowa z Busztegradu, którą Niemcy zagazowali w Oświęcimiu.

Sprzedawał unowocześnione sprzączki do szelek, maść przeciwko świerzbowi, a także skrzynki reklamowe. To był najlepszy interes. W skrzynce przesuwająca się dziurkowana taśma, światło przenikało przez dziurki i widz mógł przeczytać to, co owymi dziurkami napisano.

Na przykład:

POŃCZOCHY CERUJEMY W CIĄGU TRZECH TYGODNI

BUTY NAPRAWIAMY W CIĄGU TRZECH MIESIĘCY

(Nie dziwcie się, wojna dopiero co się skończyła.) Tak, te skrzynki nie były złe, nie okazały się jednak artykułem wyjątkowym. Na taki artykuł tatusz czekał dwa lata, tak jak pustynia czeka na deszcz albo biedny człowiek na szczęście. Tatusz także czekał na szczęście i zawsze uśmiechał się, ilekroć o nim mówił.

I nagle pewnego dnia (brzmi to niemal jak w bajce) szczęście przyszło. Zjawiło się w sposób niezwykle, niespodzianie, jak to szczęście. Tatusz wrócił do domu wcale nie zachwycony, raczej przygnębiony.

- Herminio - zwrócił się do mamusi - skończyłem ze skrzynkami.

Mamusia czekała na dalszy ciąg.

- Wiesz, odwiedził mnie pewien inżynier nazwiskiem Jehliczka. Ma najlepszy artykuł na świecie. Zostanę milionerem.

Mamusia nie rzuciła mu się na szyję, lecz zagadnęła wprost o sprawę najważniejszą:

- Co będziesz sprzedawać?

- Lepy na muchy - odpowiedział tatuś z lekkim uśmiechem.

Mamusia zbladła. Po szwedzkich lodówkach i odkurzaczach, po niemieckich sprzączkach do szelek i rodzimej maści przeciwko świerzbowi to wydawało się jej czymś ogromnie niepoważnym, tak jakby z wielogwiazdkowego generała zrobiono nagle starszego szeregowca z jedną belką. Prócz tej bladej mamusia niczym innym nie dała po sobie poznać, do niejednego już przywykła i ze strony tatusia nic nie mogło jej już tak bardzo zaskoczyć. Mimo to jednak zapytała zgryźliwie:

- A kiedy zostaniesz tym milionerem?

- Mniej więcej za rok. Żebyś wiedziała:- to nie są zwyczajne lepy na muchy. - Tatuś zastanawiał się przez chwilę. - Te lepy są wyjątkowe.

- Na czym polega ich wyjątkowość?

- Nie wiem, ale ten inżynier powiedział: Bomba na skalę światową! Zalejemy tym całą Czechosłowację. - Tatusiowi oczy rozblęły i dodał: A także Europę. Może nawet cały świat

- I ty w to wierzysz? - spytała mamusia.

Tatuś milczał, blask w jego oczach przygasł.

- I ty wierzysz, że na muchach można zarobić milion? - atakowała mamusia.

- Herminio, pan inżynier Jehliczka padł na kolana i twierdził, że jeśli mu ich nie sprzedam, to się zastrzeli. Zainwestował już w produkcję mnóstwo pieniędzy.

- Bylebyś tylko ty się w końcu nie zastrzelił - zauważyła sceptycznie mamusia.

Mimo iż mamusia nie raz go ostrzegała przed zagadkowymi lepami na muchy, tatuś wyruszył do muszej jaskini, do firmy "Dersol". Firma składała się z wysokiego inżyniera Wacława Jehliczki o krzaczastych brwiach, z chudego szofera Franka Hodka, który miał za żonę cudowną Polkę, w której później zakochał się mój starszy brat, i samochodu DKW 600, a także dwóch pomieszczeń, kilku mebli i jednego przepięknego dywanu z domu pani Jehliczkowej, która pożyczyła go mężowi z życzeniem, aby mu się rozkręcił interes.

Aby rozkręcić interes, mój tatuś - a był to jego pierwszy wyczyn w tej firmie - sprzedał natychmiast ów perski dywan. Pan inżynier omal nie zemdlął, kiedy stwierdził, że tatuś wraz z entuzjastycznie aprobującym to szoferem wyniósł dywan na ramionach (do DKW dywan się nie zmieścił, taki był duży). Pan inżynier natychmiast zrobił sobie z mokrego ręcznika okład na czoło, ale w obawie, że tatuś może go opuścić, nie odważył się powiedzieć ani słowa. Sprzedaż dywanu miała jednak swoje dobre strony: po pierwsze, pan inżynier na własnej skórze przekonał się od razu o bajecznych możliwościach tatusia, jeśli idzie o sprzedaż, a po drugie, były jakieś pieniądze na początek.

Tylko że, jak wiadomo, lepy na muchy to nie dywany. A tych lepów nikt nie chciał. Gromadziły się w magazynach jak niepotrzebna broń. Leżały ich w pudełkach setki tysięcy, rosły tu od podłogi po strop jak kolumny doryckie, pięły się wwyż, wypełniały pomieszczenie od lewej strony do prawej i z dołu do góry. Tatuś przyglądał się tej masie i odczuwał zawrót głowy. A przy tym nie spuszczał wzroku z pana inżyniera Jehliczki, który marszcząc krzaczaste brwi mówił o wspaniałych właściwościach swoich lepów. I mój tatuś, który nieraz w życiu się kochał, natychmiast zrozumiał, że i ten pan jest zakochany w lepie noszącym dumną nazwę BOMBA-CHEMIK. Pieścił się z nim jak z dzieckiem. A szło tu o dziecko niezwykle, które miało mu przynieść sławę i pieniądze, a tego zazwyczaj dzieci nie przynoszą. Kiedy mówił o lepie na muchy, nawet jego głos nabierał niezwykłej barwy: tak mówią ludzie o swoich ulubieńcach na boiskach albo na torach wyścigowych. A może brzmiało w tym jeszcze coś mrocznego, może strach, że zastrzeli się, jeśli mu tatuś tego nie sprzeda, albo nadzieja, że zostanie milionerem, jeśli sprzeda.

- Co pan myśli o nazwie BOMBA-CHEMIK? - pytał z dumą.

A tatuś spytał:

. - Ile ich pan już sprzedał?

- Ani jednego - odparł smutno pan inżynier.

Inżynier Jehliczka nie był wprawdzie kupcem, ale zrozumiał, że musi tatusia zarazić swoim entuzjazmem. Opowiedział mu, że przed wojną spędził tydzień na Szumawie, w namiocie, biegał tam nagi po leśnych polanach i już wówczas szukał właściwego środka przeciwko owadom: smarował się olejkiem kminkowo- anyżowym. Co prawda drwale chcieli go odwieźć do domu wariatów, ale wszystko się wyjaśniło. Był na dobrej

drodze. Jednakże wynalazek Szwajcara Müllera pogrzebał jego ambicje. Odkrycie Müllera okazało się prawdziwą bombą. Po całym świecie rozeszły się telegramy:

ODKRYCIE DDT!!!

OSTATECZNE ROZWIĄZANIE KWESTII ROBACTWA!!!

- Od tego czasu ukazało się o tym proszku tysiące artykułów i publikacji. Nawet jedna milionowa część grama jest toksyczna, panie Popper twierdził pan inżynier.

A potem wziął jeden z lepów i po raz pierwszy otworzył go na oczach tatusia, rozciągnął jak małą harmonijkę, która nigdy nie będzie grać, ale będzie działać jak najśmiercionośniejsze narzędzie. Był to pasek zwyczajnego papieru nasączony:

- 1) miodem (przyciąga muchy)
- 2) żółtą farbą (również przyciąga)
- 3) proszkiem DDT (zabija!)

- Ten lep działa estetycznie i nieprzerwanie aż do chwili, dopóki wisząc w pomieszczeniu nie pokryje się kurzem. A to trwa długo, panie Popper, bardzo długo.

Tatusz zbladł, bo ten lep na muchy nie był wcale lepem na muchy: muchy się do niego nie przylepiały. Jego właściciel nie mógł widzieć, jak muchy przebierają na lepie nóżkami i kończą swoje musze życie. I to w tym nowym lepie było złe, bardzo złe.

"Do dupy z takimi lepami - pomyślał tatuś. Liche to i nic niewarte !" A poza tym - jak mówił pan inżynier - zatrucie przejawia się u muchy zwiększoną aktywnością i owad stara się jak najprędzej opuścić pomieszczenie. I to właśnie był ostatni gwóźdź do trumny tego interesu: ludzie chcą na własne oczy widzieć śmierć swojego wroga i wcale sobie nie życzą, aby leciał umierać gdzieś na uboczu. Ludziom jest zupełnie obojętne, czy to estetyczne, czy nieestetyczne, wielu z nich nawet z dużą satysfakcją obserwuje, jak muchy zdychają na lepie, wszakże już nasi przodkowie i praprzodkowie z radością uczestniczyli w egzekucjach swoich przyjaciół i wrogów.

- Zmartwiło to pana, co? - spytał pan inżynier i także się zmartwił. I tak siedzieli nad milionem lepów, które może były lepsze i estetyczniejsze w działaniu niż zwykle, ale brakowało człowieka, który zdołałby o tym ludzkość przekonać. Dopiero później tatuś dowiedział się, że pan inżynier zmienił już ośmiu komiwojażerów i że żaden z nich nie ruszył sprawy z miejsca.

Tysiąc myśli przemknęło przez głowę mojego tatusia. Przede wszystkim - jak zawsze - użalił się nad sobą, że nie zostanie milionerem, choć sprzedażą perskiego dywanu wszystko zaczęło się dlań tak obiecująco. A potem zaczął sobie zdawać sprawę z tego, że trujące lepy na muchy to nowość i jako taka powinny się dobrze sprzedawać, więcej - znakomicie, bo jest o czym mówić i w ogóle. W pomieszczeniu pociemniało, ale w głowie tatusia rozjaśniało się coraz bardziej, między innymi dlatego, że zdał sobie nagle sprawę, że to jego ostatnia szansa wybicia się, tak jak piłkarz ma możliwość błysnięcia w ostatnim wielkim meczu, choćby wydawał się on nie wiadomo jak trudny. A poza tym wstydził się stanąć przed naszą mamusią i oświadczyć jej, że miała rację, że milionów z tego nie będzie i że pan inżynier Jehliczka będzie musiał się zastrzelić. Żał mu też było pana inżyniera, siedział tu na skrzyni z lepami na muchy, z głową ukrytą w dłoniach, jakby już teraz, w najbliższej chwili, chciał się zastrzelić. A kiedy tatuś zamierzał poklepać go po ramieniu i zobaczył jego bladą smutną twarz, powiedział dobitnie i po prostu:

- Musimy te lepy sprzedać!

Na inżyniera Jehliczkę podziałało to jak balsam. Nazajutrz zorganizował wyprawę na wieś, pojechali on i tatuś, a wioził ich szofer Hodek samochodem DKW. Rano rozwiesili w przestronnej stajni pełnej much sto lepów BOMBA-CHEMIK i cały dzień siedzieli przed stajnią i popijali piwo. W południe, kiedy tatuś wszedł do stajni, aby sprawdzić, czy muchy znikają, kopnął go koń. Tatusz bowiem chciał udowodnić furmanom i przedstawicielom z firmy "Dersol", jak znakomicie zna się na tych szlachetnych zwierzętach.

Ale wieczorem mój kulejący i troszkę pijany tatuś ujrzał cud: stajnię bez much. Nigdzie wprawdzie nie leżał ani jeden musi zewłok, ale much nie było: może odleciały umrzeć na nieznane cmentarzysko, tak jak ongiś postępowały mamuty. Tatusz zacierał ręce. Był drugim - po panu inżynierze Jehliczce - człowiekiem, który dał się złapać na nowy lep. Było ich na razie dwóch: jak rycerz Don Kichot i jego wierny sługa Sancho Pansa.

To, co się działo później, należy raczej do dziedziny czarów niż handlu. Pan inżynier mianował tatusia dyrektorem firmy "Dersol", która miała teraz trzech pracowników: szefa, dyrektora i szofera, jeśli nie liczyć niewiasty wyrabiającej owe lepy systemem chałupniczym. Tatusz wrócił do domu i dumnie poinformował mamusię o swojej nominacji, mamusia nie odezwała się ani słowem, miała na ten temat własne zdanie. Lepy na muchy BOMBA-CHEMIK nadal uważała za okropną tandetę.

Tatusz z zapałem zajął się sprzedażą. Była właśnie wiosna, w praskich parkach kwitły tulipany, na wsi bez, i muchy na razie nie pojawiły się zbyt tłumnie. Tatusz sprzedawał, tak jakby nigdy już nie miały latać. Był

nadzwyczajny, sugestywny. Raz wziął mnie ze sobą. Przymknął swoje piękne piwne oczy, uśmiechnął się, machnął ręką, rozwiął wątpliwości, człowiek nawet nie wiedział, co on mówi i co zachwala, wiedział tylko jedno, że towar jest znakomity i że nie można się bez niego obejść. Niektórzy kontrahenci rzeczywiście nie wiedzieli, co kupują. Innym znowu zdołał zasugerować zdanie, które słyszał od inżyniera: KWESTIA ROBACTW A OSTATECZNIE ROZWIĄZANA! Tatuś dał się ponieść fali, dawno przestała to być rola, którą chciał grać, po prostu porwał go prąd. A przy tym było to fantastyczne: sprzedawał przecież jak chleb coś, czego nie da się natychmiast zjeść, i coś jak ubranie, którego nie da się natychmiast włożyć na siebie. Raz rozwijał lep i balansował z nim na jednej nodze jak artysta cyrkowy, kiedy indziej znów wcale go nie rozwijał, rozmawiał o pogodzie, o pięknych kobietach w Hamburgu i zawierał znacznie poważniejszą transakcję niż poprzednio. Jednego tylko nie rozumiałem: że kupcy zamawiali takie mnóstwo towaru, skoro nigdy nie zdołają go sprzedać ludziom, tak jak by to potrafił mój tatuś. Ale tatusiowi było to obojętne. On urodził się, żeby sprzedawać, tak jak przed tysiącami lat rodził się wojownik, aby zabijać.

Po powrocie z pierwszej podróży służbowej z szoferem Hodkiem tatuś wyrwał zapisane kartki z księgi zamówień i położył je na stole jak w domu banknoty. Inżynier Jehliczka zemdłał.

Tak oto BOMBA-CHEMIK wybuchła, na razie w Czechach, a guzik nacisnął mój tatuś. Lepy na muchy rozwoziły samochody i doręczała je poczta. Magazyn szybko się opróżnił.

Tatuś wracał znów do domu jak przed wojną, przynosił ogromne bukiety róż i gladioli, rzucał na okrągły stół banknoty, sypał dowcipami i nasza mamusia zaczęła się w końcu uśmiechać i oświadczyła, że jednak w tych lepach na muchy coś musi być, w lecie zaczną owady latać, musimy więc porozwieszać lepy w pokojach. Tatuś miał teraz pieniędzy jak lodu, na skale w pobliżu zapory na Wełtawie koło Wranego zaczął budować letni domek, nie, nie był to domek, był to taki mały zamek z łukami i już z daleka rzucało się w oczy, że jest potężny i naprawdę piękny. Na tę wysoką skałę nosiliśmy w koszach ziemię i tatuś sadził tu truskawki i agrest.

Najwspanialej oczywiście powodziło się panu inżynierowi Jehliczce. Przeżywał to, co zazwyczaj człowiek przeżywa tylko raz w życiu. Był upojony jak wódz, który po pierwszej zwycięskiej wyprawie planuje podbój całego świata. Na razie kupił mapę Europy, powiesił ją na ścianie i obliczał, ile lepów na muchy do którego kraju wystrzeli jego generał Popper.

Jako pierwszy kraj padły Czechy. Leżały u stóp tatusia, podporządkował je sobie, wszędzie na mapie, w każdym mieście i miasteczku, tkwiły czerwone chorągiewki, wbił tam, by upamiętnić, iż dnia takiego to i takiego dyrektor firmy "Dersol" Leon Popper odniósł tu zwycięstwo nad lepkiemi lepami na muchy. W ciągu dwóch zaledwie miesięcy zdobył Czechy i zarobił dla pana inżyniera okrągły milion. Staliby się dzięki temu zupełnie małymi milionerami, ale inżynier Jehliczka ów milion fantastycznie wprost przepuścił. W firmie "Morgan-Korda" w Anglii zamówił mnóstwo DDT, tak że przez kanał La Manche wędrowały dziesiątki skrzyń śmiertelnie proszku. Kupił amerykańskiego forda do przewozu lepów (spalał trzydzieści pięć litrów benzyny na sto kilometrów), przyjął dziesiątki kobiet do produkcji nowych lepów, skupił setki kilogramów drogiego miodu, papieru i farby.

Przyszła kolej na sąsiedni kraj - Morawy.

Tatusiowi nie bardzo się wówczas chciało jechać na Morawy, bo pod naszym nowym domkiem letnim zaczęły właśnie brać bleje. Miały takie małe pyszczki, srebrno-czarne pływały w wodzie i cudownie wprost smakowały usmażone z kminkiem na sadle. Brzmi to idyllicznie, ale zawsze, ilekroć te dranie zaczynały brać, oznaczało to klęskę naszej rodziny. Tatuś zazwyczaj przestawał pracować.

- Na Morawy pojedziesz ty - zwrócił się do mnie, a inżynierowi Jehliczce oświadczył, że ja jestem tym człowiekiem, który zdobędzie na Morawach ogromne zamówienia. To przekona największych praskich hurtowników, że i na Morawach nasze lepy na muchy idą jak woda, i wezmą je od nas. Gdyby on sam je tam sprzedał, nie uwierzyliby. Coś w tym było, ale przede wszystkim kryły się w tym owe bleje, wielkie jak łopaty. Nie wiem, na jakiej podstawie tatuś wnioskował o moich wspaniałych talentach handlowych, nigdy w życiu niczego nie sprzedałem, tylko raz podczas wojny jedenaście tomów Tarzana, które dostałem od swojego ciotecznej brata Karola Koprzywy, i za to mamusia sprąła mnie pejcem na psy, doliczając do tego jeszcze inne moje sprawki, a przede wszystkim to, że nie nałapałem w stawie żab dla kaczek. Okropnie bałem się sprzedawania, nigdy bym nie potrafił postępować tak jak tatuś, a zresztą mając osiemnaście lat nie mogłem opowiadać o pięknych dziewczynach z Hamburga, ale tatuś na wszelkie możliwe sposoby starał się mój strach rozproszyć. Kazał mi pospieszenie uszyć nowy granatowy garnitur i zamówił bilet lotniczy Praga-Brno. A potem wcisnął mi do rąk książkę Amerykanina Dale'a Carnegie'ego Jak zdobywać przyjaciół i oddziaływać na ludzi i powiedział, że tu znajdę wszystko (dopiero po latach wygadał się, że nigdy jej nie czytał). Ale po odlocie książka ta stała się jedyną moją nadzieją. Rzuciłem się na nią tak namiętnie, że gdy nad Czesko-Morawską Wyżyną samolotem zaczęło bujać, trochę ją nawet obrzygałem.

Odwiedzając hurtowników w Brnie trzymałem teczkę z książką Dale'a Carnegie'ego Jak zdobywać przyjaciół i oddziaływać na ludzi i realizowałem jedną z jego zasad: "Zawsze się uśmiechaj!" Inna dobra zasada, którą sobie zapamiętałem, zalecała, aby pochwalić jakiś cenny przedmiot w gabinecie rozmówcy. Tak więc kiedy znalazłem się twarzą w twarz ze starszym panem z wąsikami, nie zacząłem od razu mówić o lepach na muchy, ale uśmiechałem się całą gębą (jak idiota) i rozglądałem się za odpowiednim przedmiotem, który można by pochwalić. Doszedłem do wniosku, że w tym wypadku będą to meble, i wobec tego powiedziałem, że ma, wspaniałe dębowe meble. Ten pan oburzył się straszliwie i oświadczył, że przez czysty przypadek to, sosna i okropna tandeta, że do tego, aby je tu postawić; skłoniła go jego żona, która nie chciała mieć ich w domu, i jeśli nie mam jakiejś ważnej sprawy" żebym się natychmiast wynosił. A więc wyniosłem się, nie odważając się powiedzieć ani słowa o doskonałych lepach na muchy BOMBA-CHEMIK.

U drugiego hurtownika wołałem milczeć i nie uśmiechałem się, chociaż i tu meble wydały mi się dębowe i bardzo piękne. I stała się rzecz niezwykła: ów pan, siwowłoso, o oczach błękitnych jak niezapominajki, sam się do mnie od początku uśmiechał, mówił, że mam piękną cerę i że jestem ładnym chłopcem. Rozmawialiśmy właściwie o wszystkim i on oświadczył mi nagle, że chciałby mieć mnie za syna i czy nie spędziłbym u niego nocy. Wtedy już zacząłem rozumieć, że ten pan woli chłopców niż dziewczęta, i wykręciłem się, że muszę wracać do Pragi. Ale pozwoliłem mu się dotykać i głaskać po włosach, bo nie potrafiłem sobie wyobrazić mojego tatusia po powrocie: jaki byłby smutny, gdyby okazało się, że nic nie sprzedałem. Skończyło się to cudownie. Ten pan zamówił pięćdziesiąt tysięcy lepów na muchy BOMBA-CHEMIK, ja zaś wyszedłem od niego przed wieczorem. Sprzedałem akurat tyle, ile firma "Dersol" potrzebowała, aby udowodnić, że lepy na muchy dadzą się również sprzedawać w tak tradycyjnym i pięknym kraju jak Morawy.

Zamówienie to uszczęśliwiło wprost tatusia, oczy mu rozbłysły, jakby nieźle. sobie pociągnął, i z dumą oświadczył mamusi, że będę kiedyś najlepszym handlowcem na świecie i jednym z najbogatszych ludzi na kuli ziemskiej (niestety, tak się nie stało).

A kiedy tak teraz o tym myślę, był to wówczas naprawdę ogromny sukces.

Do Brna jechały samochody z wielkimi napisami na burtach:

ŚMIERĆ MUCHOM!!!

Drukarnie zasypywały kraj ulotkami reklamującymi nowe lepy. Tatusiowi sprzykrzyły się bleje i znów poczuł zapał do pracy.

Oto jak sprawy wyglądały w czasie, kiedy padły Morawy.

A potem stało się:

MUCHY ZACZEŁY LATAC!

Pojawiły się wszędzie i było ich wyjątkowo dużo. Teraz miał nastąpić moment, kiedy w równie znakomity sposób, w jaki robił to mój tatuś - zrobili to kupcy. Ale czyż kupcy mogą się uśmiechać, balansować na jednej nodze i z sugestywnym wyrazem twarzy wyjaśniać wspaniałe właściwości lepów? I to wszystko za trzy korony?

- W tym roku przysłano nam ten towar mówili na ogół. - Podobno jest dobry.

Tysiące niewiast przyniosło do domu lepy BOMBA-CHEMIK i dopiero tam stwierdziło, że nie lepią. A muchy, które przysiadły na żółtym papierze, latały jeszcze szybciej niż przedtem. Nikt nie widział, jak ginęły. I cóż z tego, że pokój pusty? Mógł sprawić to przeciąg. O, drzwi są otwarte!

- Odnoszę panu to świństwo. I proszę mi dać lep, który lepi.

I tak jak w morzu fala w końcu dokądś dociera i cofa się, tak tym razem fala dotarła do naszych przemitych białogłów i wróciła do firmy "Dersol". Tylko że, szło tu o falę potężną, falę, która pochłania całe wybrzeże. Mój nieszczęsny tatuś siedział właśnie na brzegu i dotarł do jego rąk pierwszy ostrzegawczy telegram, podczas gdy pan inżynier Jehliczka bawił w Słowacji skupując tam najlepszy miód.

PANIE POPPER STOP MUCHY NIE ZDYCHAJA STOP PRZYBIERAJA NA WADZE STOP DO DUPY Z TAKIM CUDEM!

A po tym telegramie zaczęły nadchodzić następne, potem listy i zanim jeszcze wrócił szef z miodem, zaczęły nadchodzić paczki lepów od nabywców, którzy nawet nie żądali zwrotu pieniędzy. Jak prędko magazyn przedtem opustoszał, tak szybko się teraz wypełnił. Lepy jak żywe pchały się drzwiami i oknami, ale teraz nie było już nikogo, kto by je układał i porządkował, gromadziły się bez ładunku i składu, a tatuś siedział na krześle i tylko kiwał głową. A kiedy pan inżynier wrócił, lepy wypełniły już pomieszczenie biurowe i leżały nawet na chodniku. Nie wierzył w to, nie chciał uwierzyć, oświadczył tylko, że zaszła jakaś pomyłka. Napisze do wszystkich, wszystko im wyjaśni i oni zażądają - i to jeszcze jak! - aby im te lepy posłali z powrotem. Chodził po gabinecie i uśmiechał się do wszystkich, ale w rzeczywistości płakał. Tatuś wiedział, że musi to sobie wmawiać, gdyż w przeciwnym razie musiałby sięgnąć po rewolwer. Mój tatuś jako były żołnierz zrozumiał, że bitwa jest przegrana. Jako dobry generał wyjął chorągiewki ze wszystkich miejscowości, gdzie zwyciężył nad

lepiącymi lepami na muchy, włożył je do pudełka i przewiązał różową wstążeczką, którą miał w kieszeni od którejś ze swoich ukochanych. Potem wziął sobie jeden lep na muchy BOMBA-CHEMIK.

- Na pamiątkę - powiedział do pana inżyniera. - To było piękne.

A potem z wolna wracał do domu bulwarem i wpatrując się w fale Wełtawy myślał, że istotnie było to piękne, tak jak myśli piłkarz albo wojownik o bitwie, którą się przegrywa, ale która jest piękna. Myślał o tym, jak wracał do domu z bukietami i pieniędzmi, jak sypał dowcipami i jakie to było podniecające: sprzedawać tak trudny artykuł. Szedł uśmiechając się nieustannie jak ludzie, którzy na chwilę spotkali szczęście i nie mogą o nim zapomnieć. Ale tuż przed naszymi drzwiami uśmiech - jak się to mówi - zamarł na jego ustach, bo w domu czekała mamusia, i to właśnie na pieniądze. Tatusz wszedł i jeszcze w drzwiach, aby mieć to już za sobą, powiedział:

- Herminio, nie będzie już żadnych pieniędzy. Miałaś rację. Skończyłem z tym. To szmelc!

W ten sposób wytrącił mamusi broń z ręki i na tym się skończyło. Ale później zrozumieliśmy, że wcale się nie skończyło i że nigdy się nie skończy. Tatusz od tego czasu był groggy, jak bokser na ringu, który przegrał przez ciężki nokaut. Wstydział się czegoś, bał się spojrzeć ludziom w oczy, kiedy im coś proponował, zламаło mu to jego kupieckie serce. A potem jeszcze mój bajeczny tatusz posłał mnie do pana inżyniera Jehliczki po jakieś pieniądze.

Po dwóch dniach udało mi się pana inżyniera znaleźć w pobliżu Radocina na wysypisku śmieci: siedział obok wagonu lepów na muchy, palił je i coś tam sobie mrucał pod nosem.

Lepy paliły się znakomicie, śmiercionośny proszek dawno już z nich się ulotnił i nad żółtawym pogorzeliem snuł się zapach słodkiego słowackiego miodu. Przyciągało to muchy, zlatywały się tu całe ich chmary i tańczyły swój zwyczajny taniec nad płonącymi lepami. na muchy BOMBA-CHEMIK.

W kilka lat później spotkałem znów pana inżyniera Jehliczkę. Nie był już taki wysoki, zgarbił się.

- A nie mówiłem panu, że to przebój.! - rzucił pospiesznie. - Holendrzy to produkują. Nazywa się to „Fly Killer”. Wie pan, co to znaczy: „Fly Killer?” Morderca Much. Zalali tym już całą Europę.

I wyjął z kieszeni lep, który był kubek w kubek podobny do naszego, tylko że na opakowaniu nie wybuchała bomba, ale leżała ogromna wstrętna mucha przebita białą strzałą.

- No, a jak się panu powodzi? - spytałem (aby go zagadać), a nie powinienem. Uśmiechnął się smutno, machnął ręką, łzy napłynęły mu do oczu i oddalił się spiesznie.

A ja najchętniej pobiegłbym wprost do mojego tatusia, aby mu powiedzieć, że nie sprzedawał szmelcu, może by go to znów postawiło na nogi. Nie miałem jednak dokąd biec. Jedyne na górę, do Pana Boga, ale tam chyba nie trzeba nic sprzedawać. Nawet muchy tam pewnie nie latają. A jeśli latają i trzeba będzie coś na nie sprzedawać, to mój tatusz o tym i tak na pewno wie. I w takim wypadku jest na miejscu: w pogotowiu!

Prosięcia nie będzie!

Tatusz powrócił do pracy na roli. Ale nie miał już stawów, a w nich karpi, ani pól koło Hrzebrza, a na nich pszenicy. Pozostał mu tylko letni domek i łowił koło niego bleje, lecz i one pewnego dnia przestały brać - i skończyło się z rybami.

Przewodniczący spółdzielni produkcyjnej Wrane Rakosnik spytał go, czy nie zechciałby tuczyć prosiąt.

Tatusz ożywił się.

- Wreszcie pożyteczna i piękna praca. Zrobię na tym fortunę!

A mamie powiedział:

- Jeśli chcesz, przyjdź tam do mnie.

Wziął koc na plecy, tak jak w młodości, kiedy wędrował po świecie, i ruszył wzdłuż zapory pogwizdując. A gwizdał pięknie, miał grube, namiętne wargi, za młodu gwizdał dziewczynom Marinarellę, która rozbrzmiewała na całą zaporę i teraz ludzie ze wsi Skochowice oglądali się, jakby nadchodził ktoś znajomy, kogo nie było tu od wielu lat.

Tatusz chciał wyhodować najpiękniejsze prosięta w Czechosłowacji, takie różowe i tłusciutkie jak na noworocznych kartkach z zieloną czterolistną koniczyną. Z tymi prosiętami to chyba nawet spał i w ogóle się nie mył. Prosięta rozkwitały, a tatusz marniał. Kiedy mamusia dowiedziała się o tym, powiedziała po żydowsku, że tatusz jest miszuga, co oznacza człowieka, który jest czymś pośrednim pomiędzy szaleńcem, postrzeleńcem a durniem, załadowała wózek i ruszyła wzdłuż zapory zastanawiając się, czy ma się w tej brudnej wodzie utopić, czy też ciągnąć ten wózek, tak jak jej życie nakazywało. A wyruszyła w nocy, aby ludzie nie widzieli, że na stare lata jeszcze leci za chłopem.

I znalazła mojego niezrównanego tatuńcia wśród prosiąt. Właśnie je karmił. Wyszczrzył do mamusi zęby, niewiele się już różnił od tych swoich wychowanków. Mamusia wyciągnęła go z chlewa, wyszorowała w szafliku do parzenia prosiąt, umyła mu wszystko - z przodu fintifluszka, a z tyłu dupę.

Ciągnęli to tak razem przez rok. A nie była to praca łatwa! Nad rzeką dla prosiąt - niezdrowo! Chorowały, moi starzy myśleli, że z brudu, więc często przemierzali chlew na kolanach, szorując szczotką ryżową koryta i przegrody. Odwiedzałem ich tam i widziałem, jak w praktyce to wszystko wyglądało. Przybyli w to miejsce z nadzieją, że spokojnie dokonają tutaj żywota, a tymczasem powalono ich na kolana. Mamusia wynosiła z chlewa zdechłe prosięta, jakby to były jej dzieci. Uciekłem wówczas w las, nie mogłem na to patrzeć. Ale później jakimś nadludzkim wysiłkiem udało im się podźwignąć. Obiecano im nawet w nagrodę odchowane prosię. Tatuś znów piął się na ów szczyt, jak wówczas, kiedy jako komiwojażer zdobywał światowe laury w handlu. Oczywiście widział uroczyste świniobicie: krwawe kiszki z chrzanem, beczki piwa, dzieci. Wnuki dokazujące na prosiętach. Oczywiście, największe i najpiękniejsze prosię karmił dla siebie. Miało ryjek jak czterolistna koniczyna na zielonej łące. Czasami starzy chodzili popatrzeć na to prosię, myśleli przy tym o dniu, kiedy zagrzeje się woda, a my wszyscy zjedziemy się samochodami i pociągami.

Tymczasem oświadczone im:

- Prosięcia nie będzie!

Tatuś nie odezwał się ani słowem, tylko otworzył drzwi domku, w którym mieszkali, i zaczął wynosić rzeczy. Miednicę, pościel, koce, kilka krzeseł. Obydwoje milczeli. Kiedy przed niskim domkiem zatrzymał się samochód ciężarowy, wymienili z mamą spojrzenie i tatuś krzyknął w stronę zboczy, rzeki i całego miasteczka:

- Prosięcia nie będzie!

Roześmiali się. A ilekroć siedząc już na platformie samochodu spojrzeli na siebie, za każdym razem wybuchali śmiechem:

- Prosięcia nie będzie!

I całowali się, ściskali, a samochód ciężarowy podskakiwał na wybojach.

A potem to: "Prosięcia nie będzie", zawsze już oznaczało w naszej rodzinie, że przegraliśmy, ale jednocześnie i wygraliśmy - i że ta wygrana jest większa niż przegrana.

Wkrótce ze spółdzielni produkcyjnej Wrane dostał tatuś niezwykle list, z którego, z grubsza rzecz biorąc, wynikało, że ci, którzy w niej pracowali, muszą jeszcze dopłacić.

"Po przeprowadzeniu analizy dochodów i wydatków naszej spółdzielni produkcyjnej za rok 1957 zawiadamiamy was, że dniówka obrachunkowa wyniosła:

minus 0,60 korony.

W związku z tym prosimy o spłacenie spółdzielni zaciągniętego długu w wysokości 530,52 koron."

Tatuś niekiedy machał tym pisemkiem, wołając: - Czy ten list wejdzie do historii jako drobny przyczynek do sytuacji w naszym nieszczęsnym kraju, czy będziemy się kiedyś śmiać z tego do rozpuku? Ale nikt mu, na razie, na to pytanie nie odpowiedział.

Króliki o mądrych oczach

Starzy sprzedali letni domek i kupili sobie chatkę koło Radocina, chatkę, nad której dachem kwitła jabłoń. Była to ich ostatnia przystań, tu, na ziemi, i była to przystań szczęśliwa. Pracowali i żyli marząc nierozsądnie jak Żydzi o Mesjaszu, że kiedyś jeszcze uda się im stanąć na nogi. A że więcej pracowali, niż marzyli - wcale źle się im nie powodziło. Tatuś nie uganiał się już za kobietami, burza minęła, nastał spokój. Tylko pieniędzy wciąż brakowało.

A więc tatuś raz jeszcze postanowił zrobić fortunę - tym razem na królikach. Najpierw króliki kupował, później je rozdawał albo sprzedawał. Pracował jak nigdy w życiu. Zbudował dla królików dziesiątki klatek, przyozdobił je firaneczkami, wyglądały jak zamki dla wielkouchych jaśniepaństwa. Rozpoczął hodowlę królików specjalnego gatunku, miały kolor amerykańskich rakiet startujących w kierunku księżyca, raz były bardziej srebrne, raz bardziej szare, oczy zaś miały jak na króliki piękne i mądre, jakby wszystko wiedziały. Tatuś rozmawiał z nimi całymi godzinami i drapał je w podgardle. Mam wrażenie, że króliki kochały go. Rano i wieczorem chodził po trawę dla nich, aby stale miały świeżą. Wstawał wcześniej, kiedy cała okolica spała i trawa jeszcze nie zwiędła. Był to istny obrzęd. Dniało, na zielonych źdźbłach lśniła rosa i wokół dokazywały dzikie króliki, których tu pośród hałd żyło zawsze sporo, a nie opodal pokrzykiwały bażanty. Wszyscy już tatusia znali. Klęczał na ziemi. Zawsze miał świetnie wyklepany sierp, który nie szarpał trawy. Przykładał go i sierp syczał: Szszszszszsz! Szszszszszsz!, a trawa sama układała się w bukiety. Dla każdego królika jak dla

jakiej damy z pierwszej łoży - jeden bukiet. A potem, założywszy na ramię szelki, ciągnął wózek i pogwizdywał. Wpychał królikom trawę do klatek, a one jeszcze zaspane mrugały oczami, musiał je budzić:

- Dzień dobry, urwisy! Macie tu papu!

Oczywiście, przekarmiał je i dlatego wywoził z ich klatek całe tony gnoju, niemal tyle, ile przywoził pokarmu. W klatkach było jednak nadzwyczaj czysto.

- Dziwisz się, co? - zwracał się czasem do któregoś z przyjaciół. - Jeść byś tu mógł, głuptasie!

A tymczasem mamusia z powodzeniem hodowała indyki, kury, sprzedawała jajka. Wkrótce zaczął się dokonywać mały cud jak w owej sławnej amerykańskiej książce *Jajko i ja* Betty MacDonald.

I ciągnęło się to tak bez mała dziesięć lat.

Tatusz zaprzyjaźnił się z ogrodnikami z pobliskiej "Walterówki", i przynosił do domu sadzonki cudownych róż, najpiękniejszych spośród najpiękniejszych. Po drodze zapominał, jak się nazywają, więc nadawał im imiona prezydentów, a także imiona swoich najlepszych przyjaciół, jak Fredzio Peroutka i Karol Proszek. A róże te rosły prosto do nieba, miały mocne łodygi, a liście i kwiaty jak z wosku. Sam nigdy tych róż nie ścinał, nie mógł patrzeć, jak kwiat pada na ziemię, musiała je ścinać nasza mama. A na tyłach ogrodu, tam, skąd otwierał się widok na zbrasławski zamek, miał grządki gladioli. Rosły tu także truskawki, porzeczeki i agrest. W chłodku znajdował się ukryty przed słońcem betonowy basen, w którym pływały zielone węgorze o pozornie złych oczach, węgorze złowione w Berounce.

W zimie, kiedy za oknami spadł śnieg, tatuś zastawiał sidła na gawrony. Jak gawron złapał się i machał skrzydłami, tatuś biegł po niego choćby w rannych pantoflach. Przyjeżdżało wówczas do niego z Pragi wielu mądrych ludzi i tatuś gotował im zupę z mądrych gawronów. Opowiadał o swoich bogatych krewnych, gospodarzach Popperach i Abelesach z Horszowickiego Tynu, którzy przed wojną uciekli przed Hitlerem do Kanady. A byli tak bogaci - mówił tatuś - że wieźli ze sobą nie tylko szwajcarskich pasterzy, ale i szwajcarskie krowy. W naszych marzeniach były to najpiękniejsze obrazy - jakby je malował sam mistrz Alesz - i wyobrażaliśmy sobie, jak nasi stryjkwowie Hugonowie i Alojzowie jadą pociągiem osobowym, a na następnym, towarowym, są napisy, takie jakie bywały na cyrku BUSCH albo HUMBERTO, i z okien wychylają się szwajcarscy pasterze w tyrolskich kapeluszach i szwajcarskie krowy z rogami, jakie malowano na szwajcarskich czekoladach. Jak się później okazało, prawda wyglądała trochę inaczej. Szwajcarskiego pasterza, pana Schmockera, wieźli tylko jednego, a krowy ani jednej. Urządzili sobie farmy, ale ciężko pracowali, a właściwie pracują do dzisiaj. Ich dzieci wyrosły na profesorów, jak na przykład Wilma Iggers, która najpierw doiła krowy, później pracowała w fabryce cukierków, ukończyła studia, a w końcu wykładała na uniwersytecie. Mieli nad nami jedną wielką przewagę: nikt z nich nie wyleciał kominem.

Mój tatuś nigdy się nie dowiedział, jak było naprawdę. Ale to było piękne, bo zawsze, ilekroć opowiadał o kanadyjskich Abelesach i Popperach, zaznaczał, że teraz to już na pewno należy do nich pół Kanady wraz z jeziorami i że kiedyś zaproszą go tam na los osie. Tatuś właściwie opowiadał o wszystkim. A najsmutniejsza była opowieść o tym, jak podczas wojny wiózł naszego psa Burka i kota starej pani Lowy autobusem do Pragi, aby je tam oddać, bo Żydzi nie mogli posiadać zwierząt. Kot ze strachu zesrał się w autobusie i tatuś musiał wysiąść i umyć go w śniegu - autobus, oczywiście, odjechał!. Przez całe przedpołudnie nosił zwierzęta po Pradze i wyciągał je z pudelka, aby pokazać im Zamek i miejsce na Rynku Staromiejskim, gdzie święto dwudziestu siedmiu czeskich panów. Oddał również Burkowi i temu kotu swój podwieczorek i był potem głodny.

Tych dziesięć lat minęło, jak z bicza strzelił.

Pewnego dnia ktoś ze stowarzyszenia hodowców królików powiedział mu, że gdyby te swoje rasowe króliki kazał wytatuować, mógłby dostać mnóstwo nagród i pieniędzy.

To go zachęciło.

Wezwał fachowca od tatuowania. Przy setce królików miał on strasznie dużo roboty: musiał nakłuć królikom na uszach różne numerki. Dopiero dzięki temu króliki stały się szlachetne i czystej krwi - tak jak kiedy szlachcic zafunduje sobie w końcu drzewo genealogiczne! A później tatuś przypatrywał się im po całych dniach, marząc o tym, że większość z nich sprzeda na najbliższej wystawie i hodowcy królików w całej okolicy będą je hodować i mówić, że to od starego Poppera.

Przyjaciele tatusia, Novakowie, ze spółdzielni produkcyjnej pożyczili mu kojce, on sam za ostatnie pieniądze wynajął samochód ciężarowy. Szybko króliki załadował, ale zanim odjechał, ujął mamusię Za rękę i zaprowadził do spiżarni. W ostatnich czasach niewiele tego w spiżarni było: trochę mąki, ryżu, kaszy, butelka oleju, świeczki, zapalki - i to wszystko. Złościło go to, przed wojną zawsze był dumny, że półki naszej spiżarni uginają się pod zapasami. Otworzył drzwi.

- Wyrzuć to dla drobiu, Herminio - poleci! Przywiozę pełną spiżarnię. Usuń wszystko i wyłóż półki czystym papierem.

A potem pocałował ją uroczyście, jakby udawał się na wojnę, którą na pewno wygra.

I wyruszył tą ciężarówką do Karlsztejnu, przypuszczam, że to był Karlsztej. Samochód zaraz odesłał, króliki sprzeda, a do domu przywiezie tylko parę do dalszej hodowli, przede wszystkim pięknego samca Michała. Kiedy przyszła kolej na jego króliki i jury się nimi zajęło, tatusiowi serce ścisnęło się, jakby oceniano jego własne dzieci. Wazono je, dmuchano w sierść, oglądano.

W końcu oświadczyli tatusiowi, że nie zrobił im przepisowego manicure i pedicure, nie obciął im pazurków i nie umył ptaszków, co stanowi tak poważne niedopatrzenie, że żadnej nagrody nie mogą mu przyznać. A więc stało się zarazem jasne, że królików nikt nie kupi.

Tatuś zbladł i zaczął krzyczeć:

- Ach, wy dranie! Łobuzy! Oto w czym rzecz: nie lubią Żydów!

Po tym okrzyku zapadła cisza, szum urwał się nagle, nawet króliki jakby opuściły uszy. Hodowcy podchodzili, aby tatusia pocieszyć, a pierwszy zwrócił się do niego życzliwie, tak jak to hodowcy zazwyczaj robią:

- Ach, drogi przyjacielu Pavel!

Od dawna już nazywaliśmy się Pavlowie. Stwierdziliśmy bowiem, że skoro żyjemy w Czechach, to powinniśmy zamiast tego Popper nosić porządne czeskie nazwisko... a może też trzęśliśmy ze strachu portkami więcej niż trzeba!...

Tatuś ryknął na tego hodowcę:

- Gówno ci przyjaciel, nie ja!

I nadal siedział i czekał na coś, co mogłoby go ocalić. Mógł to być jego syn Jurek, który tak często mu pomagał swoim fiatem, albo inny syn, Hugo, który z kolei miał złote ręce. Albo mogliby przylecieć samolotem z Kanady stryjowie Hugo i Alojzy i przywieźć największe spośród kanadyjskich królików, aby tu nad wszystkimi zatriumfował! Mógł by też zjawić się stryj Otto, który po wojnie pracował na północy Czech i którego kochaliśmy równie gorąco jak ciotkę Helenę z Pragi.

Ale nic się nie stało. Zapadł zmierzch. Hodowcy królików porozchodzili się i tatuś został sam. Przeciągnął przez płot kojce z królikami na otwartą zieloną przestrzeń i otworzył wszystkie drzwiczki. Zdziwione zwierzęta wychodziły powoli, nigdy nie widziały nad sobą nieba i nigdy nie miały pod brzuszkiem lucerny.

- No, urwisy, możecie biec, dokąd się wam podoba - powiedział do nich.

Ale króliki nie rozbiegły się, przyzwyczajone do tatusia, cisnęły się do niego i ocierały o jego nogi jak koty. Odganiał je, ale one ciągle wracały, bo wiedziały, że nigdzie nie będzie się im tak powodzić, jak powodziło się im u niego, nigdy już trawka nie będzie tak chrupiąca jak w tych pięknych klatkach, gdzie żyły jak jaśniepaństwo we wspaniałym zamku. Nie przestawały się do niego cisnąć, choć przez swoją ignorancję nie zdobyły dla nich pierwszej nagrody.

W końcu musiał przed nimi uciec, najdłużej trzymał się go jego ulubieniec, piękny Michał. Ale i jemu uciekł. Doszedłszy do dworca, sięgnął do kieszeni, ale znalazł tylko garść pogniecionych i wykruszonych papierosów. Zobaczył rzekę. Przez całe życie rzeka stanowiła dlań wszystko. A więc zszedł nad nią, a idąc wzdłuż jej koryta musiał dojść do swojego domku i do swojej żony. Szedł w blasku księżyca, który uczynił z rzeki srebrną drogę. Niekiedy wyciągał się w trawie, wszystko go bolało. Jakby serce miało mu pęknąć, a nogi zatrzymać się raz na zawsze. Po raz pierwszy szedł taki szmat drogi bez pogwizdywania i bez śpiewu, nie nucił nawet tej znanej z legionów piosenki o słoniach ani tej drugiej, o czerwonej chusteczce. Jakby w gramofonie pękła sprężyna, jakby skończył się film o wesołym wędrowcu i rybaku. Szedł i tylko na niebie jakby widział niekiedy spiżarnię wyścieloną białym papierem, tak jak polecił. A potem ponoć ujrzał przy brzegu rybę. Była to długa ryba o ogromnych wypukłych oczach. Patrzyła na niego, a on patrzył na nią. Była to ryba, która okazała się na tyle sprytna, że przez całe życie nie dała się pożreć żadnej innej i żaden sprytny rybak jej nie złapał. Tylko dlatego mogła być taka ogromna i stara. Tatuś twierdził potem, że przyszła popatrzeć, jak on umiera, bo przecież w swoim życiu zabił tysiące ryb. Ryba poruszyła płetwami i odpłynęła. A tatuś znów ruszył w drogę. Rano dowlókl się do furtki. Nogi uginały się pod nim i trzymał się za serce. Mama przeraziła się i zaprowadziła go do pokoju. Przechodząc koło spiżarni odwrócił głowę, obawiał się, że mamusia wyłożyła półki czystym papierem. Ale później mimo wszystko spojrzął. Drzwi spiżarni jakby naumyślnie - były uchylone i leżały tam te same brudne papiery. Na półkach stało trochę mąki, ryżu, kaszy i butelka oleju. Tatuś usiadł na krześle i uśmiechnął się do mamy:

- Mój ty najlepszy przyjacielu!

Mamusia wezwała pogotowie. Przyjechali, wzięli go pod ręce. Oświadczyli, że zabiorą go do szpitala. Zaczął im wymyślać, a przy furtce wyrwał się im, że niby czegoś zapomniał. Ale nie wrócił się po małe radio tranzystorowe, jakie ludzie zwykle zabierają ze sobą. Kiedyś kazał namalować piękną tabliczkę, z której był dumny. Teraz powiesił ją na furtce, aby każdy mógł przeczytać.

Wypisano na niej:

ZARAZ WRACAM
I już nigdy nie wrócił.

Dzieciństwo

Koncert

Tak w ogóle to dla każdego wędkarza najlepiej, jak zacznie coś tam mieć do czynienia z rybami już jako szczeniak. Gdy w tajniki łowienia wprowadza człowieka tato, stryj albo jaki przewoźnik. Dla nas to był przewoźnik Karol Proszek pod Branowem, który stopniowo stał się naszym wujkiem. To on uczył łowić i moich braci, Jurka i Hugona, i mnie, i, co ważniejsze, naszego sprytnego tatusia.

Wuj Proszek to chyba się w Berounce urodził niby jako wodnik, a do Łęgów przyплыwał z wielką wiosenną wodą. Miał piękne wąsy jak dragon i dźwięczny głos, a także słuszną posturę. Nie było rzeczy, której by nie potrafił. Umiał orać, siać, doić krowy, gotować zupę z gwoździa, nabierać prawdziwków i kozaków, gdy jeszcze w lesie ich nie ma, upolować sarnę, pleść koszyki, przewozić przez wielką wodę, uratować człowieka czy zmarzniętą zwierzynę, zdzielić w pysk jakiego durnia, no i śmiać się.

Podczas wielkiej wody przewoził parę razy akuszerkę Flybertową razem z jej podręczną walizeczką. Z rybami dawał sobie radę jak nikt. Nabijał je z łodzi podczas księżycowych nocy na specjalne widły, tak zwane grondle, zagradzał im drogę wierszą, zarzucał sieci, a dla oka łowił je wędką jak jaki pan.

Było to jeszcze za Austro-Węgier, gdy na zamku krzywoklackim mieszkał książę pan Max Egon Fürstenberg, jadł węgierski gulasz i popijał piwo z Rakownika. Proszek jako najlepszy rybak w tej okolicy miał od niego pozwolenie łowić jakim chciał sposobem na całej rzece. Tylko węgorze, które mają mięsko jak kwiat lotosu, musiał zanosić na zamek. Miał na nie torbę, którą mu uszyła żona Karolina ze zgrzebnego płótna. Na zamek nosił je brzegiem Berounki jeszcze żywe. Brama się przed nim sama otwierała jak przed jakim rycerzem.

Wysypywał węgorze do nasmołowanej drewnianej beczki z wodą i czasem dostawał monetę ze złota.

Był na niej cesarz, a cała moneta przypominała słońce.

Ale kiedy książę odjechał w karecie za cztery obce góry i cztery obce rzeki, zakazano Proszkowi łowić na wszelkie sposoby i powiedziano mu, że wystarczy mu sposób jeden, to znaczy wędka.

Proszek miał długą żółtą wędkę z bambusa. Biczysko bez kołowrotka. Szedł pod prąd płynącej wody, żeby go ryby nie widziały, prychał przez dragonie wężyska i co jakiś czas praskał biczyskiem, i dlatego ten sposób nazywano "na szast-prask". W tym okresie i my zjechaliśmy tam naszym wozem. Ojciec Leon, matka Herminia, bracia Hugo i Jerzy, i ja. To była cała nasza rodzina. Obserwowaliśmy Proszka od strony olszyny z drugiego brzegu rzeki. Poruszał się na śliskich kamieniach jak polująca wydra. Spławik padał na ściśle wyznaczone miejsca. A ryby? Same jak gdyby wyskakiwały z wody. Srebrne klenie z ciemnoczerwonym sterem płetwy przy samej dupce i wytworne wąsate brzany. Kałduniaste płocie z cichych głębi i bystrowodne jelce. Osuwały się do siatki, wolność się kończyła, przyszedł ich pan, król kłusowników.

Tatuś z zachwytem wołał:

- Herminio! Toż to koncert! Zupełnie jak Kubelik! .

I natychmiast na całym brzegu wyrastały mi w głowie rzędy foteli, a w nich siedzieli panowie w angielskich pumpach w kratę i damy w różowych krynolinach. Wzdychali i klaskali przy każdej rybie:

- Messieurs, mesdames, to jest prawdziwa sztuka!

Proszek rzucił do przepelnionej siatki ostatnią rybę, zapalił skręta i uklonił się.

Trybuny znikły, a on przeszedł przez płytką rzekę do mego taty. Z miejsca się polubili, bo mój tatuś też był szpakami karmiony. I durniów trzepnąć po pysku potrafił jak Proszek. A czego nie umiał, to go Proszek nauczył. Gruboskórny Proszek bardzo tatusiowi odpowiadał, bo przez całe życie twierdził, że delikatnisie są gównu warci. Dogadał się z Proszkiem, że na letnie mieszkanie będziemy jeździć do jego przewoźniczej chałupy i nigdzie więcej.

Czarny szczupak

Miałem jakieś niecałe sześć lat. Braciszki za bardzo nie chcieli mnie brać do swojego towarzystwa. Nie byłem ich godzien. Z daleka tylko przyglądałem się ich uciechom. Przeważnie na brzegu rzeki Berounki cyałem palec. Hugo z Jurkiem najchętniej łazili na wysepkę, gdzie łapali ryby rękami w zielonych wodorostach: Hugo był ładny i łagodny. Jurek był konus i zabijaka, bił się, z kim popadło.

Przy wysepce rosły długie, czarodziejskie zielone wodorosty, które przypominały powłóczyste włosy wodnika rzeczno Oskara. Te włosy myła mu falująca woda, jak gdyby leżał zatopiony w żółtym piasku. Na wodorostach czasem pojawiały się kwiatki, już nawet nie wiem, jaką miały barwę, chyba różowobiałą jak

panny młode. Było tu płytko i wśród wodorostów pasły się jak na łące ślimaczki i biedronki wodne. Brzany i inne ryby pod: pływały pod wysepkę, myszkowały za robaczkami, chwyciły je pyszczkiem i ciamkały jak prosiątka.

Bracia tylko czekali na taki moment, w samych majtkach wchodzili do wody i gmerali rękami w wodorostach, póki nie namacali zimnego ciała ryby. Ryba zamierała, po czym rzucała się przed siebie, braciacha ochłonawszy skakał za nią, mijał ją, woda bryzgała, braciacha darł się. Jak na rodeo.

Kiedyś odkryli w wodorostach olbrzymią rybę, z początku to nawet myśleli, że widzą splawiony pieniek. Ale był to czarny szczupak, podpłynął tu za rybkami i nie mógł już się wydostać. Kiedy się puścił przed siebie, przypominał torpedę. Woda chlustała na wszystkie strony. Hugo krzyknął:

- Co się gapisz, chodź nam tu pomóc!

Naraz byłem dla nich dobry. A mnie się akurat nie chciało tam łązić. Powoli zacząłem się zbliżać. Szczupak kluczył między wodorostami, podpłynął aż do mnie i zatrzymał się. Widziałem, jak oddycha i patrzy na mnie drapieżnymi oczami, a w na pół rozdziawionym pysku ma pełno zębów. Chce mnie pożreć. Zacząłem się spręzać. Szczupak smyrgnął. Skoczył. Przeleciał przez mieliznę i znikł w głębinie. Jurek do mnie powiedział:

- Ciamajdo! Wystarczyło tylko ręką sięgnąć! Capnąć za grzbiet!

W rzeczywistości wszyscyśmy odetchnęli, że się wyniósł. Braciszczkowie również nie pchali się do niego z łapami. I ta przygoda była jak gdyby przepowiednią losu, jak gdyby pod postacią tego olbrzymiego szczupaka kryło się nasze przeznaczenie.

Czy złowi któryś z nas w życiu rzeczywiście wielką rybę? Być może nam to już nie sądzone, bośmy nie byli wtedy dzielni.

Moja pierwsza ryba

Proszek wracał z knajpki "Annam" w dobrym humorze, podśpiewywał sobie żołnierskie piosenki. Znał ich wiele, podczas wojny walczył w Serbii. W biodrze miał nie wyjęty odłamek, który przestawał mu dokuczać, jak tylko go podlał paru głębszymi. Gdy dobił do naszego brzegu, zlął z łodzi, pocałował w pysk naszego psa Holana i rozsiadł się pod pachnącą akacją.

Byłem akurat na mostku przewoźnickim, braciszczkowie jak zwykle nie wzięli mnie ze sobą, woleli wziąć Daszę, córkę Fredzia Peroutki, która mnie ostentacyjnie ignorowała.

Wujek popatrzył na mnie zielonymi oczami:

- Chodź tu, pupuńko!

Poczłapałem do niego bez pośpiechu, nie lubił mnie zbyt. Przepadał głównie za Jurkiem, to był lump w jego typie. Ja byłem najmłodszy, pieszczoszek. Proszek mi się bacznie przyjrzał i wyciągnął z wyszmelcowanej kieszeni kiszzonego ogórka!

- Na, masz.

Wyjąłem palec z buzi i na jego miejsce wsadziłem ogórek. Obserwował mnie. Wreszcie wyciągnął piersiówkę i podał mi rozkazując:

- Gólnij sobie.

Nic w niej już nie było. Ale udałem rozanielonego. Nie istniejący alkohol nas zbliżył. Wstał i skinął na mnie, żebym z nim szedł do stodoły. Wyciągnął długi leszczynowy pręt, mówiąc:

- Zrobię ci z niego wędkę. Od dawna mam go dla ciebie:

Wyjął z kieszeni ostry kozik i zaraz ciach tu, ciach tam, a ja przyglądałem się jego spracowanym rękom bez jednego palca, który sam sobie uciachał, kiedy ciął wiklinę na koszyki. Widziałem jego twarz skrzywioną z bólu, znów mu dokuczał odłamek w biodrze. Ale przeciwbólowy alkohol już mu się skończył. Wędka była prawie gotowa. Wtedy nie wiedziałem, że to będzie moja najcenniejsza wędka, ale dziś to wiem. Była to wędka dzieciństwa, z którą nie mogły się równać późniejsze wyroby amerykańskich i japońskich wytwórni. Przywiązał do niej żyłkę i przytwierdził gęsie piórko oraz haczyk. Po czym powiedział:

- Koło wyspy są okonie samotniki. Idź tam, pupuńko, i poczochraj im grzywy. Ja tu na ciebie poczekam.

Skulił się w kłębek. Holan położył mu łeb na kolana. Ścieżką doszedłem do wyspy. Było przedpołudnie, słońce przygrzewało. Nasadziłem glistę na haczyk i zarzuciłem. Nic nie brało, tylko błękitnawe ważki przysiadły na grązelach, a gdzieś w zatoczce ucztowały mlaskające klenie. Białe piórko spoczywało na powierzchni wody nieruchomo jak mały masztowiec, kiedy nie ma wiatru. W duchu napinałem na nim żagle i rozkazywałem kapitanowi, żeby płynął, żeby go ciągnęła po powierzchni kolorowa ryba. Ale piórko ani drgnęło, a mnie zaczęły się kleić oczy i tylko czasem zamrugałem jednym okiem, czy żaglowiec nie wypływa.

Nagle piórko się zachybotało i wokół niego zrobił się na wodzie krąg. I znowu, i znowu, jakby to były sygnały z bezkresnych głębin. Ktoś igrał ze stateczkiem, kołysał go, tak jakby skórzanym rzemieniem wprawiał w ruch motory. A zatem nie był to stateczek żaglowy, ale biały motorowiec.

Wreszcie piórko stanęło dęba, przekreśliło się do góry nogami jak na pół zatopiona kaczka. Teraz już wędkę kurczowo ścisnąłem w dłoniach. Pewnie to będzie jeden z takich grzywiastych okoni, co tu samotnie mieszkają. Tymczasem piórko zrobiło hops! i znikło. Było jednak widać, jak sunie pod powierzchnią ku grązłom. Podciąłem. Pręt się wygiął w łuk i po raz pierwszy w życiu poczułem, jak błogo jest ciągnąć rybę. Po chwili obustronnego szarpania wynurzył się rozdziawiony pysk. Był to okoń wielki jak kaszkiet, czerwony i oliwkowozielony, z poprzecznymi ciemnymi, pręgami. Dźwigał swoje czerwone płetwy jak chorągwie bojowe, a z karku przypominał byka. Zamiast ślepi miał żywe złociste monety, na grzbiecie sterczała mu zjeżona kopia. To nie była ryba, to był smok, opancerzony rycerz z purpurowym pióropuszem na przyłbicy.

Wywlokłem go na trawę i przydusiłem ciałem, żeby mi nie uciekł. Byliśmy dwoma mocującymi się chłopakami. Po chwili uroczyście niosłem go na przewoźniczą przystań. Pokłusem się o jego kopię, z palców leciutko sączyła mi się krew. Myślałem tylko o tym, że wuj Proszek od dziś będzie mnie lubił tak samo jak Jurka. Proszek siedział już na ławce i popijał kozi wermut, mleko, by przegonić z siebie alkohol. Pochwalił mnie:

- Zuch z ciebie.

Wypatroszył okonia, a łeb ze skórą przybił do wrót stodoły. Żeby wszyscy widzieli, że w Łęgach pod Branowem narodził się nowy rybak.

Wziąłem sobie dojarski zydelek i przez całe dni siedziałem pod tym trofeum. Kiedy szedł ktoś na przystań, chrząkałem i kaszlałem, żeby zwrócić uwagę na mojego okonia. Pochwal zebrałem co niemiara. Przyszła nawet Dasza, córka Fredzia Peroutki. Cmoknęła mnie w policzek i oświadczyła:

- Jesteś prawdziwy kawaler.

Ale kiedyś w nocy moje trofeum zniknęło nie wiadomo jak. Możliwe, że je pożarła kocica Anulka. Mnie się jednak zdaje, że zdjął je z wrót mój ukochany wuj Proszek. Miał już powyżej uszu mojego samochwalstwa i zacząłem od nowa być u niego w niełasce.

Pojedynek na szczupaki

Moi bracia wzięli mnie wreszcie do swojej paczki. Łowiliśmy razem przynętę, sznycelki, takie rybki, które oficjalnie nazywają się kielbie. Ale myśmy je ochrzcili sznycelki, bo przypominały sznycelki do smażenia. Jest to rybka miła dla oka, ma dwa niebieskie wąsiki, a jej łuski układają się w taki wzorek, jakby to był marmur. Pan Bóg pofantazjował sobie, kiedy ją tworzył. Ale wyszła mu rybka łatwowierna i głupia.

Podczas połowu sznycelków mieszaliśmy nogami w rzece piasek i muł. Sznycelki w tym mętliku szukały pokarmu. Natykały się na haczyki z dżdżowniczkami. Robiły pyszczkami pach jak kokoszki, ciągnęły splawik, myśmy podrywali wędki, i sznycelki lądowały w świetle dziennym. Niekiedy podpływały nam aż do nóg i dziobały nas w palce.

Pyk. Pyk. Pyk. Majtaliśmy nogami w chłodnej wodzie i łowiliśmy dalej. Rybki wrzucaliśmy do puszek, a tatuś z wujkiem Proszkiem łapali na nie szczupaki i inne kanibale rzeczne. Ale sznycelków było wtedy w rzece mało. Wuj Proszek odkrył, że szczupaki pożerają ostatnimi czasy również okonie. Wyniuchały, jakie kruchutkie mięsko ma szpikulcowaty okoń. W karcie dań szczupaków znalazły się okonie i nikt o tym nie wiedział.

W tym czasie swoim starym gratem zjeżdżał w Krzywoklackie ze swą żoną Wlastą praski zecer Fredzio Peroutka, kibic Victorii Żiżków. Spiknęli się wkrótce z moim tatusiem. Na Gwiazdkę posyłali sobie sałatkę ziemniaczaną w malowanych nocnikach. Obaj byli młodzi. Gdy się wracało do Pragi, otwarte kabriolety obwieszane były szczupakami po bokach, a z tyłu skakały przywiązane garnki i wiadra. Szybkość nie miała znaczenia. Po drodze obie ekipy wykrzykiwały do siebie hasła, a głównie nieprzyzwoite wyrazy. Kobiety się nie czerwieniły, bo już do tego przywykły. W Krzywoklacie tatuś miał obowiązek zawołać:

- Tu mieszka piekarz Hałuj!

Na to jadący z tyłu Peroutka wydzierał się radośnie :

- W dupę go pocałuj!

Jeśli tatuś tego nie wykrzyknął, Peroutka miał zepsuty cały dzień.

Kiedyś w Łęgach Fredzio umyślił, że tacie i Proszkowi pokaże, jak się łąwi ryby, i z tamtejszym zapaśnikiem Franciszkiem Pavliczkiem wypłynął na szczupaki pod Diabelską Skałę. Mówiło się na to miejsce Diabelska Skała, bo raz podobno szedł tamtędy myśliwy, miał w kieszeni butelkę diabolicówki, potknął się o głaz, trunek

mu wypadł, wylał się, no i od tamtej pory była to naprawdę Diabelska Skała. Druga, trzeźwiejsza wersja mówi, że szatan chciał przez jedną noc postawić na Berounce most, gdyż pod takim warunkiem miał dostać z Rybiarni córkę rybaka. Ale do pierwszego brzasku i piania kogutów nie był z robotą gotowy, więc spuścił nos na kwintę. I tak już został na zawsze na tej skale. Od dawien dawna były na głębi pod tą skałą szczupaki.

Kiedy się tatuś o tym dowiedział, wzięli z Proszkiem okoników jak malowanie i popłynęli łódką pod prąd za wyspę, a potem dalej w górę rzeki, aż po Brtwę ku szczupaczym głębiom. Nałapali wielkich szczupaków. Jeden szczupak to podobno nawet z wody wyskoczył po okonika, kiedy go zarzucali, taki miał apetyt.

Przy płynęli przed samym powrotem Fredzia. Fredzio rozkraczył się radośnie na drugim brzegu, trzymał nad głową dwukilowego szczupaka i wołał:

- Popatrz no, cośmy podłapali!

- Podpłyn na tę stronę, ty kretynie! - zaprosił go tatuś.

Kiedy Fredzio przybił, tato wziął go pod rękę i podprowadził do sadza. W kadzi się rysowały ciemnozielone grzbiety trzech wielkich szczupaków.

Fredzio szybko pokropił się wodą, żeby nie zemdleć i nie spaść na łeb do rzeki. Zasycał tylko:

- Wy, basałyki, to jakieś oszukaństwo.

Wieczorem pod akacją tatuś mu zdradził tę tajemnicę z okoniami, poradził mu też, gdzie ma rano wypłynąć za szczupakami. Bo ta akacja miała taką moc, że pod nią każdy mówił prawdę. Nawet rybacy.

Koło Skały Szymów

Czas leciał. Przestałem już nosić koszulę w zębach i dostałem swój pierwszy spinning. Tatuś kupił nam angielską piłkę, identyczną, jaką grał "Arsenal" londyński, ta drużyna sławnych bombardierów. Toczyliśmy nią na placu niezliczone walki i boje, aż kiedyś chłopaki tak mi nią przysunęli w stopę, że wyskoczył palec ze stawu. Proszek nastawił go z powrotem jednym pchnięciem dłoni.

Rzeka była stale pełna ryb. Mama je obtaczała w tartej bułce i smażyła jak sznycle, po czym układała warstwami w occie, pokrywając każdą warstwę plasterkami cebuli. Ryby trzymało się w kamiennej stągwi pod zimną ścianą piwnicy.

Gdy ktoś we wsi zachorował, przychodził do nas po marynowane ryby. Zdrowi przychodzili także. A najczęściej to zjawiali się po marynowane ryby skacowani. Ryby były od wiosny do jesieni, w stągwi się uleżały, ości im rozmiękły. W lecie były zimne, a w zimie letnie.

Uciechom nie było końca, jakby całe życie miał trwać karnawał. Nad jazem sterczała z rzeki wysoka czerwona skała, na którą mówiło się Skała Szymów. Pewnie dlatego że po wioskach mieszkało pełno Szymów. Jak się szło koło tej skały, to się śpiewało:

*Koło Szymów Skały trampy dwa siedziały,
nic nie miały do roboty, na gitarze grały.
Mcajcajcajcara, mcajcajcajcara,
mcajcajcajcara, juchy, juchy, juch.*

Wieczorem koło Skały Szymów chodziło się pod jaz na brzany. Pierwszy szedł wuj Proszek w słomkowym kapeluszu, za nim tatuś ze sterczącą czupryną, potem Hugo, Jurek i ja. Nieśliśmy długie wędki, sięgały aż do gwiazdek, które zjawiały się na nieboskłonie. Takimi kijami można by pewnie zapalać gwiazdki tak jak lampy gazowe na Starym Mieście. Niebo było ciemnoniebieskie, a przed nami spadała z jazu woda. Jaz szumiał, a pod nim robiły się białe wiry.

Naprzeciwko kończył swą dzienną pracę rozklekotany młyn nezabudicki. Świeciła z niego wielka biała gwiazda, okno młynarza Czecha. A ponad tym wszystkim rozpościerało się niebo i dale wszechświata.

Proszek się odwrócił:

- Dalej nie ma co chodzić.

Zeszliśmy nad rwący nurt, gdzie woda ma rozmach i gdzie trzymają się brzany. Wśród ryb są one najdzielniejsze i najwytrzymalsze. Stale płyną pod prąd, praktycznie bez przerwy w nim przebywają i dlatego są odporne i silne. Pyszczkiem wywracają kamienie, pod którymi szukają raczków i innego drobiazgu na żer. Mają mocne płetwy i walcowate ciało, wyglądają jak samoloty naddźwiękowe.

Rozpakowaliśmy sprzęt. Na długich wędziskach zamiast żyłki zamocowaliśmy po kilkanaście metrów cieniutkiego mosiężnego drutu, który tnie pędzącą wodę jak brzytwa. Na haczyki nadzialiśmy dżdżownice.

Siedzieliśmy w miękkiej trawie trzymając wędziska. Pierwszy wyciągnął brzanę wujek. Rzuciła się w trawie, ruszała swymi czterema wąsikami, cichutko popiskiwała i jak gdyby skarżyła się, na pewno też się złościła. Potem brzana chwyciła u mnie. Najpierw stuknęła, dźwięk dochodził z wody jak jakie nawoływanie z nieskończonych dali głębinowych. Później poczułem ciągnięcie, zupełnie jak gdyby się wędka o coś zaczepiła, o jakąś pływającą trawę podwodną.

Szarpnąłem. Zjawiła się brzana. Wynurzyła się na powierzchni rzeki w momencie, gdy z góry księżyc wszystko odsłonił. Wyglądała jak stopione srebro lub jak konewka cynowa, jaką nalewa się wino z królewskich winnic. Dzielna ryba. Walczyła z uporem o życie, bez przerwy próbowała iść pod wodę. Pchała się w najbardziej gwałtowne nurty, jak niektórzy śmiałkowie rwą się na morze. Drut był jak ze stali. Walczyliśmy o każdy centymetr.

Na koniec poddała się, gdyż była to walka nierównych sił.

Gdy ją wywlokłem na zroszoną trawę, zacząłem głaskać ją jak psa albo kota. Ale ciało miała obce, zimne, rybie. I zaraz przekłułem jej łeb nożem, bo i waleczni nieraz przyplacają błąd śmiercią. Zabiłem ją, gdyż tak się nauczyłem od wuja Proszka i od tatusia, a oni znowu od swoich przodków. Jej mocne płetwy oklapły, a ciało, tak podobne do pięknych srebrzystych samolotów na dalekich trasach, wygasło.

Jak z tatusiem uraczyliśmy węgorze?

Mój sprytny tatuś zabrał mnie kiedyś ze sobą zastawiać sznury. Opracował wspaniałe, a zwłaszcza śmiały plan, jak niezawodnie nałapać węgorzy. Zarzuci się na większą głębię pod Paloukiem sznury. Zastawi się na nich przynętę w miejscach, które węgorze będą płynąć pod prąd, zaszerwuje się im według tatusia taką ucztę, że się nie oprą. I będziemy mieć tyle węgorzy, że damy je uwędzić u masarza. Tatuś mi powiedział:

- Wędzone węgorze są ze wszystkiego najlepsze. Można je jeść cały rok.

Tatuś powiadał również, że trzeba poczekać na odpowiednią porę. Aż księżyc zniknie, niebo się zaciągnie, a gwiazdy pójdą spać. A także jak się trochę podniesie i ewentualnie zmaćci woda, jak rzeka będzie mętnowa.

Tymczasem rozpoczęliśmy gorączkowe przygotowania. Pocięliśmy dwa zupełnie nowe sznury od bielizny i ostrzyliśmy pilnikiem groty haczyków, by dobrze się wpijały węgorzom w pyszczki. Gromadziliśmy przynętę. Chodziliśmy nad strumień i łapaliśmy przepiękne rybki, strzeble potokowe. Sameczyki miały krwawoczerwone ryjki i mieniły się szmaragdową zielenią i aksamitną czernią. Wyglądały jak rybki z akwarium. Zakładaliśmy, że zaproponujemy węgorzom coś ekstra super, czego w rzece nie uświadczą. Tatuś nawet oznajmił, że się węgorze z tego posrają. W Łęgach niemal doszczętnie zniszczyliśmy Proszkowi ogródek ryjąc rydłem za paroma dżdżownicami. Ale byliśmy za to fantastycznie przygotowani i wyposażeni.

Zacząło mocno i rześście padać, mój tatuś tylko zacierał ręce. Deszczowa woda na polach i łąkach zmętniała i niosła z sobą do rzeki wypłukane dżdżownice, zatopione pasikoniki i napęczniali mszyce. Ryby w wodzie już czekały i napychały sobie brzuchy. Nurt stał się mętnowy, przy brzegu płynęły pierwsze ciemne wody. Proszek na przystani miał wtedy jakichś gości, zmoknięci grzali się przy piecu, tatuś nie chciał przy nich mówić, mrugał tylko do mnie od czasu do czasu, że nastąpiła ta najwłaściwsza pora.

Wyszliśmy cichcem o zmierzchu. Na nogach gumki, na sobie płaszcze gumowe, a w sercach nadzieja. Szliśmy pod prąd, drałowaliśmy dziesiątki metrów po jakiejś nabrzeżnej ścieżce, która się bardziej nadawała dla kozic niż dla ludzi. Nie wiem, jak długo szliśmy, ale było to okropne. Śliskie kamienie, urwiste podejścia, gałęzie tłukące po twarzy i padający deszcz. Stopniowo wpadałem w coraz większą złość na tatusia, który co jakiś czas odwracał się i mamrotał coś jakby:

- To jest ta najwłaściwsza pora.

Do Palouka jest daleko i w biały dzień, każdy to w Łęgach może potwierdzić, i Wilkowie, i Pavliczkowie, i kogo nie zapytacie. Nie mogłem pojąć, czemu nie zastawiliśmy sznurów przy samej przystani, skoro w taki psi czas nikogo nad rzekę nawet kijem nie wygoni. Ale tak chciał tatuś, życzył sobie mieć głębsze i bystrzejsze wody.

Po długim marszu dobrnęliśmy do Palouka. Tatuś postawił na ziemię sznycelkówkę ze strzelbami, po czym wyjął z plecaka sznur. Obrócił się do mnie i znowu powiedział:

- Piękna noc. Tak je uraczymy, że się z tego posrają.

Opanowała go ta prawdziwa pasja kłusownicza.

Nasadzał kolejno przynęty. Jedną dżdżownicę, jedną rybkę, jedną dżdżownicę. Nie patrzył na mnie, co robię, był pochłonięty czym innym. Stałem i trząsałem się z zimna, miałem w nosie wszystkie węgorze. A co dopiero wędzone. Skończył robotę, po czym rozkazał mi:

- Rozbieraj się!

Rozbierałem się i patrzyłem na rzekę. W mętnej poświacie księżycowej widziałem, jak wzbiera. Jak się łądygi traw kołyszają i zapadają pod wodą, jak źdźbła się osuwają, chyboczą i płyną z nurtem.

Zdjąłem portki i cicho powiedziałem:

- Tatusiu, ta rzeka wzbiera.

Nie wiem, czy mnie usłyszał, ale w ogóle na moje słowa nie zareagował. Stałem na brzegu, tak jak mnie mamusia na świat wydała, i sam nie wiem czemu, zakrywałem sobie ręką przyrodzenie. Tato rzekł: .

- Weź ten sznur i wejdź z nim do wody. Jak będzie już napięty, to rzuć kamień.

Ciągle stałem. Usłyszałem, jak rzeka na głębi huczy. Obleciał mnie strach. Stałem jak wół, który nie ma ochoty się ruszyć z miejsca, choć go poganiają. Ale nie miałem odwagi powiedzieć, że nie pójdę. Tatuś mi tłumaczył:

- No idź, nie bój się. Jesteś mój syn. Wdałeś się przecież we mnie.

Popatrzyłem na niego i wziąłem kamień. I on miał wyraźnie stracha, ale żal mu było zainwestowanych wysiłków. Przecież z takim trudem nałapaliśmy strzebli, prawie doszczętnie rozbebeszyliśmy ogródek i pocięliśmy dwa sznury od bielizny. Stale coś mówił o węgorzach, nie chciał się poddać. Nie chciał zwłaszcza przypuścić do siebie myśli, żeśmy przyszli nad rzekę za późno, gdyż woda się już podniosła.

Wszedłem do rzeki. Pierwsze odczucie nie było złe. Woda łechtala mnie w łydki, a potem w kolana. Płynęła wzdłuż brzegu łagodnie, spiesząc ku głównemu nurtowi. Kiedy zaczęła sięgać do bioder, zdałem sobie sprawę, z jaką siłą się toczy. Musiałem coraz bardziej zapierać się nogami o kamienie i przeciwstawiać fali. Z trudem trzymałem w rękach wielki kamień z obwisłym, słabym sznurem.

Stale jeszcze widziałem na brzegu sylwetkę tatusia i słyszałem, jak mnie zagrzewa okrzykami, zupełnie jak podczas gry w nogę czy później w hokeja. Ale guzik mi to pomagało, czułem się samotny i opuszczony. Woda napierała mi na brzuch, a po chwili już na pierś i usiłowała oderwać mnie od dna. A on krzyczał:

- Dalej! Jeszcze trochę!

Obejrzałem się za siebie, już go nie było widać. Spłynął w jedno z drzewami i brzegiem. Jakim prawem wypycha mnie na taką głębię, skoro sam nie umie pływać? Powiedziała mi to mamunia, kiedy się pytałem, czemu tatuś nigdy się z nami nie kąpie. To te węgorze tak go zaślepiły, że chce, bym szedł jak najdalej.

Rzeka sięgała mi już do ramion. A wkrótce po szyję. Czułem jej rwącą siłę. To nie była tamta wczorajsza rzeka. To była rzeka inna. Awanturczka. Jej nurt ciągnął mnie za kark, jej fale szarpały mnie i darły się, czego tu szukam i że nie ścierpią takiej bezczelności. Z trudem zdobyłem się na okrzyk:

- Tatusiu!

Woda zalewała mi usta, traciłem grunt pod nogami. Wiedziałem, że nie wolno mi wypuścić z rąk sznura, gdyż ta rzeka by mnie porwała z prądem w dół i roztrzaskała na kamieniach i ostrych uskokach. Odwiązałem kamień od sznura i puściłem go na dno. Kurczowo trzymając się powrozu uczułem, jak powoli ciągnie mnie coś do brzegu. Tatuś przyciągnął mnie na płyciznę. Byłem największym stworzeniem, jakie w życiu miał na sznurze czy na wędce. Przycupnąłem pod krzakami, żeby odetchnąć po tym strachu i po zimnej kąpielu. Słyszałem, jak tatuś zwija sznur, zdejmując rybki i pakując sprzęt pomrukując:

- Moje złote rybki. To nie była ta najważniejsza noc. Ale my jeszcze tak je uruczymy, że się posrają.

Siedząc w kucki myślałem o tym, że dzisiaj to na razie myśmy się posrali.

Stało się tak pewnie dlatego, że węgorzom przyszła na pomoc ich matka - rzeka.

Prawdziwki

Poszliśmy na chrust. Bory Krzywoklackie są głębokie, niektórych ludzi oblatuje w nich strach.

W każdej chwili mogą wypaść z polany na koniach tyrzowscy zbójnicy. A już bezwzględnie mogliśmy się natknąć na któregoś z czeskich dzielnych króli i jego drużynę. Cześć i chwała, jaśniepanie królu, jestem z Łęgów pod Branowem. Pupuńka mnie nazywają.

Człowiek może ni stąd, ni zowąd usłyszeć ludzki płacz albo jęki ranionego zwierza. Może się zjawić stado dzikich knurów czy słynny jelen z krzyżem między rogami.

Drepcę jak naj ciszej na końcu rodzinnego orszaku, żeby wszystko widzieć i nic' nie przegapić. Za rękę prowadzi mnie kuma z cudownego miasteczka, któremu na imię wyobraźnia. Liście już żółkną, nastaje jesień. Drzewa są masywne, na ich wierzchołkach czernieją gniazda szturmowych oddziałów ptasich. W którymś z nich usadowił się Żar-ptak. Jeśli nie będę nadązał za swoimi, sfrunie w dół i porwie mnie.

Zaczęliśmy schodzić w kotlinę. Jurek swoim dźwięcznym głosem zaśpiewał:

Dwaj myśliwi sobie szli, prowadzili psy, psy, psy,

jeden szczekał hau, hau, hau, a ten drugi czau, czau, czau!

Przy hau, hau, hau, a zwłaszcza przy czau, czau, czau wykrzywił się na wszelkie sposoby i podrygiwał. Podchwyciliśmy znaną melodię, właśnie wychodziliśmy z lasu:

*Kiedy stąd, kochanie, pójdę, wszystko będzie z nami kwit,
ale nigdy nie zapomnę, że aż tak ci szybko zbrzydł.*

Nagle Hugo zawołał:

- Stańcie!

- Co znowu? - zapytała idąca na przedzie mamusia.

- Spójrzcie na to białe zbocze!

- To są przecież kamienie - rzekła mama. Zbocze pełne białych kamieni.

- To nie są tylko kamienie - odparł Hugo i pobiegł szybko na zbocze. A stamtąd zawołał: To są grzyby!

Czym prędzej popędziliśmy między dębowe pnie na zboczu. Rzeczywiście zbocze było pełne kamieni, ale między nimi rosły setki białych grzybów prawdziwków. Dotykaliśmy je palcami, niektóre były przerośnięte i kapelusze miały już popękane i brunatnawe. Jak gdyby tu rosły od stu lat albo i dłużej. I każdy był inny, jakby wyczarował je malarz. Te smukłe, te pyzate. Tu laleczki śliczne. Tam maminsynki i szlachetni starcy. Rzadko który nie dostał od nas buziaka w łepetynę. Wszystek chrust wywaliliśmy z koszyków, wszystkie je napełniliśmy, a grzybów było ciągle co niemiara. Braciszek zaszli na półko do cici Karoliny po dodatkowe nosidła, i te również napełniliśmy po brzegi.

W Łęgach wysypaliśmy grzyby na płachtę w stodole. Wszyscy sobie poszli, przy grzybach została tylko mama, najwidoczniej chciała jeszcze nimi cieszyć oczy. Na wieczór urządzi nam ucztę grzybową niby cesarz Neron, który przepadał za wszelkimi potrawami z grzybów.

Powróciłem za jakiś czas do stodoły, mamusia ciągle jeszcze siedziała przy grzybach. Ręce miała zanurzone w białej stercie, a po jej twarzy spływały łzy.

- Czemu płaczesz, mamusiu?

- Kiedy obrodzą grzyby, będzie wojna.

- Mamo, to przesąd.

- Mówiła mi to ciocia Karolina. Przed pierwszą wojną światową było podobno mnóstwo grzybów. Tysiące prawdziwków. A potem przyszła bida z nędzą.

W rok później przyszli Niemcy.

Wkrótce potem siedzieliśmy w Łęgach na ławce i słuchaliśmy przez radio, jak bombardują Warszawę. Słysząc było ciężkie niemieckie samoloty junkers i heinkel, warczące nad miastem. Rozlegały się pierwsze detonacje.

Zatkałem uszy i biegłem przez Łęgi schodzącą w dół drogą. Wydawało mi się, że i tutaj słyszę bomby. Widziałem już, jak lecą z nieba. Najpierw trzasnęło w piwnicę, prosto w stągiew z marynowanymi rybami. Stągiew rozleciała się w drobny mak i ryby wały się w błocie. Łubu-du! Druga bomba kropnęła w lekką łódź przewoźnika, deski wyleciały w powietrze jak drzazgi. Trzask-prask!

Dom nad rzeką runął i płonął. Wzdłuż wody leciał wielki szary heinkel, siedzący w nim pilot szczyrzył zęby, miał białą, łysą czaszkę. Na skrzydłach samolotu widniały czarne krzyże. Puścił serię bomb na moje ryby. Na powierzchnię wypłynęły ich martwe kadłuby. Były jak białe litery na szarfach w witrynach zakładów pogrzebowych, przypominały również wielkie białe prawdziwki z popękanyimi kapeluszkami.

A na tych szarfach było napisane:

**I JUŻ NIGDY TU NIE PRZYJEDZIEMY.
SKONCZONY DZIECIĘCY KARNAWAŁ.**

Mogą cię nawet zabić

W Busztegradzie stawy były dwa. Te dwa stawy przedzielała grobla z szosą i topolami. Nowy staw nie pociągał mnie nigdy. Miał takie zimne brzegi, głównie z kamieni i cegieł. Staw stary był inny.

Jego brzeg po większej części porastała skąpa trawa. Pachniał potokiem, który tu wpływał zaraz za knajpą Opłtów, zalatywał gnojówką, wyciekającą spoza wiejskich zabudowań. Pachniał starymi wierzbami i mułem, w którym wylegiwały się karpie, i pachniał piwem, które szumiało w pobliskim browarze.

Po głowie mi chodziły karpie, którymi staw na nowo właśnie zarybiono. Nie mogłem zapomnieć krzywoklackich okoni i czupurnych brzan, które kiedyś łowiłem. Ryby płynęły mi we krwi, chciałem je znowu łapać. W Busztegradzie nie było gdzie.

Nigdzie tu nie ma żadnej rzeki ani nawet porządnego strumienia. Tylko te stawy z tablicami ostrzegawczymi, że łowienie ryb jest surowo wzbronione.

Przyglądałem się karpom, patrzyłem, jak beztrąsko wałęsają się po toni i jak najwyraźniej o niczym nie myślą. Sunęły z miejsca na miejsce całymi oddziałami jak wojsko. Gromadnie podróżowały po stawie i pożywiały się. Kiedy cienie topól przechodziły na moją stronę, wdrapywałem się na wierzbę i zaczynałem im cicho opowiadać o różnych rzeczach. Wydawało mi się, że nastawiają uszu, że mnie słuchają. Były piękne, miedzianozłote, a kiedy fikały koziołki i stawały na głowie, widziałem ich żółte wypasione brzuchy. Pracownicy browaru podkarmiali je wysłodzinami.

W tamtym okresie potrzebowaliśmy tłustych, smacznych karpie dla siebie i na wymianę. Za mąkę, chleb i papierosy dla mamy. Byłem już tylko z mamą, resztę rodziny zabrano do obozu koncentracyjnego. Ciągle jeszcze nie znalazłem karpie dostatecznie. Powinienem wiedzieć, kiedy są w dobrym, a kiedy w złym nastroju, kiedy chce się im jeść, a kiedy mają pełne brzuchy, i kiedy są skore do igraszek. Powinienem wiedzieć, gdzie podpływają, a gdzie nie ma sensu na nie czekać. Miałem już przygotowany krótki mocny pręt, żyłkę, spławik i haczyk. Nie mogłem zaczynać, dopóki nie poznałem swoich nieprzyjaciół. Nieprzyjaciółmi nie były karpie, ale przede wszystkim ludzie. Z okien zamku dolatywała słodka niemiecka piosenka gramofonowa "Lily Marlen", a na przyjęciach podawano do stołu właśnie karpie. W mieście było kilku kapusiów, mieli okna otwarte zawsze na oścież, żeby nic nie przegapić i żeby nic nie uszło ich uszu. W Busztegradzie mieszkał również pan Franciszek Zaruba, który pilnował karpie. Był to pierwszy dozorca stawów, z jakim się w życiu zetknąłem. Musiałem go poznać równie dobrze jak i te karpie.

Kiedy jest w dobrym humorze, a kiedy w złym, kiedy chodzi jeść, kiedy chodzi nad stawy, a kiedy się tam absolutnie nie pokazuje. Musiałem go rozgryźć. Nasadziłem głęboko na oczy starą czapkę po dziadku, włożyłem jego znoszone ubranie i pokuśtykałem. Ja jako ja nie mogłem mu się utrwalić w pamięci. Przy pierwszym z nim zetknięciu przeszedł mnie ciarki. Był mały, jakiś taki przygarbiony pokurcz, miał chyba garb jak dzwonnik z Notre Dame, ten biedny Quasimodo. Nie mógłby stawiać długich kroków ani szybko biec. Nigdy by mnie nie dogonił. Ale od mamy wiedziałem, że tacy właśnie ludzie potrafią być bardzo źli. Mszczą się na innych za to, że Pan Bóg ich tak napiętnował.

Drogą prowadzącą na Drzyń chodziłem do lasu trenować bieg, żeby w razie wpadki uciec. Wreszcie poszedłem któregoś wieczoru popatrzeć, czy karpie nie zmieniły swoich przyzwyczajęń. We wiadomej mi już porze raz po raz pojawiał się ciemny cień pod wierzbą.

Następnego dnia niosłem już pod marynarką swoją krótką wędkę. Na grobli stał szynkarz Józef Oplt, przyglądał mi się swoim jednym okiem, bo drugie miał martwe, szklane. Grzecznie mu się ukloniłem, a w duchu truchlejąc modliłem się:

"Panie Boże w niebiesiech, nie zdradź mnie. Panie Oplt, niech pan mnie też nie zdradzi. Przecież mój dziadek Ferdynand chodził do pańskiej knajpy grywać w mariasza i przepuszczał tam mnóstwo pieniędzy. Tak przynajmniej mówiła babcia Malwina. Amen." Wdrapałem się na wierzbę i wyjąłem wędkę.

Utoczyłem nęcącą kuleczkę z ciasta, oblepiwszy nim haczyk. Wokół stawu panował spokój i mrok, wypatrzyć mnie tu byłoby ciężko. Browar dymił, w kotłach warzyło się piwo. Wierzby cicho szumiały i pachniało potokiem. Niemcy na zamku pozamykali okna, bo już ciągnęło chłodem. Szpicle polazły do domu. Zaruba był na kolacji. Wtedy chwycił pierwszy karp. Spławik najpierw zaczął podrygiwać jak baletniczka, po czym hopsnął pod wodę i w te pędy pod wierzbę. Poderwałem i natychmiast poczułem silny opór. Karp był dzielny. Szarpał się z moją krótką wędką, wreszcie zatchnął się powietrzem i dał za wygraną. Był okazały, miedzianozłoty, miał żółty browarniany brzuch nabity wysłodzinami. Złowiłem jeszcze jednego i zwinąłem kramik. Nie mogłem być nad stawem zbyt długo, każda minuta zwiększała niebezpieczeństwo. Minąłem pana Oplta, palił papierosa i milczał.

Mamusia dała mi buziaka za te karpie, wojna trwała już czwarty rok i z jedzeniem było krucho. Bidulka, nawet sobie nie zdawała sprawy, że to się może skończyć tylko wielką chryją.

Wkrótce o mnie wiedziano. Ktoś musiał powiedzieć. Ktoś z tych kapusiowskich okien doniósł Zarubie. Czulem przez skórę, że oplata mnie coraz ciaśniej pajęcza sieć, widziałem, jak się niebo coraz bardziej chmurzy nad moim starym stawem. Staw mi się zaczął wydawać złowrogi, wiatr burzył wodę, fale groźnie pluskały o trawiasty brzeg. Również browar wydawał mi się nieprzychylny, a piwo na odległość śmierdziało.

Złowiłem jeszcze paręnaście karpie i zacząłem mieć pietra. Wszyscy z naszej rodziny byli już w obozach albo nie żyli. Babcie Malwinę, która miała za złe dziadkowi Ferdynandowi, że chodzi na mariasza, podobno zagazowali w Oświęcimiu. Wystarczyło, że położyłem się w zimnym łóżku i zamknąłem powieki, zaraz

widziałem szary samolot typu heinkel z czarnymi krzyżami na skrzydłach, jak zrzuca bomby. Nakładałem papucie i cicho łąziłem po tym strasznie wielkim, przeklętym, wymarłym domu. Dreptałem wokół śpiącej drobniutkiej mamy, która potwornie cierpiała tylko dlatego, że wzięła sobie za męża Żyda, że przysięgła mu przed Bogiem wierność i nie chciała się ugiąć przed ludźmi. Przyglądałem się jej, miała już zmarszczki na czole, ciężko harowała w polu przy najczarniejszej robocie. Może dzisiaj wcale nie jadła kolacji. Wyglądała jak drobna dziewczynka, a ja, jak mi się zdawało, byłem już dorosłym mężczyzną, jedynym i ostatnim mężczyzną, jaki pozostał w domu. Kamiennymi schodami zszedłem na dół i chodziłem po mieszkaniu od drzwi do drzwi, za którymi nikt nie przebywał, jedynie dusze zmarłych. Mieszkała tu kiedyś panna Hassoldówna z poczty, teraz odpoczywa na cmentarzu busztegradzkim. Po wszystkich kątach pająki z krzyżami na grzbietach i pajęczyna. Zaszedłem do spiżarni. W kamionkowym garnku pływał ostatni karp, z tych, które złowiłem. W którąkolwiek ruszył stronę, zaraz tłukł otępiałym pyszczkiem o kamienną ścianę, zawracał i znów niepotrzebnie się rozpędzał, i tak w kółko, tam i z powrotem. Mnie ignorował zupełnie, jak gdyby wiedział, że to ja opowiadałem mu bajki o raju na świecie, a potem go oszukałem jak wszyscy ludzie, którzy obiecują bógwico.

Jutro pójdę znowu nad staw i przyniosę mu braciszka i siostrę. Będą mieć złote oczy i będą nimi świecić jak złotymi latarenkami.

Na drugi dzień wieczorem, kiedy zamknęły się okna na zamku i kiedy Zaruba zasiadł do kolacji, wziąłem swoją krótką wędkę i poszedłem na groblę. Minąłem topole, z których opadała liściasta łuska, i pana Oplta, który stał na grobli i kurzył. Z wierzby podłapałem pierwszego karpia. Wynurzył się, chapsnął ciasto i zaczął nurkować jak łódź podwodna. Wsadziłem go do torby i przykryłem szmatą, żeby się nie rzucał. Gdy czatowałem na drugiego, zjawił się Zaruba. Więc nie poszedł na kolację. Przyczał się nad stawem i czekał na mnie. Wyskoczył zza studni krzycząc:

- Stój! Stój, łobuzie!

Biegł z trudem i powoli. Chwyciłem za wędkę i pogałem jak koń wyścigowy. Sadziłem przez groblę aż do Oplta stojącego pod drzewem. Oplt bez słowa wskazał mi otwartą furtkę do jego podwórza. Powiedział:

- Zamknij się w drwalce!

Po chwili usłyszałem sapiącego Zarubę, jak coś tam z Opltem rozprawia. Słyszałem również braciszka karpia, jak w torbie dyszy, ale ja sam niemal że nie oddychałem. Miałem potwornego pietra. Tacy ludzie jak Zaruba są strasznie źli. Mogą cię nawet zabić. Za jakąś godzinę pan Oplt mnie wypuścił, mogłem już spokojnie iść do domu.

Następnego dnia poszedłem znowu, bo pomyślałem sobie, że nikomu ani w głowie nie postanie, że mógłbym być taki bezczelny. Oplt tym razem już nie było, najwidoczniej nie chciał mieć z tym nic wspólnego. Ledwo usadowiłem się na wierzbie, ujrzałem Zarubę. Miał w ręku krótki kij, który przypominał pałkę gumową i którym dałoby się wytrząsnąć mózg wyrostkowi takiemu jak ja. Natychmiast zrozumiałem, że Zaruba jest mądry i chytry jak Quasimodo. To groźniejszy przeciwnik niż Niemcy z zamku czy też kapusie w oknach. Rozgryzł mnie, zrozumiał, że mam w żyłach krew kłusownika. Nie ma mowy, żebym naprawdę mu kiedy uciekł, dorwie mnie w końcu i swoją twardą pałą skatuje do nieprzytomności albo i zabije. Pozwoliłem mu jeszcze kawałek podejść. Darł się:

- Stój, ty bękarcie! Stój, ty zasrany Żydzie!

Wyzwiska mnie już nie bolały, przywykłem do nich w ciągu wojny. Zeskoczyłem z wierzby, lekko przebiegłem nasyp i puściłem się między topole. Czuję się lekki jak piórko, wiedziałem, że nie dam się złapać; jeden jedyny z rodziny nie miałem na nogach oków i łańcucha na szyi. Więc mknąłem jak wolny ptak w pola, biegłem ścieżkami aż do ciemnosinego lasu. Ułożyłem się na noc pod świerkiem, słyszałem przez sen sowy. Do domu wróciłem dopiero rano. Mama mi powiedziała, że wieczorem przychodzili po mnie żandarmi uzbrojeni w karabiny z nasadzonymi bagnetami. Po czym się rozplakała i uklęknęła przede mną prosząc, żebym już nigdy nie chodził nad staw.

Żandarmi więcej nie przyszli. Znajomy wachmistrz Knesl powiedział nam, że Zaruba był na komendzie żandarmerii, gdzie oświadczył:

- Z tym smrodem sam się policzę. To moja sprawa. Ja tu jestem dozorcą stawów.

Obchodziłem z daleka stawy, wmawiałem sobie, że w nich są krokodyle i rekiny. No i że czyhają w nich także osmiornice, które mnie wciągną w głębinę i całego umażą sikającym z nich granatowym atramentem marki barock, żeby mnie mama nie mogła odszukać i pochować w cichym grobie panny Hassoldówny na busztegradzkim cmentarzu. Staw przestał dla mnie istnieć. Zapomniałem o nim. Zaprzątnęła mnie piłka nożna i las. I musiałem też pracować. Chodziłem po ścierniskach i zbierałem kłosa, z których wytlukiwaliśmy ziarenka żyta, albo wygrzebywałem resztki węgla na hałdach, żebyśmy mieli czym w zimie palić.

I sam już nie wiem, jak to się stało, że znalazłem się kiedyś w piwnicy i znowu miałem w ręku wędkę. Kręciło mi się w głowie. Głuptasku, w starym stawie nigdy nie było rekinów i ośmiornic. W starym są całe masy braciaszków karpiaszków ze złotymi oczami.

Nie mogłem dłużej wytrzymać.

O zmierzchu wyszedłem. Minąłem topole i groblę, na której nikt nie stał. Chyba wyszedłem za wcześnie, nie było jeszcze dobrze widać. Ale nie chciałem się wracać. Nie zatrzymałem się przy wierzbie, poszedłem aż do pompy na brzegu stawu. Żeby zobaczyć Zarubę z daleka, gdyby nadchodził. Zbiegały się tu trzy prowadzące do stawu drogi. Jedna ciągnęła się wzdłuż brzegu, druga szła z przeciwnej strony, również nad wodą, a ta trzecia to była wąska uliczka podchodząca w górę ku szkole. Jedną z tych trzech dróg mógł nadejść, pozostałymi mogłem zwiewać.

Odwinąłem wędkę i zarzuciłem. Poczułem niewysłowioną błogość, kiedy spławik zaczął kołysać się na wodzie. Woda była zielona jak trawa leśna i pachniała rybkami. Na mieliźnie kumkały żaby, z browaru dolatywał regularny stukot maszyn. Spławik drgnął. Byłem zapatrzony z wodę, kiedy nagle zdałem sobie sprawę, że coś jest nie w porządku.

Podniosłem głowę i zamarłem. Wzdłuż jednego (brzegu cichcem podchodził ku mnie mężczyzna, którego nie znałem. Z przeciwległej strony stawu szedł drugi. Cisnąłem wędkę do wody. Nogi miałem jak odrętwiałe. Nad stawem panowała cisza, słyszałem, jak mi serce bije na trwogę. Raptem rzuciłem się do ucieczki. Przeskoczyłem obrzeże pompy i puściłem się uliczką w górę ku szkole. To była moja trzecia i jedyna możliwość. Wyrywając co sił, ponownie zdałem sobie sprawę z tej ciszy w mieście. Całe miasto pewnie obserwowało mój wyścig, prawie całe miasto kibicowało mi, trzymało za mnie kciuki. Okna zamku były otwarte, sterczeli w nich Niemcy z lornetkami przy oczach. Również okna kapusiów stały na oścież i wychylali się z nich ascetyczni faceci ze swymi panusiami.

Uciekałem uliczką długimi susami. Wbiegłem na ostatni zakręt. I tu przede mną wyrósł sam Zaruba. Stał na środku uliczki rozkraczony jak czarni gestapowcy, którzy niekiedy wpadali na kontrolę do naszego miasta. W rękę miał krótki kij, który przypominał gumową pałą. Po obu stronach uliczki wznosiły się mury, zasłaniały całą przestrzeń.

Ugięły mi się kolana. Złapał mnie za rękę, spodziewałem się uderzenia pałą, więc się przygarbiłem. Ale nic się nie działo. Spojrzałem na niego.

Rozkazał mi ostro:

- Krzycz!

W pierwszej chwili nie połąpałem się.

- No krzycz, do jasnej cholery!

Zrozumiałem. Musiałem krzyczeć dla Niemców w oknach zamku i dla kapusiów. Rozdarłem się jak kwiczące prosię, które na moich oczach zabijano z browninga u dziadka Ferdynanda i ani pierwszy ani drugi strzał nie był celny. Krzyczałem już teraz naprawdę, tak jak wcześniej usiłowałem bieć pełną parą. Zaruba stał przy murze i siekał powietrze twardą pałą. Po chwili mnie szarpnął i powiedział:

- Wystarczy.

Staliśmy niemal twarzą w twarz i patrzyliśmy na siebie. Obydwaj byliśmy ostatni z ostatnich w tym mieście. On naznaczony przez Boga, ja napiętnowany przez nadludzi. Zapytał:

- Co z tatusiem? Pisz do was z obozu?

Potrząsnąłem głową.

- A bracia?

Znów potrząsnąłem głową.

Pan Zaruba oparł się o mur, spokojnie zapalił sobie papierosa, jakbyśmy stali pod kolumnadą w jakimś kurorcie, po czym mówił dalej:

- Nad stary staw już nie przychodź. Nowy staw jest również piękny. Możesz łowić od strony wiejskich zabudowań. Nikt cię tam nie zobaczy, będziesz całkowicie bezpieczny. A karpie z nowego stawu są chyba nawet smaczniejsze. Ale zachodź tam tylko po ciemku, kiedy nie świeci księżyc.

Stałem przed nim nie wierząc własnym oczom i uszom. Machinalnie kiwnąłem głową, że tak będę robił.

Po chwili dodał:

- A teraz idź już. I kulej. Kulej aż do samego domu, jak to robiłeś wówczas, kiedyśmy się spotkali po raz pierwszy i ty miałeś taką wielką czapę nasadzoną na uszy, no i kulałeś, żebym cię nie poznał. No wiesz, wtedy, coś mi się tak przyglądał, żeby się zorientować, jaki ze mnie człowiek.

Uśmiechnąłem się do niego. Ten uśmiech to było wszystko, co mogłem mu dać. Słyszałem jeszcze, jak za mną woła:

- A do ciasta dodawaj karpom anyżek. Bardzo to lubią i szybko biorą.

Pokuśtykałem uliczką w górę.

On poszedł w dół w stronę starego stawu. Machał przy tym pałą i pogwizdywał tę piękną niemiecką piosenkę o Lily Marlen. Była to naprawdę piękna piosenka, jedyny feler, jaki miała, to to, że tak bardzo lubili ją funkcjonariusze SS.

Szedłem do domu kulejąc i popatrując na nowy staw. Teraz pod wieczór karpie igrały pod samą powierzchnią i roztaczały na wodzie kręgi tak wielkie jak koła od wozu albo od taczek. Na ciasto z anyżem te karpie na pewno będą brać. Tylko muszę odczekać parę dni, aż nastaną ciemne noce.

Długa Miła

Koniec wojny czuło się w powietrzu jak nadzieję.

Karpie z obu busztegradzkich stawów zostały co do jednego wyłowione i zjedzone. Stawów niczym już nie zarybiono, bo nie było czym. Narybek karpie się skończył, jak kończyła się amunicja. I każdemu było już chyba wszystko jedno, na porządek dnia wysunęły się inne zmartwienia. Jedynie mnie brakowało ryb. Wałęsałem się po okolicy szukając potoków. Tu i tam po czarnoziemnym stepie płynęły leniwo, ale nie były srebrne jak wstążki i naszyjniki królowej, były ciemne jak niebo nad Kładnem albo nawet czarne jak węgiel z Franszachty. I tylko w niektórych przemykały się ryby. Ale były to ryby jak skowronek na trzeci dzień po świętej Agnieszce. Mikre kielbiki i piskorzki. Takie rybiątka, jakie nędzarz łyka na surowo, gdy kiszki marsza na potęgę mu grają, albo jakie chrupali poszukiwacze złota w nowelach Londona. Srebrne płotki jak cukierki w staniolu na choinkę. Niekiedy pod trawiastym brzegiem były raczki jak morskie krewetki. Trzepotały ogonkami i dęsały się na mnie, gdy je wybierałem z ich płytkich dziur. Nic tu nie nadawało się do jedzenia, wszystko to było jedno wielkie akwarium z brzegami zamiast bocznych szyb, z piaskiem na dole i niebem u góry. A dookoła kwitły niezapominajki i mówiły: nie zapominaj.

Nie zapomniałem Hugona i Jurka. Jeszcze nie tak znowu dawno spaliśmy we trójkę na dwóch łózkach w jednej zimnej izbie, Jurka musiałem co wieczór drapać po plecach, bo inaczej nie mógł zasnąć. Dostawałem za to koronę.

A Hugo, ten wyniosły arystokrata, trząsał przy tym dziobem jak najęty. Wyjaśniał nam, jak miele młyn Koniczków. Pracował tam jako młynarczyk, a właściwie jako chłopak na posyłki za półdarmo, za trochę mąki i za dobre słowo. Wyładowywał zboże i wysypywał worki. Miał stary rower i wózek i nimi rozwoził chleb po wioskach. Przeważnie prowadził rower pod górkę, a potem i z górki, żeby go wózek nie stuknął. Wieśniacy dawali najlepsze żyto i dostawali przedni chleb, którym pachniało wszędzie, gdzie tylko przejeżdżał jego rower.

Na kolację dostawał Hugo chleba z piwnym serem i piwa domowej roboty. Spał w młynie na pryczy.

Kiedy potem Hugo odchodził do obozu, jego ładna twarz pochylała się nad moim łóżkiem, gorącymi rękoma uściśnął mi policzki i wyszeptał mi szczególny sekret:

- Jak już nie będziecie mieli co jeść, zajdź do młyna Koniczków po karpia staruszka. Uratował się od wyłowu, pewnie się kryje w mule pod korzeniami. Nikt o nim nie wie. Ten wąsacz kręci się koło ostatniej wierzby. Podkarmiałem go dla siebie wiejskich chlebem. Ale mnie już on nie będzie potrzebny. Nakrusz tam chleba, to przyplynie.

Od tego dnia przeszło kawał czasu. Co też porabia Hugo? Pewnie zamiast chleba wozi na wózku umarłych na spalenie, a ci umarli mają wytatuowane numery, które już nie przydadzą się ani na ziemi ani w niebie. Pan Bóg podobno bierze do nieba według innego porządku.

My dotychczas żyjemy tutaj. Mama. Ja. Toteż idę nad ten staw przy młynie po karpia staruszka.

Wąsacz musi być już albo bardzo mądry, albo okropnie głupi. W kieszeni niosę kawałek chleba z domowego wypieku, który mi dała piekarczowa Blaha. Parę razy już go skubnąłem, ale w końcu powstrzymałem się, muszę go mieć dla karpia.

Strasznie się cieszyłem na ten młyn. W moich myślach był to zawsze młyn bajkowy, w którym mieszkają diabły Pacufraki. Wybierałem się przez całe tygodnie, zanim wreszcie tam wyruszyłem, a kiedy wyruszyłem, pomrukiwałem sobie piosenkę, której mnie nauczyła mama:

Po potoku chodziła, drobne ryby łowiła.

Drobne ryby dla rybiarzy, gładkie dziewczki dla młynarzy.

A najmłodszy z nich patrzy za dziewczyną najgładszą.

Szedłem pod górę w stronę zamku lidickimi polami. W dole, gdzie spalono Lidice, rozstawiła się niemiecka Brygada z Frontu Pracy i nader dźwięcznie i przekonująco śpiewała swój hymn:

Wir sind die Jugend mit Hacke und Spaten.

Machali motyką i rydłem, przewracali ziemię do góry nogami, żeby jej sam Stwórca nie poznał. Staw, nad który chodziłem z lidickimi koleżkami, rozpirzyli dynamitem, tak samo jak i kościół. Mały strumyczek, co dopływał z Hrzebca, odprowadzili gdzie indziej. Z białych cementarnych płyt marmurowych zrobili drogę. Depczą po imionach i nazwiskach ludzi, którzy tu cicho spali, i śpiewają. Teraz umilkli. Pewnie się wezmą do roboty. Szykują dynamit, gdyż motyką i rydłem nie da się zgładzić białej wsi z powierzchni ziemi.

Wokół są lidickie pola.

Moja mama przychodziła tutaj do roboty. Rosły tu wszędzie kartofle, kwitły drobne białe kwiatuszki. Kartofle rosły i na mogiłach zamordowanych mężczyzn i chłopców, a gdy kobiety je wykopały, bulwy były podobne do ludzkich serc. Nikt tych kartofli nie brał do domu. Każdy się bał. Jedynie chciwa Hanaczkowa zaniósła do domu całą torbę i w niespełna rok potem umarła.

Na karpia miałem dość czasu. Słońce huśtało się nad horyzontem, kiedy sobie przypomniałem, że chciałem iść na Długą Milę. Długa Milla to był wielki pas bitej drogi na lotnisko, biegnący szpalerem starych lip. Długa Milla było to dla mnie pojęcie nieokreślone. Oznaczało bądź ogromną fabrykę samochodów, bądź też długą szosę, ale także całe życie. Dziadek Ferdynand znał zresztą taką maksymę:

DAŻĄC DO CELU ZAWIERZ SWOJEJ SILE,
WTEDY POKONASZ NAWET DŁUGĄ MILE

Kroczyłem w stronę Długiej Mili i znów skubnąłem domowego chleba, przeznaczonego dla karpia starszka. Przeskoczyłem strumyk i ruszyłem pod górę. Dopiero na górze zobaczyłem, że Długa Milla praktycznie już nie istnieje. Lądujący samolot bojowy stukas zahaczył ponoć o te lipy. Warknął, fiknął w powietrzu koziółka i spadł na pole. Rozbił się w drobny mak i spłonął, zanim zdążyła przyjechać sikawka strażacka. Razem z pilotem. Wybijały lipy na Długiej Mili drogę musiały za to zapłacić. Na pancernym samochodzie przyjechał sam generał faszystowski w generalskiej czapce i bezpośrednio na miejscu dał rozkaz:

- Wszystkim wrogom ściąć głowy!

I wszystkim drzewom pościnano głowy i zostały tylko kadłuby. Ludziom było strasznie żal tych drzew. Wieśniacy płakali po lipach jak po swoich dzieciach. Wspominali, jak pod nimi w chłodku chodzili do Pragi na targ z masłem i jajkami. Kochali ten miódny czas, gdy lipy pachniały i rozpływały się w niebie, a pszczoły ulatywały aż ku wierzchołkom drzew. Po całych wsiach parzono z kwiatu lipowego herbatę, ażeby nikt nie kaszłał, gdy nadejdzie pora chłódów. A teraz konie odciągały konary i pnie na wolną przestrzeń, a że drzewo było stare i białe, przypominało ciała panien, które nie zaznały jeszcze miłości. Wieśniacy szemrali, że dawnymi laty żaden wojskowy nie mógł bezkarnie powalić żywego drzewa.

Przeszedłem aż do końca całą tę zeszpeconą Długą Milę, skąd już dało się niemal dojrzeć Pragę.

A potem poszedłem z powrotem pod sam młyn Koniczków i bolały mnie nogi.

Młyn Koniczków to był piękny młyn, prawie tak piękny jak młyn mojego dzieciństwa, młyn niezabudicki. Tajemniczo ciemniało wejście na strych, tędy pewnie zwały na dół diabły Pacufraki, kiedy młynarz poszedł do gospody. Pacufraki to były chłopaczyska wesołe, wyprawiali różne nieszkodliwe hece wokół młyna i śpiewali sobie wylicznkę - koło, koło młyńskie. Najstarszy Pacufrak, który pamiętał jeszcze króla Jerzego z Podiebrad, jak tędy ciągnął ze swoimi wojskami, siedział na kominie i piał jak kogut, a dym wlażył mu do dziury pod końskim ogonem. To go rozgrzewało i sprawiało mu frajdę, ale bacznie się rozglądał, czy czasem nie wraca podchmielony młynarz.

Doszedłem do młyna.

W obejściu było cicho, młynarz widać siedział w domu. Pacufraków nie zauważyłem. Wszedłem na podwórze i zastukałem w drzwi budynku. Jak się ten młynarz może nazywać? Młyn Koniczków, więc pewnie Koniczek. Po chwili młynarz wyszedł zapinając na brzuchu marynarkę. Kiwnął mi głową na powitanie i zapytał nadzwyczaj uprzejmie:

- Czego chcesz, chłopcze?

- Szanowny panie Koniczek, czy mógłbym tu sobie zawędkować?

Młynarz oparł się o ścianę i powiedział:

- Ja nie jestem Koniczek. Koniczek to był ten pierwszy młynarz.

Powtórzyłem prośbę nie nazywając go już Koniczkiem. Odpowiedział:

- Wędkuj sobie, wędkuj. Ale złapać to nic nie złapiesz. Tu są tylko okoniki. Mniejsze toto od małego palca, nawet moja kotka Łucja by się na nie nie dała namówić. Ikrę ich przyniosły tu ptaki na łapach i dziobach. A i haczyka toto nie weźmie, za małe mają pyszczki. Ten staw już jest wymarły, życia w nim nie ma, tak jak nie ma życia w rzece ani we młynie. Wiesz co, zamiast iść nad staw, lepiej zajdź do izby, pogawędzimy sobie. Był to najwyraźniej dobry człowiek. Szybko potrząsałem głową i wyciągnąłem żyłkę, żeby się nie rozmyślił. Machnął nade mną ręką.

- No to idź.

Wiedziałem swoje, tylko ja widać znałem sekret tego stawu. Ja i mój brat Hugo. Drepcząc w stronę grobli słyszałem jeszcze, jak za mną młynarz ze śmiechem woła:

- Wszystko, co ułowisz, jest twoje. Wszystko jest twoje!

Potem zniknął w młynie. Odetchnąłem. Doszedłem do płytkiego stawu. Nie był wielki, dałoby się rzucić kamykiem na drugą stronę. Ale był piękny jak porcelanowy półmisek z zieloną sałatą. Na skraju wody huśtała się łódeczka z dwoma wiosłami, a po brzegach rosły topole i gdzieś tam wierzby. Woda była czysta i zielonawa i jak listki wierzbowe pływały w niej małe okoniki. Czym te rybki przekupiły ptasią hałastę, że je powietrzem przeniosła do tak pięknego stawu? Może jakimś podarkiem, a może jakąś obietnicą? Guzik z pętelką, tak podobało się przyrodzie i tak musiało być.

Okoniki barszkowały jak dzieci, były to takie okoniki do zabawy dla małego księcia na zamku. Ja miałem inne zmartwienia. Podszedłem do ostatniej rozpęklej starej wierzby, gdzie miał się zjawić karp staruszek. A może go już młynarz złapał? Przecież się tak śmiał i wołał za mną, że wszystko, co ułowię, jest moje. Czy przypadkiem nie wykrzykiwał, że mi jeszcze coś przyda? Pewnie pół młyna i swoją piękną córkę.

Ostatnia wierzba tak głęboko pochylała się nad wodą, że się jej zamoczyły nawisłe wąziutkie listki, ale w wodzie nic nie było widać. Przymocowałem haczyk do długiej żyłki, nanizalem piórko z gęsi, którą jeszcze tatuś zabijał, i sciążłem gałązkę na wędzisko. Kiedy już wędkę miałem gotową, ugniotłem z chleba kulkę i zarzuciłem.

Domowy chleb jeszcze pachniał. Miałem na ten chleb straszną chrapkę. Ale nie był to chleb dla mnie. Był to chleb dla karpia. Rozłamywałem go jak świętość i kruszyłem do stawu, żeby przynęcić karpia. Z chleba zrobiły się wysepki na przejrzystej wodzie, pływały sobie, ale pod wodą nic nie dawało znaku życia. Zacząłem szeptać:

- Karpiuchu. Staruchu. Przyłyń tu. To ja, brat Hugona. To on ciebie karmił domowym chlebem. Karpiuchu...

Było mi błogo, po latach znowu mogłem łowić bez żadnych obaw. Bez żadnych dozorców nad stawem. Oczy mi się kleiły, z mordowała mnie Długa Miła. Spałem skulony jak, borsuk, zbudziłem się dopiero o zachodzie słońca. Wędka leżała, a gęsi spławik tkwił na wodzie nieruchomo. Ale powierzchnia była wyczyszczona. Chleb znikł! Więc on jest tutaj, staruszek. Zjadł chleb, namaścił sobie wąsy, ale haczyka, chytrus, nie ruszył. Nie chce mu się opuszczać stawu Koniczków. Widziałem w duchu, jak połyka kruszyny chleba na powierzchni, jak rozdziawia swoją jadaczkę. Wykruszyłem ostatni kawałek chleba na zielonawą powierzchnię i po chwili znów kimałem. Uśpiła mnie Długa Miła. Teraz płonął samolot i płonął pilot w kombinezonie, i było mi go żal, chociaż to był Niemiec.

A gdy się ocknąłem, moja nie zabezpieczona wędka pływała po wodzie, ciągnął ją po powierzchni wielki karp. Nie namyślałem się wiele. Natychmiast za nim. Rozebrałem się do naga i wszedłem do wody. Przejął mnie chłód, woda pod jesień była już zimna. Muł na dnie przelewał się między paluchami, armatka mi się skurczyła.

Ruszyłem za karpem staruszkiem. Okoniki z czerwonymi płetewkami rozprysły się na wszystkie strony jak kolorowe liście, a woda zmętniała. Szło mi jak po grudzie. Wędka umykała przede mną jak jakiś dziwny stateczek bez pasażerów, a kiedy pogałem szybciej, i ona pogała szybciej i tylko woda rozbrzgiwała się na powierzchni. Pozostawało tylko tę bestię zmęczyć. Goniłem więc i goniłem. Na grobli zjawił się młynarz:

- Co tam wyprawiasz?

- Gonię karpia na wędce.

- Karpia? - zdziwił się, po czym zawołał: Wyłaż z tej wody!

Brnąłem do brzegu, a on poszedł do młyna i wrócił z wielkim kasarem i ze szmacianym workiem po mące. Patrzył na mnie, jak sinieję i zielenieję, i mienię się wszystkimi barwami, i jak mi dzwonią zęby. Rzucił mi worek po mące ze słowami:

- Wytrzyj się. Patrzeć na ciebie nie można.

Wytarłem się do sucha, ale za to cały się ubielilem mąką. Tymczasem młynarz poszedł na brzeg i odwiązał tę małą łódeczkę z wiosłami. Rzucił do środka kasar i kiwnął na mnie, żebym wskakiwał. Strasznie się ucieszyłem, że mi chce pomóc. Chwycił za wiosła i ruszył za karpem. Młynarz miał olbrzymią siłę, łódeczka niemal skakała po powierzchni, jak gdyby było jej łatwiej wędrować w powietrzu.

Karp był też siłacz, no i bał się wędki, co nad nim płynęła, bał się także łodzi, a głównie młynarza. Czasem przemknęła na powierzchni jego potężna płetwa grzbietowa. Młynarz kłął, pocił się, przywoływał na pomoc i

Boga, i diabła, zrzucił z siebie marynarke. Wreszcie karp zrobił błąd. Wpakował się w zatoczkę, skąd w żadną stronę nie miał odwrotu. Pochwyciłem za wędkę, a zmordowany karp przekreślił się na bok i ciężko dyszał. Młynarz go zaczerpnął kasarem i złożył do łodzi.

Na brzegu wyciągnął go na jesienną trawę i wtedy dopiero mogłem mu się przyjrzeć. Miał wąsy jak wodnik i brak mu było tylko fajki. A oczy miał całkiem niezwykłe, jakieś takie piwnoniebieskawe, przypominały mi lilipucie bochenki domowego chleba. A przy tym cały był złoty jak prosiątko boże. Słońce akurat zachodziło i właśnie od tego złoto na tym karpiu roztopiało się i wyglądało na to, że rozplywa się we łzy i ścieka z powrotem do jego rodzinnego stawu. Płetwy miał cokolwiek nadstrzępione, bo wycierał wszystkie kąty i szukał po stawie czegoś na ząb, kiedy nie miał akurat domowego chleba. Młynarz mu się także przypatrywał, ale pewnie innymi oczami niż ja. Pokiwał głową:

- Kto by to powiedział. Taki maciek w moim stawie.

Potem go wziął na ręce, jak się bierze małe dziecko, i ruszył w stronę młyna. W jednej chwili zrozumiałem, że chce go mieć dla siebie, ledwo przemogłem się, by wykrzyknąć:

- Panie Koniczek, to mój karp!

Odwrócił tylko głowę i powiedział:

- Na takiego wielkiego karpia to ty jesteś za mały.

Wszedł na podwórze, a ja nagi i biały dreptałem za nim. Nie chciałem się tego karpia wyrzec, bo był nie tylko mój, ale także mojego brata Hugona, który go karmił domowym chlebem. Młynarz położył karpia na pieniek pod szopą i odszedł. Wziąłem łeb karpia w dłonie i szeptałem:

- Karpiuchu. Nie powinienem był tu przychodzić.

Młynarz powrócił z pałąką i nożem. Walnął go w łeb, po czym rozkroił skrzela, żeby wyciekła krew. A potem zaczął go skrobać. Wielkie złote łuski odskakiwały i leciały na wszystkie strony, padały jak złoty deszcz na ziemię, przylepiały się do pnia i szopy, pstrzyły moje nagie umęczone ciało. Później młynarz rozplątał mu brzuch. Wśród wypatroszonych trzewi walał się po ziemi mój drogocenny, nie strawiony zanieczyszczony chleb. Przydreptały ciekawskie, wypatrujące żeru kokoszki, młynarz go im odkopnął. Rozplakałem się. Odwrócił głowę i zapytał:

- Ty jeszcze tutaj?

Poprosiłem go, żeby mi pozwolił wziąć sobie łuski.

- Łuski sobie weź i uciekaj. Zaraz się ściemni.

Uklękłem w błocie i pozgarniałem łuski, miałem ich pełne garście. Poszedłem się ubrać, łuski powpychałem do kieszeni. I wtedy właśnie poczułem to w sobie. Jakiś wielki smutek i wielki żal. Jakiś straszny gniew na niesprawiedliwy młyn, w którym już dymiło się z komina i w którym gotowano kolację z mojej wielkiej ryby. Podeszedłem do tej starej, ulubionej wierzby karpia. Zaczynało być na dobre ciemno, a w jej spróchniałym pniu błysnęło jakieś światelko, jakby kogoś witała albo żegnała.

Nie czułem się już taki samotny. Wieśniacy słusznie mawiali, że drzewa są żywe i bezsilne tak jak dzieci i płochliwa zwierzyna.

Otarłem łzy i ruszyłem w powrotną drogę, która była o wiele cięższa niż droga niepowrotna. Przyszedłem do domu, mama już spała. Na stole czekał na mnie garnuszek koziego mleka i kawałek czarnego chleba.

W swojej klitce rozłożyłem łuski na stole. Najprzód odtworzyłem z nich postać karpia staruszka.

Potem je ustawiłem w szeregi i oddziały, w szwadrony i bataliony i wydawałem rozkaz za rozkazem, w prawo zwrot! i w lewo zwrot! Do ataku na młyn Koniczków biegiem marsz! Łuski przede mną podrygiwały i błyskały, było to wojsko w pełnej gali, które przychodziło zaprowadzić sprawiedliwość na całym świecie. A później, kiedy już spałem pod pierzyną, we śnie jako król przebaczałem niesprawiedliwym. A łuski w tym śnie to były monety bite w złocie przez króla karpiego. Na każdej monecie był cesarz z faworytami i miał rząd medali na mundurze, a pod spodem było napisane Romanum imperarum. I znów wołałem: W tył zwrot!, a monety się odwracały i ukazywał się znak lotaryński i czeski lew. I śniło mi się również święto drzew i święto pszczół, i czas miodobrania. I spotkałem piękną pannę, która miała ciało białe i niepokalane jak ciała lip w alei, na którą zawsze mówiło się Długa Mila.

Odważny młody człowiek

U Proszków po wojnie

Zaraz po wojnie wypuściłem się na Krzywoklat. Dosłownie wyrwałem się. Sam, z plecakiem i jedną wędką. Mieszkaliśmy znowu w Pradze, więc jechałem z dworca smichowskiego ciuchcią z brudnymi okienkami. Naplułem na chusteczkę i zrobiłem sobie na szybie czysty okrągły świetlik. Ujrzałem rzekę i chciało mi się beczeć.

Wpatrywałem się w wiosenną wodę Berounki i wiedziałem, że ta woda, co tutaj płynie, musiała płynąć również w górze rzeki obok Skryj i pod łodziami wuja Proszka z Łęgów. Rzeka tak samo jak obłoki przepływała przez miejsca, gdzie kiedyś w życiu było nam dobrze. Obserwowałem jej nurty, jej ryby, jak wyskakują na powierzchnię, młyny przy jazach i jazy powstrzymujące wody. Młynarzy, co jeszcze nie uwinęli się z robotą, i przewoźników, którzy jeździli tam i z powrotem. Po sześciu latach znowu patrzyłem na rzekę. Przyłgnałem twarzą do szyby, żeby mi nic nie umknęło, Rzekę kochałem bardziej niż cokolwiek na świecie i wtedy jeszcze wstydziałem się tego.

I właściwie to nie wiedziałem, dlaczego tak rzekę kocham. Może dlatego że są w niej ryby, albo też dlatego że jest wolna i nie spętana? Że nigdy się nie zatrzymuje? A może dlatego że szumi i nie daje zasnąć? Może dlatego że jest tu od wieków, albo dlatego że codziennie jej wody umierają gdzieś w dali? Albo dlatego że możesz po niej płynąć i że możesz w niej umrzeć?

Nie umiałem wtedy odpowiedzieć, byłem jak młody pies, który dopiero obwąchuje najpiękniejsze narożniki.

W moim świetliku ukazał się zamek, był to Karlsztejn. Królowie czescy mieli podobny gust jak ja. Wybrali sobie Berounkę i wzniesli nad nią swoje grody: Karlsztejn i Krzywoklat.

Jeśli chodzi o lemoniadę, to na stacji w Berounie piło się żółtą. Do Krzywoklatu trzeba się przesiąść do ciuchci na Rakownik. Jedzie się koło wylęgarni pstrągów, koło tych słonecznych kolebek, w których lulają i pluskają małe pstrążęta. Tory biegną pod stradonickim Hradiszczem, gdzie rolnicy znajdują w ziemi złote monety. I obok tartaków, gdzie z drzew robi się deski, a z desek pachnące łóżka Rzeka teraz płynie samym dnem doliny. Bez słońca jest pełna łez.

W Krzywoklacie wysiadam i idę w górę rzeki. Już mnie nie dzieli od niej okno pociągu. maszyna parowa już nie tłucze mi w skroniach. W nos mi bije zapach ryb, które akurat przeżywają czas miłości, a także zapaszek jakiegoś żołnierza-topielca. Wiatr od wody pozwala zapomnieć o goryczy. Rzeka jest również czasem zła i ma swoje wrzody. Oczyszcza się przez to, że odpływa w dal jak kry na wiosnę.

W górnym biegu, już za Wiszniową, jest czysta. W nurtach widzę gromadę pękatych brzan. Wsysają się w dno i stają na łbach. Przypominają stado dzikich koni lub stado kozic. Puszczają bąbelki i najpewniej porchają jak wieprzki. Leżę na brzuchu i obserwuję je. Po chwili wstają, a one znikają w głębinie.

Wyżej rzeka już tylko pachnie. Jak niezapominajka. Jak grązel. Jak dziki korzeń tataraku. Jak wierzbina. Pachnie wodą.

Przestaję się zatrzymywać. Przyśpieszam kroku żeby być jak najszybciej na przystani w Łęgach, jak gdybym chciał wszystko mieć naraz. Już mijam jaz. I Skalę Szymów.

Koło Szymów Skalę trampy dwa siedziały.

Biegnę. Plecak mi podskakuje na ramionach, robi buch! buch!, zupełnie jak moje serce. Po wąskiej ścieżce koło akacji w górę do domku przewoźnika.

Jeśli tylko nie poumierali (chyba by przysłali zawiadomienie). I żeby byli w domu. I żeby nie byli chorzy. I żeby mnie sobie przypomnieli. Żeby mnie tylko poznali.

Stukam do drzwi. Nikt nie otwiera.

Przyszedłeś za późno. Twoje dzieciństwo skończyło się.

Siedzę na progu i czekam. Wkrótce zjawia się z wędką wuj Proszek. Rzucam się mu w ramiona, ale on mnie ściska niezdecydowanie, nie przywykł miętosić się nawet z własnymi dziećmi. Rozmawia ze mną i wówczas przekonuję się, żeśmy obydwa się postarzel. Obydwa musieliśmy przebyć jakąś wielką, nieznaną dal. Drogę, która trwa. U kresu której jest cel, ale skąd już nie ma powrotu.

Wuj Proszek mnie raczy swoją słynną branowską kartoflanką. Pływają w niej prawdziwki, a po wierzchu nać selera. Przygląda mi się w milczeniu, a potem pyta:

- No to gdzie pójdziesz na ryby?

Mały pstrąg

Na ryby poszedłem nad Potok Skrzywański. Zajeżdżaliśmy już tutaj, ale były to czasy, gdy wożono mnie w białym wózek i cmoktałem cumelek. Już wtedy nad tym pięknym potokiem mieszkał z żoną Jarka Franiek, swój chłop. Pracował kiedyś jako wywiadowca w Indochinach, w Annamie. A kiedy stamtąd powrócił, to na rozstaju siwych gościńców pod Nezabudicami postawił drewnianą budkę z piwem, rumem i żółtą lemoniadą, i nazwał ją "Annam". Polakierował ją na brązowo, a kawałek dalej nad potokiem postawił murowaną restaurację "U Tajnego Agent". Przez całe życie był w głębi serca wywiadowcą, dopóki Niemcy podczas wojny tego serca nie rozwalili w więzieniu Plötzensee.

Ta pani na balkonie to jego żona. Dzielną pani Frańkowa. Jest szczupła, a włosy ma krucze. Kiedy go Niemcy zabierali, powiedział jej na pożegnanie:

- Pozostań zawsze "U Tajnego Agent".

Mieszkała tu sama, w tych borach krzywoklaskich. Dawała jeść spadochroniarzom, którzy tu grali w bilard, a przy tym z pistoletami w ręku obserwowali gościniec, czy przypadkiem nie jadą Niemcy na samochodach pancernych. Gotowała też grochówkę rybakom i podróżnym.

Już mnie zobaczyła, woła z balkonu:

- Aleś ty wyrósł, chłopcze.

Uśmiecham się słysząc, że wyrosłem. Kto by się nie ucieszył. Ja się cieszę. Lubię panią Frańkową, sam nie wiem czemu. Pewnie dlatego że jest miła i że kochała pana wywiadowcę. A także dlatego że nie bała się faszystów na samochodach pancernych. Chciałbym jej kiedyś kupić jakiś wielki prezent, dajmy na to samochód lub motocykl, żeby mogła czasem jeździć na zakupy do Krzywoklatu i do nas do Pragi w odwiedziny.

Poszedłem dalej wzdłuż kwitnących w ogrodzie czereśni. Za każdym podmuchem wiatru tworzyła się różowa zadymka, kwiaty z czerwonymi słupkami sypały się na wszystkie strony.

Za ogrodem otwarła się dolina wiodąca na Skrzywań. Cicha dolina, rzadko kiedy spotykałem tu żywą duszę. Ciągną się tu na przemian łąki, pola orne, zbocza i zagajniki. Gdzieś już kukułka kuka, po kwitnących łąkach skaczą tegoroczne, małe jeszcze pasikoniki, które mają słabe nożyny.

Doszedłem do swojego potoku.

Woda toczyła się w nim jakby bardziej wezbrana i mętna, pstrągów nie było widać. Nie miałem ze sobą wędki. Bałem się, że mi będzie tylko przeszkadzać, pstrągi najlepiej łapać ręką. Poszedłem w górę nurtu aż ku polom ornym i gajówce Gypsarni. Tej Gypsarni kurzyło się z komina jak diabli, toteż się pochyliłem i skradałem wzdłuż brzegu, był to już taki kłusowniczy zwyczaj. Zzulem buty i poczułem się wspaniale, trawa mnie chłodziła i łaskotała w stopy, jak gdyby chciała mi coś powiedzieć. Po praskim bruku był to macierzankowy balsam. Niekiedy wypatrywałem w potoku pstrąga, jak wylegiwał się w płytkiej wodzie na skraju toni i czekał, co mu przyniesie woda. Każdy jednak, gdy mnie tylko ujrzał, zmykał w głębinę.

W jednej gajówce nad potokiem mieszkał emerytowany gajowy, Karol Kalous. Podobno miał tak dobre serce, że nikomu go nigdy nie okazywał. Każdego obrzucał przekleństwami, które nie zawsze można było powtórzyć. Później, kiedyśmy się już zaprzyjaźnili, smażyłem mu na patelence świeże pstrągi, a on wypluwał w ogień ości i klął, że wolałby wieprzowinę. Klął również na swoją krowę, która mu stale gdzieś się zawieruszała, klął i na zakład emerytalny, że mu posyła mało pieniędzy. I klął też na mnie, ale ja się śmiałem, ponieważ go już znałem i było mi z tym dobrze.

Tylko że jeszcze wtedy byłem jedynie wyrosniętym chłopcem - jak zauważyła pani Frańkowa. Miałem okropnego pietra przed gajowym. Koło gajówki przekradałem się chyłkiem. Ale on nie zasypiał gruszek w popiele, wypatrzył mnie. Zaraz zaczął krzyczeć:

- Czego tu szukasz, nicponiu? Ach, ty draniu! Ty basalyku! Zastrzelę cię jak dziką świnię!

I podreptał na swoich ciężkich nogach do gajówki po strzelbę, której nie posiadał. Wtedy rzecz jasna tego nie wiedziałem i pomknąłem między wierzbą jak szczuty zwierz. Zatrzymałem się za wielką skalą dopiero. Nie poszedł za mną. Zobaczyłem, jak się załatwia w lesie, bo kiedyś wiatr porwał mu wychodek i już drugiego sobie nie postawił.

Koło Kalousa była strefa wielkich pstrągów. Tu również potok się zwężał. Były tu ładne małe głębie i ciche zakątki, gdzie miały swój wodopój sarenki i kozły, czasem przyszwendał się też jeleń, wielki jak jałówka.

Naraz ujrzałem w toni pstrąga. Nie było tu zbyt głęboko. Rozebrałem się do majtek i wlałem do wody. Poczułem ziąb. Wiedziałem, że pstrąga trzeba chwycić obydwoma rękoma naraz, żeby nie umknął w bok. Zanurzyłem ręce w wodzie. Długo go nie wyczuwałem, aż mi się nawinał pod palce. Drgnęliśmy jednocześnie. Miał zimne rybie ciało. Ale wystarczy dotknąć, żeby aż do cebulek włosów przejęła człowieka żądza kłusownicza. Zaraz po niego sięgnąłem znowu. W cisnął się między korzenie, żeby się uratować. Był większy,

niż myślałem. Znow go czułem koniuszkami palców. Ale przeszkadzały mi korzenie, a on wpychał się coraz głębiej. Żeby go wydostać, trzeba było go zabić. Wskoczyłem na brzeg po nóż. Włazłem do wody z powrotem. Ciągle był w dziurze, przegapił swoją jedyną szansę ucieczki, kiedy wyszedłem po ten nóż. Zacząłem dźgać i ciąć. Znieruchomiał, wyciągnąłem go nieżywego. Nie był tak duży, jak myślałem. Był całkiem mały. Całe ciało miał pokłute, jego pomarańczowe cętki były pocięte. Cieszyłem się jednak. Był to mój pierwszy pstrąg.

Owinąłem go wyszmelcowaną chusteczką i ruszyłem z powrotem w stronę knajpy "U Tajnego Agenta". Przyszło mi do głowy, żeby go podarować pani Frańkowej. Nie wiadomo, od jak dawna nie jadła ryby, nie mówiąc już o mięsie. Zastukałem od strony kuchni. Uśmiechnęła się do mnie i zapytała:

- Co takiego?

- Coś pani przyniosłem, pani Frańkowa.

Wyjąłem chusteczką i wyłożyłem na ławkę pstrążyka. Milczała. Po chwili odezwała się cicho:

- Mogłeś go jeszcze trochę pozostawić przy życiu.

Czym prędzej się stamtąd wycofałem. Biegłem aż do gościńca, tam dopiero zwolniłem kroku. Ale mi się udał ten podarunek. Więc to był ten samochód i ten motocykl, o których wcześniej myślałem.

Po raz pierwszy w życiu zastanowiłem się:

Skąd się w człowieku bierze taka krwiożerczość?

Skąd się w człowieku bierze taka żyłka kłusownicza?

Zrobiło mi się wstyd i znowu zacząłem biec przed siebie jak złodziej, który wie, że i tak będzie kradł, skoro już w tym zasmakował.

Nad rzeką rozebrałem się i zanurzyłem w wodzie, by się oczyścić z tego jak grzesznicy, co kąpią się w hinduskiej rzece Ganges. O niczym już nie myślałem. Bo rzeka to co innego niż potok. Rzeka to głęboka studnia zapomnienia.

Długi Honza

Najpiękniej na świecie podróżuje się kanadyjką. Pięć razy wypuszczałem się Luźnicą i Wełtawą, wszystkiego pięć razy przed swoją chorobą. Płynąć rzeką to piękna rzecz, a dla rybaka - wprost fantastyczna. To tak jakby się jadło świeży chleb z masłem i jeszcze do tego posmarowany miodem. Po prostu mnóstwo przyjemności naraz. Jest się na ukochanej rzece i codziennie łowi się ryby. Można zatrzymać się na najpiękniejszych głębiach i w najurokliwszych miejscach, gdzie inni rybacy czasem nie dotrą piechotą, a tym bardziej na czterech kółkach. A tu niesie cię sama woda. Wystarczy tylko trochę powiosłować.

A w wiosłowaniu jesteście kolosy. Co do tego, nie ma dwóch zdań. Moim pierwszym partnerem był Długi Honza. Wspaniały facet, kędzierzawe włosy i kudły na piersiach, wielgachne nogi jak u koszykarza, a ręce - górnicze łopaty. Strasznie lubił rechotać i miał piękny głos do piosenek. A kobiety do niego 19nęły dużo bardziej niż do mnie.

Dogadaliśmy się, że razem popływamy kanadyjką po rzece, którą między sobą nazywaliśmy Ontario Luźnica. Po rzece, której nie znamy.

Srebrny medalista w biegach kanadyjek z berlińskiej olimpiady, Boża Karlik, zapewniał nas, że nie ma co się bać, wszystkiego można się nauczyć na szlaku. Opowiedział nam również parę zabawnych historyjek. Choćby tę o kanadyjkarzu okularniku, któremu dwukrotnie kajak się wywrócił i za każdym razem tonęły mu okulary. W Sobiesławiu przywiązał do okularów korki, żeby w razie wywrotki nie poszły pod wodę. Podczas trzeciej wywrotki okulary rzeczywiście nie poszły pod wodę, za to poszedł - kanadyjkarz.

To ci dopiero heca, panie Karlik.

A mimo to rzuciliśmy się w tę przygodę na łeb, na szyję, jak skacze do wody ktoś, kto nie umie pływać, naiwnie myśląc, że to przyjdzie samo. Była to czysta brawura. Zwłaszcza że nie mieliśmy namiotu, ba, nawet kanadyjki nie posiadaliśmy. Namiotu w ogóle nam się nie udało skombinować, a kajak zdobyliśmy w ostatniej chwili. Uratowały nas gołe babki. Kiedyśmy panu Leopoldowi Dandzie zaproponowali stowę za pożyczenie kanadyjki, popatrzył na nas kwaśno, ale kiedyśmy dorzucili pięć skapo ubranych dziewcząt z kalendarza "Playboya", rozkrochmalił się. Ten człowiek miał artystyczną duszę. Mogliśmy zatem wypłynąć.

Na swoich biurkach zostawiliśmy wystukane na maszynie kartki:

WROCIMY ZA MIESIĄC ALBO WCALE.

Wyjechaliśmy pociągiem do Suchdola Ontario, gdzie czekała na nas wypożyczona stara kanadyjka, wysłana wcześniej pociągiem towarowym. Byliśmy w wieku, kiedy młodzi ludzie nie miewają pieniędzy. Niewiele też wzięliśmy na drogę, w naszych pustawych workach było po parę konserw dorsza, którego nie da się stale jeść.

Liczyliśmy tylko na jedną jedyną składaną wędkę, w dodatku pękniętą, na jeden jedyny kołowrotek i jedną jedyną żyłkę. No i na gębę Honzy. Jako były konferansjer umiał tak każdego zatrajlować, że pękłyby z zazdrości nawet ktoś, kto wyciągnął cielę z bezpłodnej krowy. Jak się później okazało, była to ważna umiejętność, przecież nawet noclegów nie zabezpieczyliśmy sobie telefonicznie, a z jedzeniem było krucho. Wzięliśmy z sobą przede wszystkim trzy butelki becherowki. Becherowka podobno jest dobra na wszystko. Na zaziębienie, na katarakty, na łapówki.

Z dworca przytargaliśmy kanadyjkę nad Lużnicę, zepchnęliśmy ją na wodę i usiedliśmy w niej. Bardzo to osobliwe i przewspaniałe uczucie, jakiego się w niej doznaje. Jak gdyby się płynęło w skorupie po kryształach. Wszędzie widać dno. Nagle człowiek jest starym Indianinem, który tę kanadyjkę wymyślił, i płynie nurtem prawdziwej amerykańskiej rzeki. Sunie tuż nad grzbietami ryb, które kompletnie się nie boją, sądzą pewnie, że to jakaś niegroźna ryba. Górny bieg rzeki jest dosłownie tak samo piękny jak ośnieżony wierzchołek góry. W miarę zbliżania się cywilizacji i Pragi rzeka coraz wyraźniej będzie ociekać brudem, którego nanieśliśmy do niej my, ludzie.

Wiosłujemy, ale jakoś nam nie idzie. Prąd wody znosi nas na przybrzeżne korzenie, kołuje nam kanadyjkę jak frygę. Długi Honza macha piórem z przodu, ja z tyłu steruję. Honza sobie zastrzega, że będziemy się dzień w dzień zmieniać, nie ma zamiaru patrzeć, jak niszczyć pożyczony kajak.

Po paru godzinach dochodzę do wprawy. Ścinam zakręty, wymijam wiry i porohy, i drę się ze szczęścia do Honzy:

- Widziałeś? Co ty na to, chłopie? Mam glik czy nie?

Mruczy coś jak niedźwiedź.

Nurt staje się szybszy, zalatuje rybami, w nos uderzają rzeczne opary przesiąknięte mdlącą wonią tataraku.

Rzekę przegradza zwalony pień drzewa. Jakiś zmyślny kanadyjkarz wyrąbał w nim siekierą przepust w sam raz na jedną kanadyjkę. Po obu stronach przepustu pławią się potężne iglaste gałęzie spęczniałe od wody. Trzeba będzie utrafić w ten jasny prześwit, inaczej będzie źle. Gałęzie wepchnęłyby nas pod wodę. Honza zwraca się do mnie wyrażając obawę:

- Wpasujesz się, chłopie?

- Spokojna głowa, brachu.

Nakierowuję się na otwór, ciągle mam wrażenie, że jest rozwarty i szeroki jak Prochowa Brama. Ale im bardziej dystans się zmniejsza, tym otwór jest węższy. A tu jeszcze znoszą nas jakieś głębinowe prądy, w które Honza później nigdy nie uwierzy, i ściągają pod same świerkowe gałęzie. Te nas nie zatrzymują, dostajemy się pod nie, wpychają nas pod wodę, tak że wpływamy pod świerk systemem łodzi podwodnej z królewskiej marynarki angielskiej. Kanadyjka się przewróciła, nasze worki pływają. Za świerkiem wynurza się z wody łepetyna Honzy i pomstuje:

- Baranie, nie utrafiłeś w tę dziurę!

Z rezygnacją wylawiam rzeczy i wyzynamy ociekającą z nas wodę. No i płyniemy dalej. Niebawem szczerzymy już do siebie zęby jak kochankowie. Bo czyż się człowiek może złościć, kiedy widzi te piękne szczupaczki głębie? Kiedy widzi, jak płyną pstrągi, które są tak radosne, że niemal trzymają się za płetwy jak ludzie za ręce? Czyż może się człowiek złościć, kiedy słońce pada z błękitu prosto do kajaka, wierci się w nim i grzeje siodełko pod pupą? No bo czyż nie płyniemy rzeką Ontario? A kiedy przymrużymy oczy, jest to nawet Amazonka, a ten pstry ptak na gałęzi to papuga kakadu.

Pod wieczór Honza wyrusza zebrać o nocleg w zabudowaniach nad rzeką. Dopisuje mu szczęście. Zostawiamy kanadyjkę do góry dnem przy brzegu, a sami idziemy z tłumokami jak powsinogi do stodoły. Mamy tylko jedną starą pstrokatą płachtę brezentową, z którą niemiecki żołnierz szedł zdobywać świat, ale w efekcie absolutnie nic nie zdobył. Zatem kładziemy się na niej obok siebie, pod spodem mamy siano. Pachnie, jak to się mówi, aż głowa boli. A jeszcze przed snem przychodzi na pogawędkę gospodarz.

Rano słyszymy pianie kogutów i chrząkanie prosiąt. Złazimy na dół, przy drabinie czeka na nas dzbanek z mlekiem i pajdy pachnącego chleba. W obejściu nie ma już nikogo, w południowych Czechach wstaje się do dnia.

Ranki są tutaj przepiękne. Rano nad wodą wszystko człowieka cieszy, gdyż dzień mu jeszcze nie spowszedniał i nikt mu go jeszcze nie zdążył zatruć. Przyroda jest do czysta umyta przez noc, ryby okazują pełne zaufanie. Łowię na śniadanie całą patelnię płotek. Usmażone chrupią w zębach.

Dobry poranny nastrój dopełniam śpiewem, który dla Hanzy jest okropną torturą. Śpiewam fałszywie, ale od serca. Mam repertuar na całe godziny. Przepadam zwłaszcza za jedną piosenką ze spartakiady. Dzieci ubrane na niebiesko, żółto, czerwono i biało tańczyły przy niej i robiły ćwiczenia gimnastyczne, a wszystko to razem nazywało się "Złota brama":

*Kocur tłuste myszki goni, tu jest dziura, hopla do niej.
Druga myszka z dziury myk, a ten kocur do niej w mig.
Kici, kici, kici, kici, kici, kici,
teraz, myszki, was przeciwicy,
cha-ch a-chi, kocur szaro-pstry.*

Wpadało to w ucho, choć było takie naiwnie głupiutkie i z koślawymi rymami, ale świetnie pomagało przy wiosłowaniu, zwłaszcza gdy po rzece dźwięcznie się nosło owo CHA-CHA-CHI. Długi Honza zaciął się w sobie i milczał.

Tak dowiosłowaliśmy aż do kładki Przy Tikalskich. W prawo odchodzi Nowa Rzeka, a w lewo Stara Rzeka. Stara Rzeka to czeska dżungla. Przemachamy nią ponad dziesięć kilometrów. Z obu stron lasy, ba, istna puszcza. Ziemia niczyja. Miliony komarów i bagienne trzęsawiska. Potężne drzewa, które zwały się do wody i nikt ich nie wytaskał, nikt nawet nie przeciął pni. Zwierzyna dziksza niż gdziekolwiek indziej. Żyły tu kiedyś bobry i mają je tu znowu zasiedlić. Rezerwat. Nie wolno tu biwakować ani nocować pod namiotami. Palenie ognisk wzbronione. Być może, że tu żyją nawet jacyś desperaci. Wielkiej szansy tutaj człowiek nie ma: już pierwszy krok grozi zapadnięciem się w grzęzawisku.

Płyniemy pod pniami. Niekiedy przenosimy kajak i rzeczy łądem. Długi Honza jest na razie lepszym sternikiem niż ja. Ma ręce jak ramiona ośmiornicy i zagarnia wiosłem spory szmat rzeki. Jest to pies na robotę. Wkrótce z własnej nieprzymuszonej woli ociekamy słonym potem, my, cholerni ochotnicy, którzy sami się tak urządzili. Mamy już za sobą połowę Starej Rzeki, a niebawem mamy jej po dziurki w nosie.

W dodatku nie zdajemy sobie sprawy, że z wieży strażniczej wypatrzył nas komar. Fiu-fiu, tyle mięsa, jest z czego pić krew! Tak brzmiał jego bzyk. Leci oznajmić wspaniałą nowinę swoim skrzydlatym siostram i braciom. Zaatakowały nas całą chmarą. Jak samoloty myśliwskie i bombowce. Najeżyły na nas piki i dźgały nas nimi. Kąsają tylko komarowe samiczki, gdy tymczasem niekrwiożercze samce latają dookoła i budzą grozę swoim ostrym "bzzz"! Po prostu mają podzielone zadania. Płynąłem później Starą Rzeką jeszcze kilkakrotnie, ale nigdy już nie spotkałem się z taką ilością tego tałatajstwa. Osadziły w miejscu nasze ciała i nasz kajak. Ubraliśmy się jak kapucyni, ale to na nic się nie zdało. Nie było miejsca, gdzie by się do nas nie dobrały. A przede wszystkim wiedziały to, co wie każdy dowódca: że muszą rozbić nasze szeregi. Wkrótce zaczęliśmy z wielkim Honzą działać sobie cholernie na nerwy. Było nas dwóch, jeden stanowił, oczywiście, dla tego drugiego piorunochron. Nic nie dawało zabicie nawet setki komarów, następne setki zajmowały miejsca poległych. Były niczym biblijna szarańcza, niczym termity. Kanadyjka się wlokła na podobieństwo rozwalonego okrętu wojennego. Nie było dokąd zwiać. Były na swoim terytorium! Ciepło, wilgoć i moczary, oto wymarzony żywioł tej potwornej halastry. Zaczęliśmy ćmić cygara z trzciny i utykaliśmy je w burtach kajaka. Dym wskazywał im, gdzie jesteście.

Obrzękły nam twarze. Napuchły nam również ręce, niezbędne do wiosłowania. Przestaliśmy płynąć. Nie odzywaliśmy się do siebie i wygramoliliśmy się na brzeg. I wtedy właśnie tak mi zaczęła doskwierać cisza, że wyskoczyłem z jakimś idiotyzmem. Chwyciliśmy się za łby. Był dużo silniejszy i miał dłuższe łapy. Fajtnął mnie z brzegu do Lużnicy i zaczął jakiś opętańczy taniec, śmiał się jak szaleniec i wrzeszczał :

*Teraz, myszki, was przeciwicy kocur szaro-pstry.
CHA-CHA-CHI! .*

Bałem się wówczas o nas obydwóch, bo wiedziałem, że to nie żarty. Ilu to już sportowców się pożarło w momencie przegranej, tłukli się po pysku, a inni nawet w takich kryzysowych sytuacjach dostawali fioła.

Woda nieoczekiwanie okazała się zbawienna. Płynąłem i wystawał mi tylko czub głowy, komary niewiele już mi mogły zrobić. Długi Honza pociągał z butelki becherówkę i sam wiosłował jak diabeł, żebyśmy jak najprędzej wydostali się z komarowej rzeki. Opatulił się szmatami i przewiązał postronkiem.

Lasy znikły. Skończyła się kraina komarów. Wyłoniły się zalane wodą łąki. Rozebraliśmy się do kąpielówek i powoli zaczęła się nawiązywać rozmowa, jak w małżeństwie.

Niebawem rzuciło nam się w oczy coś szczególnego. Coś jakby jakieś dziwne chorągiewki machały do nas spośród zatopionej łąki. Stańcie! Zatrzymajcie się! Trzepot tych chorągiewek był jakiś niechorągiewkowy. Równie dobrze mogły to być ptaki - łyski albo bagniki. Musieliśmy podpłynąć bliżej . Wówczas dopiero powiedziałem do Honzy:

- To są karpie. Ogromne karpie. Pasą się na zatopionej łące, stoją na łbie jak w cyrku i machają ogonami jak chorągiewkami. Odwiąż wędkę!

Honza nie miał żyłki kłusowniczej, więc protestował :

- Nie wygłupiaj się! Nie widzisz, że tu zaraz jest szosa? Może być wpadka.

Ale wędkę mi podał. Było południe. Wszyscy będą teraz na obiedzie. Honza patrzył spod oka, jak przygotowuję wędkę. Nie ośwładnęła nim jeszcze pasja rybacka, nigdy nie łowił. Spokojnie rozłożyłem wędkę, na haczyk nadziałem dżdżownicę, trzymaną na taką okazję w płóciennym woreczku z trawą i mchem. Wybrałem największą kulkę ołowianą, żeby móc zarzucić jak najdalej. Wcelowałem wielkim zamachem w mały potoczek, który zaniósł szałwiarz na łąkę z karpami. Najbliższy karp natychmiast się zniżył, a ja go czym prędzej podciąłem. W płytkiej wodzie rozegrała się walka, zupełnie jak gdyby łąkę zmieniano w orne pole. Rzuciłem okiem na szosę. Nikt nie nadchodził ani nie nadjeżdżał. Honza miał wytrzeszczone oczy i spływał z niego pot. Nie miał jeszcze, biedaczysko, doświadczenia.

Włożyłem karpia do łódki i zaraz złapałem drugiego. Potem podciąłem trzeciego. Był ogromniasty.

Mocno się zaparł i pękła mi wędka. Krótsze wędzisko niebawem jeszcze raz mi pękło, było nadgniłe, wziąłem bowiem na wodę to najstarsze, jakie miałem. Szczątkiem wędziska przyciągnąłem karpia do kajaka. I kiedy go wepchnąłem do środka, poleciłem:

- Wiosłuj! Odpływamy!

Ale Honza nie zareagował. Siedział struchlały z oczyma utkwionymi w szosę, którą nadchodził ku nam chłop. Patrzył na niego i cedził przez zęby:

- Idioto! A nie mówiłem?

Nic nie można było zrobić. Kanadyjka jest do kłusownictwa niezbyt sposobna, gdyż nie da się na niej uciec. Pod prąd w ogóle nie, a z prądem łatwo ją dogonić. Zatem czekaliśmy, aż ten chłop do nas podejdzie, i przychodziło nam tysiące rzeczy do głowy. Chłop z wyglądu był raczej nędzny, ale nie zły.

Pochylił się znad brzegu i uważnie przyjrzał się karpom w kajaku. Po czym powiedział:

- Niezłe sztuki.

I po chwili milczenia dodał:

- Dajcie mi jednego. Mam chorą żonę.

Honza się pochylił, złapał silnymi rękoma tego największego maćka, co mi złamał wędkę, i podał mu go jak niemowlę:

- Niech go pan sobie weźmie. My je też mamy' za darmo.

Odetchnęliśmy, zamarłe serca zaczęły nam bić.

Za mostem już obydwaj wykrzykiwaliśmy piosenkę o tłustych myszkach. W zagajniku odkryliśmy prawdziwki. Pod wieczór przepłynęliśmy największy staw świata, Rožmberk. Wieczorem podsmażyliśmy na oleju grzyby, po czym odstawiliśmy je na chwilę i upichciliśmy na patelni karpie. Nałożyliśmy potem do nich grzybów i papryki z konserwy. Podzieliwszy się tą pychą, powłaziliśmy w nadbrzeżne zakamary jak psy, które lękają się o swoją kość, i pałaszowaliśmy, aż nam się uszy trzęsły. Nie przyszło nam nawet do głowy, że jest to swego rodzaju degustacja tak zachwalanych południowoczeskich karpie. Każdy po prostu wtrząchnął dwukilowego karpia bez kartofli i bez chleba.

Tej nocy przespaliśmy się u krewnych Honzy w rzeźbionych łózkach. Na ścianie wisiał stary drewniany zegar z namalowaną lalką, słyszałem, jak tyka i wybija godziny, żeby domownicy nie zaspali, bo trawa czeka na kosę, a owieczki na paszę.

Płynęliśmy przez porohy i południowoczeskie miasta. Po wędcie zostało wspomnienie, więc zebraliśmy o ryby jak łakome kocury. Zaczynaliśmy od starej śpiewki:

- Biorą? Biorą?

Najczęściej rybacy niczego nie przeczuwali i odpowiadali. Przeważnie wskazywali ręką srebrzyste leszcze i karpiki, przy tamtych były to konusy. Zbyt wiele kajaków tędy wówczas nie przepływało, toż przez całą naszą drogę widzieliśmy raptem trzy kanadyjki i jeden namiot, byliśmy więc dla nich gośćmi niepowszednimi. A ryb było wówczas w Lužnicy w bród. Rybacy wsypywali nam ryby do kajaka, w gruncie rzeczy szczęśliwi, że ktoś się nimi interesuje i że interesuje się rybami, których oni po większej części sami nie jedli. Zadawaliśmy im naiwne pytania, jak się ta lub owa ryba nazywa i czy jest mądra, czy głupia, a oni zapewniali nas, że wszystkie ryby są nieprzeciętnie mądre i żeby je przechytryć, trzeba mieć duże doświadczenie i glik, i dobrą szkołę. Trzymaliśmy się brzegu i naciągaliśmy ich na opowieści o rybach i o rzece, a potrafili mówić tak pięknie jak jacy poeci albo piewcy na dworze królewskim. Przyroda, do której chodzili w gościnę, wpoila im szacunek i miłość do siebie jako do drugiej matki. Z lektury czasopism i książek wiedziałem, że umieją z wielkim uczuciem pisać, ale dopiero teraz przekonałem się, że z nich także wspaniali gawędziarze. A że dość często także zmyślają i koloryzują, więc te ich proste niby historyjki przeradzają się w baśnie, których słuchaliśmy jak urzeczeni i które snuły się nam po głowie przed zaśnięciem.

Za którymś tam zakolem weszliśmy w komitywę z jakimś panem Robejszkim. Wyrabiał kiedyś ekspresy do kawy, obecnie był wędkującym emerytem. Siedział na słońcu z gołą głową i popatrywał na wędziska. Zwolniliśmy tempo, a Honza zakrzyknął:

- Biorą? Biorą?

On się uśmiechnął i powiedział:

- Ja już, chłopcy, znam te chwytaki, wyjdźcie na brzeg. Zrobię wam kawę. Ale to będzie szatan, nie kawa.

Z Długiego Honzy był pies na kawę, więc wylazł diabelnie szybko. Pan Robejszek musiał niechybnie zajmować ten przybrzeżny występ od nadejścia wiosny do nadejścia zimy. Miał tam specjalnie ogrodzony i na różne sposoby ocieniony gałązkami samochodzik oraz szałas do nocowania, który przypominał paśnik dla saren. Zaraz zabrał się do mielenia kawy. Włączył benzynowy motorek, wprawiający w ruch skonstruowany własnym przemysłem młynek. Całe to urządzenie jazgotało, klekotało, pachniało, a Długi Honza tylko się obliżywał.

Siedzieliśmy przy stoliku z patyków i drewniaków popijając ten czarny aromatyczny płyn, bez którego musieliśmy się obywać całą wieczność. No i milczeliśmy, bo w takich chwilach należy milczeć, są to momenty tak uroczyste jak pierwszy pocałunek lub jak pierwszy ożenek. Przed nami leniwie toczyła wody Luźnica Ontario, a kawa pachniała jak w Brazylii. I widzieliśmy hebanowe ciała Murzynów na plantacjach, obchodzących krzaczki i zbierających kawę dla pana Robejszka i dwu młodych mężczyzn.

Ofiarowałem panu Robejszkowi słomkowy kapelusz, żeby od słońca nie spalił sobie głowy, a po wypiciu ponad pół butelki becherowki pasowaliśmy go na kawowego rycerza. Wygarnął do kajaka ze swojego sadza wszystkie ryby i jeszcze dał nam dwa obrazki Panny Marii ze Świętej Hory, żeby się nam w drodze nic nie stało. Płakał, że nie może wyruszyć z nami, ale były to tylko łzy chwilowego rozrzewnienia. Był do swojego miejsca przywiązany. Kiedy przepływaliśmy tędy w rok później, siedział na tym samym miejscu, nie przesunął się nawet o piędź. I znów jazgotała i klekotała aparatura i pachniała kawa, a hebanowi Brazylijczycy uwijali się na plantacjach. I tak się to powtarzało.

Siedzi tam pewnie do dziś, znalazł sobie na świecie kącik; gdzie jest szczęśliwy, gdy tymczasem inni wierzą, że ten kącik czeka ich w niebie.

*Chcesz znać pieśń północy, ja wiem,
więc się pochyl nad rzeki dno
i słuchaj, jak mkną białe losy...*

To śpiewa, szanowni państwo, Długi Honza. Ma naprawdę piękny głos. Wszyscy go lubią. Ludzie, ptaki, a może i ryby.

Już od dłuższego czasu jesteśmy w drodze, przestaliśmy się golić, kobiet tu ani widu, ani słyhu, wyrosły nam kozie bródki. Większy chłopcy na nasz widok beczą.

Nabraliśmy już otrząskania wioślarskiego, jednego dnia steruje Honza, drugiego ja. I jak bramki w piłce nożnej liczymy, kto więcej sforsuje jazów przy tylnym wiosle.

Rzucamy się w przepusty uczęszczane mało lub wcale. Kierujemy się tym, co powiedział Savonarola o odwadze:

*Chcesz, by twoja odwaga była w dobrej sławie?
Musisz ryzykować własnym życiem.*

Pchamy się na jazy najbardziej niebezpieczne jak opętani. Fale nas zalewają, wytrącają nam wiosła z rąk, wyrzucają kanadyjkę w powietrze, jak gdyby była piórkiem. Idziemy pod wodę, wciąga nas głębia. Topimy się. Kiedy udaje mi się wynurzyć ze spiętrzonych fal i spienionej wody, nie widzę Honzy. Błyskawicznie nabieram powietrza. Toń mnie wciąga z powrotem w dół, czekam, aż mnie znowu wychluśnie na powierzchnię. Błogosławię tamte tysiące godzin, które poświęcałem na naukę pływania i nurkowania. Nie wolno mi wpaść w panikę. Toń mnie wreszcie wypluwa. Mam głowę nad wodą i znów nie widzę Długiego Honzy. Zbiera mi się na płacz. Ale nie, bzdura. W takich momentach człowiek myśli przede wszystkim o ratowaniu siebie.

I o tym, co za chwilę nastąpi i jakie to może mieć skutki. Honzy nie ma. I wokół ani żywej duszy, żeby nam pośpieszyć na pomoc. Klapa na całej linii. Jego matka, ostra jak nóż, mnie zabije. Przecież sama mówi o sobie: Ja nie jestem surowa, ja jestem zołza! Będą mnie ciągać, przesłuchiwać, czemu go nie ratowałem i kto był wszystkiemu winien. Idę znowu pod wodę i kiedy wypływam, jego morda wyszczerza się obok mnie. Krzyczy:

- Niebezpieczeństwo jest naszym żywiołem!

Bogu dzięki, Jezusie Mario. Okazało się, że kiedy jeden wypływał, drugi akurat szedł pod wodę.

Przy następnym jazie jest ostrzeżenie:

UTONĘŁO NAS TU 16 OSOB,
TEN JAZ JEST ZDRADLIWY.
MOZECIE PRZYPŁACIĆ ZYCIEM TAK JAK MY.

A my idziemy na całego, nie żebyśmy się przejęli słowami pana Savonaroli, ale po prostu dlatego że jesteśmy młodzi i głupi. Bo jeszcze nie wiemy, że odwagę w życiu wykazuje się nie na zdradliwych jazach, najeżonych belkami lub porohami, lecz zupełnie gdzie indziej. Idziemy na całego, bo jeszcze nigdy nie byliśmy nieżywi. Bo nie wiemy, co to znaczy być nieżywym. Bo sobie to lekceważymy i obracamy w żart. Bo przeceniamy siebie i pochlebiamy sobie, jacy to z nas wyśmienici pływacy: Bo nie mamy zaufania do topielców. Zaznaliśmy tej emocji, przeżyliśmy piękną przygodę. Ale było to piélmo szaleńcze. Zabrakło tam naszych matek, one przy najzdradliwszych jazach powinny ściągać nam kąpielówki, łoic po gołej dupie i kazać pomaszerować ścieżką, gdzie chodzą dzieci z panią nauczycielką na Poszukiwania żółtych grzybieni.

W Taborze z żelaznego funduszu zakupiłem najtańszy kołowrotek dla Honzy i dwie żółte wędki bambusowe, jakich używał jeszcze wuj Proszek. W wylęgarni szczupaków nabyłem dwie karty rybackie.

- Popróbujesz szczęścia w wędkarstwie - powiedziałem do Długiego Honzy.

Nic nie odpowiedział, ale było widać, że mu oczy zajaśniały z radości. Prawdę mówiąc chciałem również wiedzieć, jak będzie się zachowywał, gdy zabierze się do łowienia jak dorosły. Chciałem, żeby mógł z wędką w rękę osiągnąć nieodzowny w tej czynności spokój, żeby nie drżał, że ktoś ni stąd, ni zowąd może go wziąć za kołnier. No i przy sposobności starałem się jak gdyby zapłacić i za tamte ryby, któreśmy, nie mając kart rybackich, bezprawnie spałaszowali na Lużnicy. Jak gdybym zakupywał odpusty niczym człowiek, który najpierw nagrzeszy, a później wpycha do skarbonki kościelnej bilon, żeby otrzymać przebaczenie.

Zbliżaliśmy się do Przybienic. Był to wówczas wspaniały skrawek ziemi czeskiej, a ziemia czeska to mój dom. Szczątki zamku po adamidach, potężne bory i karczma z piwem. Mając karty rybackie poczynaliśmy sobie jak właściciele rzeki. Nurkowaliśmy za małżami, otwieraliśmy ich pancerze i łowiliśmy ryby na ich śliskie mięso.

Nieznacznie obserwowałem Długiego Honzę. Trzęsły mu się ręce, kiedy mu wędka zaczynała donosić pach, pach, pach. Poderwał parę razy haczyk z olszynowymi liśćmi jedynie. Potem na małża podciął wielkiego klenia z karmazynowymi płetwami. Po długiej walce, stękając z przejęcia wyciągnął go na brzeg i zaczął głąskać, a mnie się przypomniało, że kiedyś jako mały brzdąc zachowałem się kropka w kropkę tak samo. Bez przerwy mnie później wypytywał, ile tak ten kleń może ważyć. Swoją wędkę pozostawiałem niemal bez dozoru, obserwowałem jedynie Honzę. Nie pomyliłem się. Kiedy ujrzał swoją pierwszą rybę, sam się dał złapać na ten haczyk. Po większej części wędkarstwem ludzie się zarażają w dzieciństwie. Honza był tu wyjątkiem. Złowiliśmy pełną torbę kleni i płoci. Pod Przybienicami łowiliśmy przez kilka dni.

Leżeliśmy tam któregoś wieczoru w sianie patrząc na stare popękane belkowania stodoły, gdy nagle Honza zaczął ze znanstwem mówić o rybach:

- To zupełnie co innego niż polowanie na zające. Zająca widzisz i kładziesz na pif-paf! A łowienie ryb to coś tajemniczego. Misterium. Sprawa wyobraźni. Żyłka zanurza się w wodę i niczego już nie widzisz. Nie widzisz, jaka tam jest ryba i co się w ogóle tam dzieje. Nieznany świat...

Powoli usypiałem, a on opowiadał o rybach, jak chłopiec opowiada swojej mamie o pierwszych dniach w szkole. Chciałem jak najszybciej zasnąć, żeby do dnia wstać i wypuścić się na ryby bez Honzy. Pragnąłem być znowu sam. Najbardziej lubiłem łowić w pojedynkę. Być sam na sam z rzeką. Denerwował mnie wówczas ludzki chód, nieznośne się stawało czyjeś gadanie, które było jak gdyby sprzeczne z naturą. Do pasji mnie doprowadzało, kiedy ktoś trajkotał o rzeczach bzdurnych i nieważnych w otoczeniu przyrody, która mówiła jasnym i prostym językiem jedynie o pięknie, miłości, nienawiści, żywieniu się i umieraniu. Jak gdyby to, co nieistotne, ktoś z przyrody wykreślił. Kiedy chodziłem na ryby z tatą albo z braćmi, nad rzeką najczęściej im się zawieruszałem. Przyznawałem im takie samo prawo do chodzenia samopas i pozostawiania nad rzeką bez mojego towarzystwa. Toteż zniknąłem w nocy ze stodoły Dłугоmu Honzie.

Było to w miejscu, gdzie stał taki jeden ciekawy młyn Suchomiel. Młyn bielił się jak mąka. Przejechałem kanadyjką na drugą stronę wody i zdałem kajak na łachotki fal przy brzegu. Nastawała pora, kiedy umiera noc, a budzi się dzień. Z doświadczenia wiedziałem, że czas tego przełomu i tego pogranicza jest najspodobniejszy na ryby. Brzask. Ryby są po nocy ospałe, ale już by w te pędy żarły, zwłaszcza jeżeli im kto podsunie coś do żarcia pod nos. Właśnie to zrobiłem. Czuję, że w tym zaciszu przy młynie może się znajdować szczupak, więc jako żyłki użyłem mocnej linki, a na prosty haczyk nadziałem rybkę jak scyzoryczek. Ledwo zarzuciłem, chwycił się kleń jak łopata. Miętko złożyłem go w kanadyjce, wzdychał głęboko, że się tak dał nabrać. Niebawem leżał obok niego Jeszcze drugi i trzeci. Potem złowiliśmy szczupaka, mającego dobre osiemdziesiąt

centymetrów, i okonia jak pstrokata czapa. Ryby tu były poukładane w wodzie jak w sadzu. W nie długi czas kajak zmienił się w akwarium. Dałem już spokój. Po latach wreszcie porządnie się nałowilem. A w kanadyjce było to fantastyczne. Kajak się pode mną chybotał, kiedy taszczyłem taką rybę. Robiło to wrażenie barwnych prospektów na kredzie z kanadyjskich jezior Nipigon i James Bay.

Przypląnąłem z powrotem. Przywiązałem kanadyjkę do krzaka nad wodą i poszedłem jeszcze uciąć sobie drzemkę.

O szóstej Długi Hanza zaczął mną potrząsać, że czas iść na ryby. Powiedziałem mu, żeby szedł sam. Wziął wędkę i popędził nad wodę. Przy kajaku z pewnością zrozumiał, w czym rzecz. Tego dnia nie odezwał się do mnie ani słowem. I już mi nigdy później nie mówił, żeby iść razem na ryby. Zaczynał być z niego prawdziwy wędkarz.

Od tamtego dnia chodziliśmy łowić każdy w inne miejsce. Honza zrozumiał, że przy wędce jego partnerem nie jestem ja, ale rzeka i mądre ryby. Od czasu do czasu pytał mnie o jakiś szczegół techniczny przy łowieniu, i to wszystko. Niekiedy przynosił parę ryb, głównie okonie i plocie.

Luźnica z wolna się kończyła. Stale zmienialiśmy się miejscami, jeden dzień sterował Honza, drugi dzień ja. W rachubie przebytych jazów w końcu się zgubiliśmy.

W miarę zbliżania się do Pragi coraz bardziej krucho było z noclegami. Nie na darmo wodniacy powiadają, że w południowych Czechach każdy gospodarz ułoży cię w łóżku, a na Słapach najbliższy krewniak wyśle cię spać do stogu. Jak gdyby w okolicy Pragi i w Pradze serce większości ludzi diabeł przemienił w kamień.

Zmierzchało się i zanosilo na deszcz. Nie mieliśmy gdzie spać. Ostatecznie można byłoby się przespać pod gołym niebem, ale obaj mieliśmy obolałe grzbiety.

Raptem rzuciła nam się w oczy piękna budowla nad rzeką, zupełnie jak z czasów Małgorzaty, córki Łazarza. Wytaszczyliśmy kanadyjkę, a Honza zaczął szykować się do złożenia wizyty: żeby sukces był murowany, wygrzebał z worka pomietą marynarkę i koszulę, umył się nawet, a także uczesał włosy i kocią brodkę. Byłem już strasznie utachany, tego dnia przepłynęliśmy blisko czterdzieści kilometrów. Honza podtrzymywał mnie na duchu zapewniając:

- Wszystko będzie dobrze, z komina leci dym. Tu będziemy mieli fart. Toż stodołę mają jak świątynię. Dadzą nam też mleka. Idź powoli za mną. Ja pójdę pierwszy wszystko obgadać.

Szedłem z tyłu. Zniknął w bramie i był tam strasznie krótko. Odezwało się wściekle szczekanie. Honza wypadł z bramy. W oczach miał przerażenie. Pędził jak gracz amerykańskiego baseballu wysoko wyrzucając kolana, zupełnie zapomniał o obolałym grzbiecie. Gdy już był blisko mnie, krzyknął:

- Zwiewaj!

W chwilę potem zrozumiałem przyczynę jego zwariowanego biegu. Z bramy wypadły dwa wilczury. Nie czekałem już ani sekundy i pocwałowałem na łono matki rzeki. Na szczęście miałem bliźiutko. Rzuciłem kajak na wodę, Honza wskoczył do niego w ostatnim momencie: wilczury już dopadały brzegu. Do wody się nie kwapiły. Przysiadły zdyszane trochę mniej niż my, zwieszając spocone różowe jęzory, które im huštały się w pyskach. Były to piękne i bezsprzecznie rasowe psy, z pewnością miały metryki rodowe.

Niebawem się cholernie rozpadało, nastąpiła ciemność. Płynęliśmy rzeką i nie dawało nam to żadnej przyjemności, nie wiedzieliśmy, jak płyniemy i o co zaraz wyrzniemy. Odzywały się mlaskające ryby, nad głową szeleściły skrzydła nocnych ptaków. Było nam zimno i chciało nam się straszliwie spać. Po drodze nie było żadnych zabudowań, a zresztą nigdzie by już nas po nocy nie przygarnięto.

I raptem zobaczyliśmy namiot.

Nie duży biały namiot. Stał nad rzeką. Tylko że był dużo mniejszy niż nie duży, taki sobie namiocik-kurdupelek, jakie taternicy stawiają na szczytach górskich. Gapiliśmy się na niego jak na jaki cud. Długi Honza rzekł:

- Dobijamy.

Zwolniliśmy tempo, przysterowałem do brzegu, wytaszczyliśmy kanadyjkę. A potem bardzo wolniutko poszliśmy w stronę tego namiotu. Kiedy już byliśmy blisko, odezwało się warkliwe szczeknięcie. Więc mieli tam z sobą pieska. Stanęliśmy bezradnie, po chwili rozległ się męski głos:

- Czego chcecie?

Honza odpowiedział:

- Jest okropna pogoda, a nie mamy gdzie przenocować. Przygarnijcie nas.

Przez chwilę było cicho, po czym znów się odezwał ten męzczyzna:

- Mam tu dziewczynę.

A więc była to parka, z pewnością nie małżeństwo.

Honza na to:

- Dziewczyna nam nie przeszkadza.

Znowu cisza, wreszcie namiot się rozchylił i na ten deszcz wylał mniej więcej trzydziestoletni wodniak z białym foksterierem. Był to taki facet równiacha, który z niczego nie robił problemów. Zaraz za nim wyszła jego babka. Zapalili wielką lampę, tak że mogliśmy się wzajemnie obejrzeć. Widocznie o to im chodziło. Przy sposobności i myśmy ich zlustrowali. Wodniak miał na sobie majtki w srebrne gwiazdy, w jakich później dał się sfotografować prezydent Johnson. Dziewczyna była diabelnie ładna. Ruda, z rudymi oczami. Tak szalowego kociaka jeszcze na oczy nie widziałem, chyba że na filmach Metro-Goldwyn-Mayer. Strasznie mi się spodobała, Honzie też, bo spod krzaczastych brwi łakomie strzelał za nią oczyma. Milczeliśmy, wodniak nas obserwował i zastanawiał się.

Wreszcie zdecydował:

- Panowie, ten namiot jest malutki. Dam wam herbaty z termosu i płyńcie dalej.

Zaczął otwierać termos, a tymczasem Honza wlaź do namiotu mówiąc, że w życiu spał już w dużo mniejszych namiotach, które nazywają się grobowczyki. Wszyscyśmy poszli w jego ślady, żeby urwać choć kawałek miejsca. Wodniak nie protestował. Wcisnąłem się na końcu. Honzie wystawały na deszcz całe golenie. Razem z foksterierem było nas w namiocie pięcioro. Wyciągnąłem się, a foksik ułożył się na mnie, żebym go grzał swoim ciałem, był z gatunku dobrodusznym, od czasu do czasu lizał mnie ciepłym jęzorem. Tę rudą babkę wodniak odgrodził od nas własnym ciałem. Ale mimo wszystko długo nie mogłem usnąć i przemyślałem, że chętnie bym jej chociaż palcem dotknął. Że na pewno byłoby mi wówczas cieplej i przyjemniej. Ale nie miałem pojęcia, jak to zrobić, i trochę się też bałem skandalu. Raz widziałem w kinie, jak jedna kobieta po ciemku zamalowała faceta na odlew, kiedy ją złapał za kolano. Za to Długi Honza nie robił sobie widać żadnych skrępułów. Najpierw się w ciemności pomylił i wpakował rękę na tego wodniaka, ale potem już był precyzyjniejszy, coś tam zaczęli w namiocie nawet szeptać. Po północy wodniak ze srebrnymi gwiazdami na majtkach wywalił Honzę z namiotu, a zaraz potem wywalił i mnie, chociaż niczego nie dotykałem. Jeszcze poszczuł na nas foksika, który się ze mną zaprzyjaźnił podczas spania.

Staliśmy na dworze, padał już tylko drobniutki kapuśniaczek. Postanowiliśmy iść parę kroków w dół rzeki na ryby, a o pierwszym brzasku popłynąć dalej. W sumie nic nie złowiliśmy, byliśmy przesiąknięci wilgotnym zimnem i nie bawiło nas to całe łowienie. W dodatku po ciemku przeoczyliśmy tablicę z ostrzeżeniem, że właśnie tu nie wolno łowić nawet prezydentowi, bo jest to rejon tarłowiska, gdzie ryby mogą swobodnie trzeć się i baraszkować.

Wraz z pierwszym brzaskiem zjawił się po drugiej stronie rzeki facet w brązowej skórzanej kurtce i przywołał nas do porządku:

- Jakie macie numery kart rybackich?

Co tam numery, nasze karty w ogóle nie były ważne na dolny odcinek rzeki. Honza odkrzyknął:

- Zaraz to panu wyjaśnię. Podpłynę do pana kanadyjką.

Facet nam twardo oświadczył, żeśmy łowili na tarłowisku i że nas to będzie zdrowo kosztować.

Była to więc ta wpadka, którą Honza przewidywał, kiedy szykowałem wędkę na tamte karpie przy szosie koło Roźmberka.

Honza tymczasem nazgarniał suchych gałązek i rozpałił pod świerkiem ogienek, żebyśmy się we trójkę trochę rozgrzali. A potem wdał się z facetem w gadkę, że niby jak mu się w tych stronach żyje i czym się zajmują jego dzieci i małżonka. Z troską w głosie wypytywał się o różne detale, były to jednak tanie chwytły, przypominające łowienie karpia na zwykłą glistę. Ale facet się na to złapał. Może dlatego że musiał do dnia łązić nad brzegiem rzeki i że się nie mógł wyspać z żoną ani bez niej, a może coś go trapiło. Wyciągnęliśmy ostatnią butelczynę becherowki, którą trzymaliśmy na wypadek podobnych sytuacji. Łyknął sobie i zaraz zaczął kłąć na cały świat, a po paru dalszych łykach wołał, że nie chce już więcej na oczy widzieć swoich dzieci i żony i że z nami popłynie do Pragi ujarzmiąc prądy świętojańskie, które wtedy od dawna już były zlikwidowane. W końcu go Długi Honza wziął na ręce i kanadyjką zawiózł z powrotem na drugi brzeg, a więc do jego pieleszy. A facet bez przerwy wołał:

- Tarło-nietarło! Wy jesteście fajne chłopaki! Niech żyją prądy świętojańskie! Nie chcę do domu!

Wykrzykiwał jeszcze mnóstwo innych sloganów i całował Honzę. Kiedy został sam, ułożył się koło trzciny i zasnął jak suseł. Honza przyplął z tamtej strony jakiś smutny, może z powodu tego, że tak postąpiliśmy lub że życie jest takie, jakie jest. Więcej już nie łowiliśmy, popłynęliśmy dalej, spuściwszy do połowy masztu naszą flagę Ontario.

Dopiero słońce przywróciło nam dobry humor. Można powiedzieć, że słońce jest często wielką żółtą pigułką od niebiańskich psychiatrów, która rozpędza smutek i wytwarza różowy nastrój. Słońce działa niekiedy skuteczniej niż szwajcarskie proszki noveril czy amerykański awentyl HCl. Słońce jest także żółtym ręcznikiem frotte, który nas samoczynnie wyciera, do sucha. Słońce również dostaje się nam do krwi, by ogrzać nasze serca, kiedy są zimne jak psi nochal.

Na Wełtawie, która jak wiadomo jest nieco szersza od Lużnicy, kanadyjkę za zgodą flisaków wciągamy na ich tratwy. Chcemy odpocząć i przez parę dni nic nie robić. Są to chyba ostatnie spławy i ostatni flisacy. Szefem na tratwach jest siedemdziesięcioletni dziadek. Pisinger, któremu zostały już tylko dwa zęby i biała czapka z zawadiackim daszkiem. Powiada do nas:

- Chłopcy, na waszą cześć popykam sobie saksofon.

Pali fajkę typu saksofon z wymalowanymi jeleleniami, które mają zadarte łby i ryczą. Z fajki bucha mu dym jak z wełtawskiego parowca. Jest nam dobrze, przyglądamy się rzece, która płynie, i tratwom, które skrzypią i też płyną. Taki spław to są ze cztery wagony pni świerkowych z Szumawy, poukładanych w tratwy jak cygara w pudełku, a pachną jak Kwilda i bory koło Lenory i Żelnawy, człowiek zaraz myśli o leśnych samotniach pisarza Karola Klostermanna. Pisinger nas we wszystko wtajemnicza, próbuję sterować drągiem, który tu się nazywa "tylnym wiosłem".

Na tratwie odpoczywa również nasz pożyczony kajak. Jest oblepiony kawałkami różowego plastra jak piłkarz po rozgrywkach ligowych.

Na brzegu siedzi rybak z wędką. Poznajemy w nim świetnego niegdyś biegacza na średnich dystansach, Honzę Novotnego, dziennikarza sportowego. Patrzcie no, Honza! Honzo, masz jakie ryby?

Mam, leszcze. Na tratwę śmigają trzy leszcze jak latające ryby. Leszcze na słonince to pycha, ale trzeba mieć słoninę. Na tratwach jest coś w rodzaju trójnogu, co przypomina ołtarz w kościele i jest obłożone darnią. Na tym flisacy w drodze gotują. Wodę na kartoflanek biorą prosto z rzeki. Gotują nam świetną zupę grzybową z ziemniakami, a my dla nich smażymy leszcze na smalcu, który każdy ma z sobą w garneczku od mamy.

Na koniec, chłopcy, zaśpiewajcie z nami. Honza śpiewa swoim pięknym głosem, a ja swoim fałszującym:

*Wstawaj, Anulko! gotuj śniadanie,
czas mi już na łódź: dziś odpływam na niej.
Anulka wstała, śniadanie zrobiła,
i jeszcze na łódź mnie odprowadziła.*

Żegnamy się z flisakami na zawsze, bo już ich nigdy nie zobaczymy, a tym samym i ze starą Wełtawą. W milczeniu wiosłujemy ku Pradze po wodzie, na którą się mówi "olej", ponieważ jest stojąca. Dopiero pod Zbrasławią zaczyna znowu się toczyć. Po raz ostatni rozkoszujemy się uczuciem kołysania, gdy kajak sunie z fali na falę i jego dziób cicho szemrze. Słońce, ta wielka pigułka niebiańskich psychiatrów, jest już za Petrzynem.

W Pradze pan Leopold Danda pozwolił sobie oświadczyć, żeśmy mu zniszczyli jego najpiękniejszą kanadyjkę. Powiedział, że tak odrapanego, pokancerowanego, wyplutego, wynędzniałego i zniszczonego kajaka jeszcze nie widział. Nie my jedni pożyczaliśmy od niego sprzęt, więc już miał pewną wprawę. Zażądał od nas dodatkowo dziesięciu do rosołu rozebranych dziewcząt z artystycznego kalendarza "Playboya". Wybałuszyłem na niego oczy, kiedy sobie zażyczył:

- Powinny to być blondynki, ale wezmę i rude.

Tak więc zacząłem po Pradze latać za tymi lekkimi kobietkami z papieru. Długi Honza obarczył tym mnie. Sam miał zupełnie inne kłopoty. Chodził w tym czasie z ową rudą dziewczyną z niewielkiego białego namiotu.

Łodzią podwodną na ryby

Pragnąłem przynajmniej raz w życiu wypuścić się na ryby gdzieś na wielkie rzeki, na olbrzymie jeziora czy też na jakieś morze, które jest wielkie chociażby dlatego, że to morze. Długo mi się nie udawało. Łowiłem co prawda na amerykańskim jeziorze Lake Michigan pod Chicago, ale trafiały mi się tylko małe okonie, łapałem w Dniestrze szczupaki, ale też nie były o wiele większe. Człowiek musi wldocznie zaznajomić się z krajem, poznać zwyczaje ryb i musi mieć czas i pieniądze, żeby móc sobie pojechać lub polecieć na duże ryby gdzieś daleko, choćby i tysiące kilometrów.

Dopiero w Polsce zaświtała mi nadzieja, że sobie połowię na morzu. Polska admiralicja zaprosiła mnie na wojenną łódź podwodną. Przyjąłem zaproszenie z radością, choć nie miałem pojęcia, jak to wszystko będzie wyglądać, a w dodatku zupełnie się nie orientowałem, czy podczas jazdy łodzią podwodną można łowić ryby. Szykując się na tę podwodną podróż zapakowałem w pierwszym rzędzie swoją kłusowniczą wędkę od pana Troniczka z Branika. Składała się ją z czterech krótkich kijków, które można było ukryć za pazuchą. Dziś takie składane wędki są produkowane masowo, ale wtedy to jeszcze była rzadkość. Skombinowałem też ciężkie srebrne błyszczące marki Heintz i kupę różnych brzęczków i cacek, żeby omamić morskie ryby. Z wędką pod

połą wsiadłem na motorówkę "Syrena", ozdobioną na burcie wielkim malunkiem nagiej panny morskiej z łuskami od pępka w dół.

Morze było pokryte zielonymi i niebieskimi płaszczyznami wody, większymi od placu Wacława. Morze to w ogóle największy plac świata, a życie toczy się głównie pod tym placem.

Cięliśmy wodę i pruliśmy fale, te dzieci morza, wciąż rodzące się na nowo. Młodziutki szef "Syreny", który mówił dobrze po czesku, wypatrywał łodzi podwodnej, która miała być na tej a na tej szerokości i długości geograficznej, morska panna płukała sobie w falach rybi ogon. Piersi miała piękne, twarde, lśniące lakierem i suche, bo fale ich nie dosięgały.

Czułem się bajecznie.

Szef "Syreny" poruszył się wreszcie i szybko podał mi lornetkę, żebym zobaczył łódź podwodną. Ale ja swoim niewprawnym okiem nie widziałem nic, tylko jakąś kreseczkę na widnokregu, która mi się wydała czymś w rodzaju małego wieloryba w bałwanistych pieluszkach, tak jak je widywałem na filmach. Wszyscy jednak skwapliwie przytakiwali, że to jest ta łódź podwodna. Zmierzaaliśmy ku niej. Urosła do rozmiarów osiemdziesięciu metrów i przypominała wielkie reklamowe cygaro marki abadia. Górę miała szaroniebieską, a brzuch zielony.

Powitał mnie sam kapitan łodzi podwodnej "Sęp", Czesław Obrębski. Zaraz też prask! prask! odskoczyła ogromna pokrywka i z wnętrza łodzi jak w bajce Puszkina wypadli dzielni junacy.

Kompania honorowa, w lewo patrz!

Witano mnie jak generała z sąsiedniego kraju, w którym najgłówniejsze morze to Rożmberski Staw. A przecież bytem człowieczkiem, który nic nie znaczył i w dodatku przemycił za pazuchą kłusowniczą wędkę od Troniczka, pragnąc nią uszczuplić zasoby rybne Bałtyku.

Kapitan Czesław Obrębski, jak większość cudzoziemców, z miejsca opowiedział mi wszystko o Czechosłowacji. Przez jakiś czas chodził z Czeską, ale się na niej zawiódł. Kolekcjonuje czeskie znaczki i na nich się nie zawodzi. Po nich widać kulturę Czechów. Te znaczki są zwierciadłem, które mówi: Jesteście najpiękniejsze na świecie. Opowiada mi b znaczku z Kleopatą, która się rozkosznie pręży ha zielonej sofie. Znaczka nie znam, znalazłem jedną Kleopatę na naszej ulicy, było to ziółko że ho-ho!

Potem mi kapitan opowiadał jeszcze o innych znaczkach, a jego łódź podwodna płynęła w stronę Szwecji. Szwecja ma znaczki o wiele skromniejsze.

Następnie oprowadził mnie po swojej łodzi podwodnej od dzioba do rufy. Był tam również jakiś admirał, pewnie na inspekcji, nazywał się chyba Romanowski. Obrębski miał trzydzieści lat, a Romanowski dwa razy tyle. Wyglądał na hodowcę królików. Przeważnie milczał, nie czuł potrzeby opowiadania o czymkolwiek. Człowiek jest przyzwyczajony, że większość ludzi z miejsca chce innym, czymś zaimponować - swoim krasomównem, samochodami, zarobkami, willami, tytułami i stanowiskami oraz odznaczeniami, erudycją i kulturą, a także znajomościami i wpływami albo choćby swoimi psami. Pan Romanowski to najwidoczniej biurowy gryziپیórek, z którego w drodze kolejnych awansów i protekcji, zrobiono admirała.

Pan Obrębski pochwalił się przede mną doskonale zgraną załogą. W ciągu sześćdziesięciu sekund załoga znika i łódź podwodna się zanurza. Na wodzie płynęła z szybkością czterdziestu kilometrów, pod wodą płynie o połowę wolniej. Kiedyś "Sęp" był najnowocześniejszą łodzią podwodną na świecie. Holandia przed wojną zbudowała ją dla Polski za dziewięć milionów dolarów. Działo i szybkostrzelne karabiny maszynowe. Peryskopy. Telefony. Rakietnice. Łódź ma dziesięć torped. Zasięg w promieniu pięciu kilometrów - murowany. Na samym dole pracują cicho marynarze. Stoją rozebrani do pasa jak górnicy w ciepłych pokładach. Mają tu różne maskotki, misie z różowymi pyszczkami i laleczki w różowych sukieneczkach i bucikach. Gdyby tu umierali - czy bawiliby się nimi? I przypięte fotografie ponętnych babek - czy przyciskaliby je do piersi? Śmierć w łodzi podwodnej to podobno śmierć najstraszniejsza. Gorsza niż w płonącym samolocie czy pod gąsienicami czołgu. Trafiona łódź podwodna opada często na dno i już nie może się unieść. Wypływa tylko kilka osób, które się wystrzelują jako torpedy. Pozostali całymi godzinami czekają i czekają, póki nie wyczerpie się do ostatka powietrze i ci, którzy mają słabsze płuca, nie umrą. Na końcu umierają najsilniejsi.

Łódź podwodna dudni w głębinie. Rzy i dygoce, żelazne konie galopują. Ma się uczucie, że to wielki samolot sunie pod wodą. Ale uczucie o wiele bardziej przygnębiające. Mam nad sobą ciśnienie tysiąca metrów sześciennych, które przytłacza mi duszę.

Próbuję o tym nie myśleć. Miejsca jest tu mało, wykorzystuje się je do maksimum. Łóżka wysuwa się na noc ze ścian i potem wiszą na łańcuchach. Stół do posiłków opuszcza się z sufitu. A kiedy się opuści:

- Proszę panów, obiad przygotowany!

Siadamy do stołu na niebieskich kanapkach. Siedzę między Obrębskim i Romanowskim. Kuchenka jest mała, gorących dań tu się nie robi. Zimna zupa owocowa. Kielbasa. Szyunka. Pan Romanowski dolewa mi herbaty angielskiej. Pyta, czy byłem żołnierzem.

Jasne, że byłem, panie Romanowski. Nie podczas wojny, bo byłem za smarkaty. Ale byłem żołnierzem po wojnie. Wygrałem nawet konkurs patroli w górach orlickich. Czołgaliśmy się na torze przeszkód. I strzelano do nas. Ze ślepaków. Spaliśmy na śniegu bez namiotów. Cholernie było ciężko, Trara-rara-bum. Tatuś mi kiedyś przysłał do koszar wędkę, toteż chodziłem na pstrągi. Wie pan, panie Romanowski, mój tatuś hoduje króliki. Szynszyle, zna pan tę rasę, no nie?

Pan Romanowski kręci głową, że nie zna, ale słucha z uwagą. Dolewa mi herbaty, po czym prosi, żebym mu coś powiedział o kościele w Kutnej Horze, widział go na obrazku.

Oświadczyłem mu, że jest to kościół bardzo piękny. Klejnot. Nic więcej nie umiałem powiedzieć.

Pan Romanowski uśmiechnął się, a ja po raz pierwszy przyjrzałem się jego oczom. Zobaczyłem w nich wielkie zmęczenie, jak gdyby cały świat na piechotę obszedł i w tej swojej drodze cierpiał bardziej niż Chrystus Nazareński. Chyba nie był hodowcą królików.

Zaraz potem kapitan Obrębski zapytał mnie, czy mam jakieś życzenie.

- Mam ze sobą wędkę i chętnie bym złowił parę morskich ryb.

Kiwnął głową, powiedział coś o Szwecji i że właśnie w tamtej okolicy będę mógł zarzucić wędkę:

- Kiedy będziemy zbliżali się do Szwecji, zatrzymamy się i pan spróbuje coś złapać na swój *rybarsky prut*.

Łódź podwodna płynęła jeszcze z godzinę, po czym zatrzymała się. Wyszedłem na dziób. Dmuchał lekki wietrzyk marszcząc toń, co bardzo sprzyja łowieniu na błyszczkę. Zamiast poręczy była stalowa lina, toteż byłem spokojny, że nie wpadnę do morza. Z daleka obserwowali mnie żołnierze i oficerowie. Poskręcałem części wędziska, po czym przytwierdziłem do żyłki błyszczkowego Heintza z ołowiem, żeby błyszczka poszła głęboko pod wodę. W duchu się modliłem, żeby jaka kolorowa bestia dała się na ten błyszcz nabrać i żebym nie najadł się wstydu, skoro Polacy mają tak dobre mniemanie o naszych znaczkach i o kościele Świętej Barbary w Kutnej Horze. Zarzuciłem błyszcz w bezmiar błękitu. Igrałem z nim poruszając wędziskiem, pozwoliłem mu opadać i wznosić się, gwałtownie go podciągałem kołowrotkiem z myślą o rybach szybkich jak błyskawice, to znów nawijałem wolno dla leniwych rybich pielgrzymów. Nurzałem błyszcz w topieli dziesięć, sto razy. Wymieniłem go na inny. Potem zakładałem jeszcze inne błyszczki. Zwariowane, amerykańskie. Dokładnie odrobione imitacje francuskie. Lekkie jak puch błyszczki japońskie z urokliwymi piórkami czajek. Łódź podwodna czekała. Polacy milczeli. Raz tylko spostrzegłem, jak za błyszczką sunie wielki ciemny cień, ale ta ryba pewnie chciała się tylko przyjrzeć, co to za głupie świecidełko tam pływa. Po pół godzinie zwinąłem kramik. Polacy machali ręką, że nie szkodzi, widocznie tutaj ryb nie ma.

Ruszyliśmy z powrotem do Polski. Dobrych parę godzin płynęliśmy na powierzchni. Staliśmy na dziobie milcząc. Bałtyk był ciemny i zimny. Wokół spokój i cisza.

W pewnym momencie silniki przestały pracować i zaraz na pokład wyszedł marynarz barczysty jak bokser, w rękę niósł żelazną kulę, z której się dymiło. Zamachnął się i cisnął ją daleko za łódź. Po chwili rozległ się wybuch. Marynarze zaczęli wsiadać do małego pontonu. Wzięli ze sobą kasar i jakiś taki koszyk, chyba na bieliznę. Wkrótce na powierzchni zjawiły się pierwsze ryby. Przewracały się do góry brzuchem i płynęły w śmiertelnych skurczach. Marynarze nabierali je kasarem i kładli do tego kosza. Na powierzchnię wypływały coraz to nowe ryby, wiele z nich przypominało barwą różowe i fiołkowe kwiaty albo nawet dziwaczne kielichy orchidei. Były piękne, ale już umierały. Nie o to mi przecież chodziło, o niczym takim nie myślałem. Wydawało mi się, że widzę tam również morskie koniki w ich kościanych pancerzach, które były już osiodłane i miały się właśnie wypuścić gdzieś na wędrówkę.

Marynarze postawili mi u stóp pełen kosz, a bokser zapytał:

- Jest pan zadowolony?

Kiwnąłem głową, ale na kosz nie mogłem nawet patrzeć. Czegoś się bałem, sam nie wiedziałem czego. Pewnie się bałem oczu ryb, jakich nigdy przedtem nie widziałem, pewnie się bałem, żeby któraś z nich nie spojrzała na mnie oczami ludzkimi. A może bałem się tych morskich koników, które mogłyby zarzeć jak prawdziwe konie, zanim je człowiek zdąży zastrzelić albo zabić kulistą bombą.

Płynęliśmy, robiło się ciemno, w oddali migotały światła morskiego wybrzeża. Gdzieś z tyłu brzdąkał na gitarze marynarz Rudolf, Francuz. Chłopcy śpiewali o ciężkiej pracy na łodzi podwodnej i o tym, że już okręt powraca do rodzinnego portu.

Znowu przesiadłem się na motorówkę "Syrena", a ze mną ryby, tymczasem "Sęp" oddalił się do portu wojskowego, gdzie wpłynął po odpaleniu zielonych sygnałów świetlnych.

Szef "Syreny" zapytał mnie po czesku:

- Był jeszcze ktoś na "Sępie"?

- Niejaki pan Bolesław Romanowski.

- Pan widział Romanowskiego ? Rozmawiał z nim pan? No, to ma pan szczęście!

- Czemu?

- To długa historia. Cała Polska już była zajęta przez Niemców, a on wciąż walczył. Podczas drugiej wojny światowej był niewątpliwie najmężniejszym dowódcą łodzi podwodnej. Kiedy mu faszyci zatopili "Jastrzębia", ciężko ranny wypłynął na powierzchnię z polską flagą i tą flagą marynarze go obwiązali, żeby zatamować krew. Potem pływał na łodzi podwodnej "Dzik". Zatopił dziewiętnaście faszystowskich okrętów, na których było w sumie trzydzieści sześć tysięcy żołnierzy.

Szef "Syreny" zamilkł, a mnie się przypomniało, że Romanowski pytał mnie o Kutną Horę. I wpadła mi do głowy szalona myśl: Taka ilość zatopionego wojska to tyle co ludność dwu Kutnych Hor.

Szef "Syreny" ciągnął dalej:

- Wie pan, o nim śpiewają piosenki.

I zaczął nucić coś w tym rodzaju:

*Cały okręt się śmieje, że go Dzikiem nazywają,
lecz tego Dzika bez przerwy ostre płomienie smagają.*

Milczałem. Który to już raz pomyliłem się w życiu. Najwspanialszy ludzie są zawsze najskromniejsi. Jedynie głupcy i ubodzy duchem czują potrzebę mówienia o sobie, żeby urosnąć we własnych oczach. Choćby taki Romanowski, a ja tu mu opowiadałem, jak to bohatercko czołgałem się po torze przeszkód pod ogniem ślepaków. No, to się pewnie w duchu ze mnie uśmieł...

Jak tylko pojedę do Kutnej Hory, ze wszystkich stron obfotografuję dla niego ten kościół.

Wysiadłem z motorówki na molo, facet z "Syreny" krzyknął za mną:

- Ma pan tu ryby, których pan nałapał!

Udałem, że nie słyszę, i biegiem puściłem się przed siebie. Podczas tego biegu pomyślałem i o jeziorze Michigan, i o Dnieprze, gdzie się podobnie skompromitowałem. Tylko że nie aż tak jak na łodzi podwodnej "Sęp", która teraz w porcie miga światłami. Może w przyszłości będę miał więcej szczęścia na tej błękitnej wydmie świata, jaką jest morze. Rzucę wówczas do wody boję i zatknę na niej swoją flagę. Z jednej strony będzie biała jak księżyc, który zapada do morza i bez reszty się w nim mieści, a z drugiej strony będzie złota jak słońce, które się z morza wylania. I będzie na tej fladze namalowana ryba. Ta ryba będzie osobliwego ciemnoczerwonego koloru jak Kleopatra na zielonej sofie. A oczy będzie mieć z tęczy.

Palamidy

Byłem znowu nad morzem, tym razem na samym południu Europy. Nad morzem, które nie wiadomo dlaczego nazywa się Czarne, mimo że jest lazurowe jak większość mórz. Miałem już za żonę Wierę, była ładna, figurą przypominała modelkę, a ja ją kochałem. Dała mi syna, z którego wyrośnie rybak. Co do syna nie myślę się. Bo najpiękniejsze u Wiery było to, że lubiła jeść ryby we dnie i w nocy. Przecież to największe szczęście, jakie może spotkać rybaka. Żona mu nie wymyśla, że stale siedzi nad wodą, a wręcz odwrotnie, jeszcze go budzi, żeby się nie lenił i wcześniej wstawał. A zamiast skarpetek i chusteczek dawała mi na Gwiazdkę błyszczące i haczyki, które do niczego się nie nadawały, no bo się na tym nie znała.

Tak więc nad Morze Czarne poleciliśmy razem przez góry i doły w małym samolocie, który trzymał się w powietrzu na słowo honoru, zwłaszcza gdy dmuchnął wiatr i wzburzyło się morze.

Na lazurowym wybrzeżu czuliśmy się fantastycznie. Mieliśmy pokoik, a w nim cała jedna ściana była ze szkła i przez tę ścianę widziało się prostokąt morza. Czytaliśmy sobie piękne opowiadania Karola Czapka i Antoniego Czechowa, a kiedy nas znużyły postacie z tych opowiadań, zbiegaliśmy z marmurowych schodów i rzucaliśmy się w fale.

Za każdym razem wypływałem wówczas daleko, aż tam gdzie kończyły się wody terytorialne. Nurkowałem w każdą nadpływającą falę, mijałem ją spodem i wynurzałem się z drugiej strony. Czulem pod sobą wielką głębię, ogarniał mnie strach, ale przewycięzałem go. Czulem się wolny jak ryba. Z brzegu obserwowali mnie przez lornetki ratownicy, marynarze i rybacy Asen, Jakim i Waska. Ściągali na wodę motorówkę, dopędzali mnie, wymyślali mi ile wlezie i zawsze kończyło się na tym, że wieczorem w knajpcie u Akima fundowałem im butelczynę. Nigdy nie pozwolili mi płynąć tak daleko, że mógłbym osłabnąć i opaść na dno.

Przez trzy tygodnie figlarze ci obiecywali mi, że wezmą mnie na drapieżne ryby daleko w morze. Trzy tygodnie przeszły i mieliśmy nazajutrz odlatywać z powrotem do domu tym samym samolotkiem, co ledwo- ledwo przeleciał Alpy Transylwańskie.

Dzień ten przeżyliśmy pięknie, jak gdyby nie miał się już nigdy powtórzyć. Kapaliśmy się z Wierą w słonym morzu, po czym braliśmy natryski w słodkiej wodzie. Zarzucałem z brzegu wędkę i na kawałki wołowiny łowiłem trzycentymetrowe okoniki. Miała z nich uciechę dzieciarnia, której wpuszczałem je do butelek. Pod

wieczór słuchaliśmy cykad, tego ich dzz-dzz-dzz, i podczas przechadzki po nabrzeżu kradliśmy migdały prosto z drzewa, na które nas podsadził jakiś milicjant.

Wieczorem poszliśmy tańczyć do Akima na zaproszenie naszych rybaków. Parkiet był tam malutki, ale było fantastycznie, bo od bliskiego morza dmuchał wiaterek, podwiewał kobietom jedwabne sukienki, igrał sobie)z nimi, a one się śmiały uszczęśliwione. Asen, Jakim i Waska wzięli moją żonę w kółeczko, a ja sobie w duchu mówiłem, że to naprawdę piękne, bo wreszcie tańczy z chłopami na sto dwa.

Nie byli to faceci przy forsie, a jeden z nich powoli umierał, bo miał leukemię. Ale tego wieczora zgotowali nam prawdziwie królewską gościnę. Całe popołudnie łowili i odrywali z dna jadalne małże, które przyprawili specjalnym sosem i skropili cytryną. Na stole były również wysmukłe butelki wina i srebrzyste chrupkie rybki, coś jak nasze ślize, które się jadło razem z ośmi. A kiedy było już po północy i księżyc stanął nad morzem na warcie, powiedzieli mi, że wcześniej rano popłyniemy na drapieżne ryby. I zapytali, czy będę w stanie tak wcześniej się zerwać.

Kiwnąłem głową, ale nie byłem taki całkiem pewny. Toteż na pół pijany postanowiłem przeczekać resztę nocy. Wiera spała w hotelu, a ja na piaszczystym brzegu siedziałem na rozsychnącej się beczce i czekałem na rybaków. Byłem głodny. Miałem ochotę iść do swojej żony i ponarzekać przed nią, jak się wyżyła większość mężów. Ale wiedziałem, że nie wolno mi przegapić okazji takiego połowu, bo może się już więcej nie powtórzyć.

Dwa razy spadałem z tej beczki i dwa razy na nią z powrotem włożyłem. Wreszcie zobaczyłem, jak z morza wychodzi słońce. Morze drżało, a z jego wody wyłaniała się płonąca oranżowa piłka, jaką grają w nogę szatani. Oranżowa piłka rosła w wielką kulę, którą wiązała z morzem jakaś mocna pępowina, wreszcie słońce oderwało się od fal i wypłynęło na niebo. Narodził się dzień. Przyszedł Asen. Dźwigał ciężkie wiosła, przyniósł też pęk żyłek z haczykami. Ale były to małe haczyki na małe rybki. Byłem zawiedziony. Takiej frajdy to już parę razy zaznałem. Zepchnęliśmy łódź na wodę i powiosłowaliśmy do Zatoki Małży. Asen był w świetnym humorze. Opuścił kotwicę i rozpakował żyłki. Jedną mi podał, na haczyk nadział galaretowatego raczka. Sobie przysposobił podobną wędkę i zarzucił. Gdy tylko żyłka zadrżała, wyciągnął srebrną rybkę. Ja wyciągnąłem okonika w ciemnoczerwonej grenadierskiej kapotce. Wyciągaliśmy rybkę za rybką, ale żadna do niczego się nie nadawała. Bułgaria stale wyprzedzała Czechosłowację o dziesięć rybek. Był to połów dla dzieciarni.

A że morze kołysało, zrobiło mi się nagle niedobrze, widnokrąg zamienił się miejscem z morzem, a ja zacząłem zwracać. Trzewia mi się ścisnęły i osunąłem się na wznak, zupełnie jakbym umierał. I słyszałem, jak ktoś do mnie mówi:

- To morska choroba.

Powoli wszystko wracało na swoje miejsce, ale nie bardzo wiedziałem, jak to długo trwało. Ciągle jeszcze czułem odór morza, zgniłych ryb i zaśmierdłych małży. W pewnym momencie zobaczyłem, jak zbliża się do nas cicho łódź motorowa barwy nieba, siedzą w niej Akim i Waska i śmieją się, że zmylili strażę przybrzeżną i że dopiero teraz zacznie się połów drapieżnych ryb. Przelazłem na czworakach do błękitnej łodzi i już rozumiałem, że połów drobnych rybek to był tylko kamuflaż. Zaskoczył wielki silnik i rozległ się tętent koni mechanicznych.

- Tutaj, daleko od brzegu, gdzie już widziało się niemal wybrzeże Turcji, wszystko się naraz zmieniło. Morze, niebo, wiatr. Morze się nie wściekało, chmury odpłynęły i dmuchał już tylko wietrzyk. Tutaj gdzieś musiały być:

DRAPIEŻNE RYBY.

Były to palamidy. Nie mogliśmy ich znaleźć, w tych czasach to była tutaj rzadkość. Waska szykował długą i grubą żyłkę nylonową, od której odchodziły dziesiątki żyłek cieńszych, z haczykami. Żyłka nylonowa musiała być biała jak śnieg, innych kolorów rybacy nie uznawali. Na każdym haczyku było piórko jak na kapeluszu. I gdy je ciągnęła woda, białe piórka wyobrażały jak gdyby błysk srebrnych rybek dla żarłocznych palamid. Aranżowały sytuację, w jakiej nawet człowiek rzuca się na forszę, bo go dźga w oczy swoim błyskiem. Jeszcze z godzinę płynęliśmy na południe, kiedyśmy wreszcie je wypatrzyli. Rzuciła nam się w oczy ogromna chmara mew. A kiedy podpłynęliśmy bliżej, ujrzeliśmy ogromną przestrzeń gotującej się wody. Z tego ukropu wylatywały w powietrze malutkie srebrne rybki, w wodzie roily się stalowe palamidy, a nad wodą mewy. Najwidoczniej rybki podróżowały milionową ławicą tuż pod powierzchnią morza i napadły je gromady palamid jak zgraja wędrownych rozbójników. Rybki wyskakiwały w powietrze, gdzie czekała na nie śmierć w postaci mew. Ptaki schodziły za rybką nad wodę i pod wodę, a rozjuszone palamidy, wielkie jak szczupaki rzeczne, szarpały je za piórka. Była to Sodomia i Gomora minutowej tragedii. Stałem na równe nogi i przyglądałem się akcji. Waska krzyknął mi rozkazująco:

- Na co czekasz?!

Żyłka rozwinęła się z łodzi jak proporzec. Piórka i haczyki ostre jak brzytwy były już w pogotowiu. Do tej chwili palamidy rozsiewały śmierć, teraz śmierć przyszła po nie. Błękitna łódź prula w sam środek pola walki. Mocno trzymałem koniec żyłki, woda stale się gotowała. Łódź tę przestrzeń niemiłosiernie rozciąła, mewy z krzykiem wleciały, morze skłębiło się od fal, ale palamidy pod nami nieprzerwanie polowały z krwiożerczą zaciekłością w ślepiach. Poczułem w rękach pierwsze szarpnięcie, zupełnie jakby się z jadącego samochodu schwyciło na lasso gęs. I zaraz drugie. Przestałem je liczyć. Motorówka sunęła wciąż przed siebie i, w miarę jak przybywało ryb na wędce, robiło mi się w rękach coraz ciężej. I nagle zdałem sobie sprawę, że płacząc ze szczęścia, no bo po raz pierwszy w życiu łapałem drapieżne morskie ryby.

Wędka już nie wlokła się za łodzią. Zwisiała prostopadle w sonej głębi. Przechyliłem się przez burtę i z trudem zacząłem ją wyciągać. I w tym momencie ujrzałem w przejrzystej wodzie żyłkę obwieszoną jak świąteczna choinka samymi srebrnymi ozdobami i było to pewnie jeszcze bardziej niezwykle niż świąteczna choinka, bo palamidy w tym szczególnym lazurze tańczyły na haczykach swój ostatni taniec życia. Zegnały się z ojczyzną, w której się urodziły i żyły.

Wciągałem je przez krawędź burty. Wybałuszały miedziane ślepia i chlastały pięknymi aerodynamicznymi korpusami, które w wodzie musiały mieć szybkość błyskawicy. Ich ogonowe płetwy, oddzielone wąskim przesmykiem od reszty ciała, przypominały ogony najnowocześniejszych samolotów. Jedna z nich ugryzła mnie czy obtarła skórę na nodze, ciekła mi krew. Klęczałem w motorówce umazany ich i własną krwią i pokryty tysiącem kryształków soli jak prawdziwy morski rybak. Za jednym zamachem złowiłem ich równo tuzin. Należały do mnie.

Przypłynęliśmy z powrotem i wyciągnęliśmy na brzeg błękitną motorówkę. Plaża jeszcze spała. Pożegnałem się z rybakami, a zwłaszcza z Asenem, który miał leukemię. Już ich więcej nie zobaczę.

Wbiegłem po schodach do hotelu jak rybak, co złapał złotą rybkę, która spełni wszystkie jego życzenia.

Wiera jeszcze spała, zmęczyło ją to życie, co już było za nią, i spała na zapas, żeby mieć siły do życia, które ją czeka. Jak gdyby dla kobiety nigdy nie było za dużo snu. Rozłożyłem palamidy na papierze, przez szklaną ścianę po raz ostatni świeciło na nie słońce, słońce, które całymi latami je żywiło i dodawało im siły. Byłem niecierpliwym jak każdy rybak, który wraca z obfitym połowem. Pocałowałem ją w czoło. Otworzyła powieki i ujrzała przy swoim łóżku ten przedranny połów.

Powiedziała:

- Piękne ryby. Wyglądają jak słoneczne promienie.

Uśmiechnęła się do mnie, przyjąłem to jako nagrodę. Oczy jej się zamknęły i spała dalej, Zza szklanej ściany usypiała ją kołyska morza.

Co do ryb miałem swój plan. Chciałem być aż do końca rybakiem. Nie chciałem nikomu tych palamid dawać, bo nikt by nie mógł zasłużyć sobie na taki podarunek. Zabrałem je i pojechałem z nimi na targ pachnący morskimi rybami i rybami. Wypatrzyłem tam pusty stolik i rozłożyłem na nim swoje palamidy. Postąpiłem jak rybak, który nie zadowala się łowieniem ryb, ale musi je również sprzedać, żeby mieć na chleb, masło i sól. Równiutko je poukładałem, wytarłem szmatką i czekałem na klientów. Tamtejsze kobiety wiedziały, że palamidy są bardzo smaczne, więc rozebrały je w kilka minut.

Sypały mi lewy na drewnianą miseczkę, którą wziąłem do kieszeni z pokoju.

Po moim powrocie Wiera już była ubrana. Wysypałem jej do rąk srebrne monety z miseczki. Roześmiała się. Wszystko zrozumiała. Kupiła za nie słomianą matę na ścianę w naszym pokoju.

Czasem siadam przed tą matą na bujaku i zdaje mi się, że płynę błękitną łodzią. Widzę przed sobą drapieżne palamidy z krwawymi ślepiami, jak atakują srebrne rybki. Rybki w świetle lampy wyskakują w powietrze, a z góry na nie nalatują miłujące pokój mewy, które chodzimy karmić bułką pod Teatr Narodowy w okresie, gdy jest jeszcze zimno i odczuwamy potrzebę zagrzania zziębniętych serc dobrym uczynkiem.

Powroty

Pumperdentlich

Strasznie mój tatuś zestarzał się w swojej wędrówce przez świat, widać było to i po rybach. Nic, tylko się upierał, że musi złapać wielką rybę swojego życia. Ale z wielkimi rybami nie idzie tak łatwo. Na cienki dzyndzel biorą, ale takie coś zaraz pęka, a na gruby przeważnie nie biorą. No i nic z tego na ogół nie wychodzi, jak to w życiu:

czego bardzo chcemy - tego nigdy nie mamy.

Koło Skochowic przy tamie chyba z pięć razy, brały tatusiowi sumy. Jeden to nawet ciągnął go razem z łódką na długość boiska piłki nożnej. I w końcu się zerwał jak i poprzednie.

Wreszcie jednego tatuś wyciągnął. Tak na oko miał z pięć kilo. Sum z wąsikami i zagadkowymi maciupęnkimi ślipkami. Wyglądał jak czarny prosiaczek. W pierwszej chwili tato strasznie się ucieszył. Ale zaraz zdał sobie sprawę, że to przecież nie jest to, nie o takiego suma mu chodziło, i kiedy nam go pokazywał, powiedział o nim:

- To jest pumperdentlich.

Tatuś nigdy dokładnie nie wiedział, co to słowo znaczy, ale z lubością się nim posługiwał. Jest to podobno coś takiego, jakby szła piękna dama w sukni balowej lub fantastycznym futrze i wszystkim gały na wierzch wychodzą, a ona naraz wdepnie w gówno. Cóż, był to piękny sum, jak ta dama w czarnej balowej sukni, ale niestety nie był to sum wielki.

Tatuś go wrzucił do naszej studzienki pod brzozą, ale nie powinien był tego robić. Bo zaraz potem wypuścił się do gospody Hartmanów, żeby oznajmić światu, że złowił suma. Już od dłuższego czasu szło mu przecież o podtrzymanie swojego prestiżu.

U Hartmanów było pełno i humor wszystkim dopisywał. Tatuś poprosił przy barze o papierosy i jakby od niechcienia rzucił między wierszami:

- No, złowiłem suma.

- Ile ma?

Tatuś naturalnie spodziewał się tego pytania. Toteż powiedział to samo co w domu:

- To pumperdentlich.

I wyobraził sobie damę w sukni balowej, jak na chodniku wyciera gówno z obcasów papierem. Tylko że szynkarz nie miał wyobraźni i był nieczuły na jakiegokolwiek ciekawe słowa. Więc niecierpliwie powtórzył:

- Ile ma ten sum?

- Dwadzieścia - odparł tatuś.

Nie było to mało, ale też nie tak znowu dużo, ot w sam raz, żeby wzbudzić szacunek. Toteż zaraz usiadł i zamówił jeden głębszy wiśniak, jedyny trunek, który czasem pijał. Po pierwsze, było to słodkie jak ulepek, a za takimi rzeczami przepadał, a po wtóre, przypominało mu to wisienkę za szkołą w jego rodzinnym Busztegradzie, gdzie jako wyrostek chodził kraść wiśnie. Popijał sobie ten wiśniak i wsłuchiwał się w krzyki szpaków, które klęły przed odlotem, że muszą zostawić drzewa chłopakom, słyszał też głos wieśniaka, który biegł do nich ze wzniesionym kijem. W gospodzie Hartmanów, tej sławetnej gospodzie wędkarzy i letników, wieść o dwudziestokilowym sumie rozniosła się piorunem. A że bywalcy musieli wyjść się odlać, a chcieli też pooddychać świeżym powietrzem, przypadła wszystkim do gustu propozycja kogoś mniej zaprawionego, żeby iść tego suma obejrzyć.

Tatuś nie mógł się sprzeciwić, bo byli to przeważnie zawołani rybacy, którzy na własne oczy chcieli się przekonać o tym, co usłyszeli. Zaczął szybko kombinować, czyby nie postawić im po małym piwie, tak zwanym szczeniaku, ale zaraz się okazało, że nie tylko szczeniak, nawet wielki bernardyn z krwawymi ślepami nie zatrzymałby ich. Na glinianych nogach opuścili gospodę, po czym z rykiem i śpiewem ruszyli do naszego domu "Herminia", żeby zmierzyć i zważyć tego suma z gatunku wielkich. Tatuś osowiale szedł za nimi, a oni, Bóg raczy wiedzieć czemu, wyśpiewywali piosenkę o rzeźnikach:

Nie ma lepszych rzemieślników niż rzeźnicki stan:

z łóżka hops! i już przy ladzie, piją piwa dzban.

W domku przywitała delegację nasza drobniotka mama Herminia. Z miejsca zrozumiała, w czym rzecz, ponieważ swojego męża znalazła już doskonale, wystarczająco długo żyła z nim we wspólnym stadle. N o i

poniważ z tyłu tatuś do niej wściekle gestykulował, żeby coś wykombinowała. Jeden z rybaków, niejaki Duszek, czknął i przemówił:

- Łaskawa pani, przyszedliśmy się popatrzeć na tego suma, co' złapał pani mężulek.

Po czym uklonił się. Mamusia błyskawicznie zorientowała się, że nie są jeszcze w takim stanie, by można było im pokazywać suma, więc czym prędzej poprosiła ich do stołów w domku i na werandzie. Nie trzeba było ich długo namawiać. Przyniosła im wszystko, co tylko mieliśmy w domu.

Węgierskie salami, marynowane ryby, kielbasę szynkową, kielbasę z koniny, otwierała konserwy i butelki z winem oraz inne alkohole. Pomagałem jej obsługiwać gości, tatuś gdzieś się zapodział. Ten nasz domek na skale to wkrótce nie był już domek, ale statek parowy na wzburzonych falach. Kołysał się, kiwał się i wyśpiewywał:

*Pije tata, pije mama, krowa im się gzi od rana,
pije tata, piją córki, cielę ryczy już z obórki.*

Jedli i pili jeszcze chyba z godzinę, aż mama wreszcie stwierdziła, że nadszedł właściwy moment. Byli już spici, ale jeszcze nie rzygali. Teraz mogą ocenić wagę i rozmiary suma z gatunku wielkich. Dla pewności mama najpierw wyszła na dwór z Duszkim, który miał wśród rybaków autorytet, i coś mu tam szeptała. Duszek na to powiedział:

- Łaskawa pani, na mnie może pani z całą pewnością polegać.

Zanim pijana kompania dotarła do studzienki pod brzozą, przydreptał skądś również pobladły tatuś. Duszek długo wpatrywał się w głęb studzienki przytrzymując się blaszanej pokrywy, żeby nie wpaść do środka. Po chwili powiedział:

- Jeśli weźmiemy pod uwagę, że woda pomniejsza, to ten sum musi mieć dobre dwadzieścia parę kilo.

Pozostali również wpatrywali się w wodę. Po takich słowach nikt już nie odważył się powątpiewać. Albo tego suma w ogóle nie widzieli na dnie, albo go widzieć wcale nie chcieli. Tylko kurdupłowaty Peterka wszystko jak gdyby popsuł, bo był już tak pijany, że mówił to, co widział. Zajrzał do studzienki i wykrzyknął:

- Jeju, ale toto małe! Ja mu dam bużki!

Po czym szybko rozebrał się do majtek i chciał wleźć do studzienki jak do łóżka. Odciągnięto go na bok. Kompania śpiewając wróciła do gospody Hartmanów i tylko tatuś pozostał. Skwapliwie pomagał sprzątać brudne naczynia, czego kiedy indziej nigdy nie robił. A mamusia mu nie powiedziała słowa, bo wiedziała, że to6 by się i tak już na nic nie zdało. Wkrótce po Skochowicach się rozniosło, że ten tatusiowy sum miał pięćdziesiąt kilo. Widocznie w naszej studziencie tak przybrał na wadze.

Mnie cała ta historia przyniosła tę jedyną korzyść, że cokolwiek zrozumiałem znaczenie słowa pumperdentlich. To taka rzecz, co jest wspaniała, a przy tym gówno warta.

Żelazko

Również i my, bracia, trochę się zestarzeliliśmy, zaczęły nam się pokazywać pierwsze siwe włosy, a w ogóle włosy zaczęły nam z głowy znikać. Dawno minęły tamte czasy, gdyśmy baraszkowali po wodorostach za wielkim czarnym szczupakiem. Wyszumieli się braciaszkowie w młodości, pożenili się, jak to zazwyczaj się zdarza, po czym powrócili do ryb, co także się zdarza. Jak gdyby zdali sobie sprawę z chińskiego przysłowia:

Jeśli chcesz być szczęśliwy godzinę, to się upij.

Jeśli chcesz być szczęśliwy trzy dni, to się ożeń.

Jeśli chcesz być szczęśliwy całe życie, zostań rybakiem.

Ich powrót do ryb był burzliwy. Całkowicie to rozumiałem. Ich chłopięce lata przerwali faszyści.

Moi braciaszkowie Hugo i Jurek byli jeszcze chłopcami, kiedy kazano im odłożyć wędki i włączyć się w pochód śmierci. Hugo zamiast wielkiej srebrnej ryby, którą zamierzał złapać, ujrzał napis: TEREZIN. Jurek zamiast wielkiego czarnego szczupaka: OŚWIĘCIM.

I oto teraz, po wojnie, zapragnęli bracia jakoś nawiązać zerwany wątek, wrócić do zielonych lat i zasklepić przepaść, którą przed wieloma ludźmi wykopał Adolf Hitler ze swoimi esesmanami. Zapragnęli bracia rozebrać się do kąpielówek, włożyć koszulkę z krótkimi rękawami i z napisem "Biwak wiecznej młodości".

Zrobiliśmy naradę. Dogadaliśmy się, że raz w roku będziemy we trójkę jeździć na jakiś tydzień nad najpiękniejsze rzeki. Z namiotem i bez własnych czy nawet cudzych żon. Zabierzemy ze sobą sporo żarcia i morze piwa i będziemy współzawodniczyć, kto z nas przyrządzi lepsze jedzenie i nałapie więcej ryb.

Nasze żony, kiedyśmy im o tym powiedzieli, nachmurzyły się. Po czym zaraz oświadczyły, że one także gdzieś sobie pojadą, ale nie miały gdzie. Ryb nie łowiły. Na koniec oznajmiły, że bardzo im to na rękę, że się nas mogą pozbyć. I urządziły wielkie pranie i wielkie sprzątanie - porządki, oto, co kobiety najbardziej bawi. Z pewnością dlatego, że mężczyźni nie bawi to zupełnie. Mężczyźni są stworzeni do walki i łowów.

Najstarszy brat Hugo, czyli Łups, z forsą obchodzi się jak z jajkiem, bo też z nas wszystkich on jej miał zawsze najmniej. I ładował ją zawsze w sprzęt rybacki. Miał wędkę amerykańską Noris Shakespeare, które trzymał w szafie i tylko chodził na nie popatrywać. Miał też wszystkie najpiękniejsze błyszczki, porozwieszał je na zasłonkach i w ten sposób przez cały rok mieszkanie przypominało choinkę. Jurek był pies na ryby, bo lubił je jeść i lubiła je jeść jego żona Dania, toteż gdy przywiózł jej ryb, miał w domu trochę spokoju. Oboje z żoną obtaczali te ryby w bułce jak sznycle i robili z nich marynaty według przepisu od Proszków.

Na naszej pierwszej naradzie dużo mówiło się o jedzeniu. Odeszły w przeszłość czasy, gdy dziesiątki kilometrów potrafiłem przejść w Krzywoklaskim o suchym chlebie i surowych jajkach z solą. Teraz zanosilo się na duże wyzerki. Wykazy tego, co chcieliśmy zabrać ze sobą, porobiliśmy takie, jakbyśmy mieli wyprawić się na szczyt szczytów, Nanga Parbat.

W tamtych latach Łups mieszkał w Kładnie i informował nas o przygotowaniach. Zamierzaliśmy pojechać do kraju dzieciństwa, powrócić do niego i znowu być małymi chłopcami.

W sobotę wyjechaliśmy z Pragi do Kładna dwiema taksówkami, ponieważ wszystkie nasze rzeczy nie mieściły się w jednej. Pod domem Łupsa taksówkarze wyładowali: wędkę, namioty, sadz, gęś i dwie kaczki, gar kiszony kapusty, kartofle, śpiwory, kociołki, szynkę i słoninę, kielbasę z koniny, kielbasę zwyczajną, warzywa, mąkę, oleje i inne kuchenne surowce, korzenie, przyprawy i nas. Dalej mieliśmy jechać samochodem Łupsa. Miał tatrę 57, jeden z pierwszych typów malucha. Autko przypominało żelazko i tak je przezwano. Hugo tę tatrę upodobał sobie i przez szereg lat z samozaparciem odkładał na nią pieniądze. Na widok tej sterty rzeczy, które przywieźliśmy, braciszek jęknął. Całe przedpołudnie zeszło nam na pakowaniu.

i przepakowywaniu ekwipunku. Ledwośmy ruszyli, na łeb mi spadł druciany sadz. Hugo za kierownicą co jakiś czas klął:

- To tacy z was bracia? Durnie jesteście nie bracia! Przeciżyliście mi wóz!

Żelazko pojękiwało tylko pod górkę, on pojękiwał bez przerwy. Chyba po trzech godzinach dotarliśmy jakoś do "Tajnego Agenta". Widząc, jak jesteśmy obładowani, pani Frańkowa była przekonana, że chcemy u niej zamieszkać na stałe. Ryby tam jednak nie łaszczyły się na jedzenie. Postanowiliśmy jechać dalej od cywilizacji, ale nie mogliśmy się obejść bez piwa. Jurek uważał za minimum trzy skrzynki, Hugo dwie, a ja podczas tej ich kłótni wyduldałem dwa piwa beczkowe. Na koniec Jurek przeforsował cztery skrzynki piwa rakownickiego z rakiem na etykietce. Skrzynki załadowaliśmy na dach przymocowując anteną telewizyjną. Żelazko sunęło jak czołg z pierwszej wojny światowej. Był to fantastyczny wóz, który mógłby jak nic uczestniczyć w konkursie na najwolniejszy pojazd. Przejechaliśmy przez most w Skryjach i puściliśmy się pod górę środkiem miasta.

Naraz w Żelazku coś zgrzytnęło "żżż", a potem "khh", a nasz Łups wykrzyknął wniebogłosy. Staczaliśmy się do tyłu w stronę Krzywoklatu, a głównie w stronę naszej kochanej Berounki. Hugo darł się:

- Wiedziałem, że tak będzie! Zniszczyliście mój najukochańszy, mój najdroższy wóz. Ja was zakatrupię!

Nie musiał tego mówić, było jasne, że po nas wszystkich zostanie marmolada. Antena telewizyjna się oblużowała i butelki z rakiem na etykietce turlały się również do tyłu w stronę Krzywoklatu. Kiszona kapusta wysypała mi się na głowę, tak że czułem się jak gęś w bukicie z jarzyn.

Na szczęście zatrzymaliśmy się na przydrożnych słupkach.

Na nasze obozowisko w Łęgach pod Skryjami za pięćdziesiąt koron zaciągnęły nas łańcuchy krowy. Było to miejsce przepiękne.

Jurek z mety poszedł na ryby. Ja z Łupsem zabraliśmy się do popijania piwa i wpadliśmy w dobry nastrój. Hugo nie mógł się nachwalić Jurka, że wziął te cztery skrzynki piwa, chociaż przez nie wysiadło Żelazko. Gdzieś koło północy Jurek wrzasnął:

- Węgorz!

Hugo tak się zląkł, że wleciał, nieźle już zaprawiony, do wody. Tkwił po kolana w wodzie i jęczał, że się topi. Wyciągnęliśmy go na brzeg, a on nie mógł się nam podziękować, że uratowaliśmy ojca dzieciom. Jurka zmusiliśmy, żeby tego węgorza usmażył. Jurek później już żadnego węgorza nie złapał, toteż klął nas, że nie może zabrać węgorza dla swojej Dany, żeby znowu mieć w domu trochę spokoju.

Po czym przez cały ten tydzień kawalerskiej eskapady i braterskiego urlopu zapomnieliśmy o bożym świecie. Wędkowaliśmy, a przede wszystkim jedliśmy i wcale się nie myli. Mijał tydzień, przez który odnosiliśmy się do siebie, jak brat do brata odnosić się powinien.

Konkurs gotowania wygrał Jurek. Za najlepsze danie został uznany jego karp po żydowsku. Przepisu nam nie chciał zdradzić, po prostu nie i nie. Ale w nocy wygadał się przez sen:

- Kawalki karpia obtocz w mące, duś woleju z cebulą, z wywarem rybim, białym winem, czosnkiem i posiekaną nacią pietruszki, zalej sosem własnym z sardelami, marynowaną szalotką i duszonymi pieczarkami. Mniem!

Najwięcej ryb wszelakiego rodzaju nałapał Hugo.

My z Jurkiem musieliśmy wracać pociągiem.

Hugo doszedł do wniosku, że nie może Żelazka tak zostawić, jeszcze by mu je kto ukraść. Przyrzekliśmy mu, że wszystkie koszty pokryjemy wspólnie, obojętnie ile to będzie wynosiło. Ale później i tak nie daliśmy mu złamanego grosza. Wystarczająco sobie użył, a siedział tam i siedział. Po jakimś czasie napisał do fabryki, co mu tam nawaliło w aucie i we łbie. Nawyliczał tego całą masę, tak że mieli trudności ze skombinowaniem do tej bestyjki części. Kto słyszał o częściach zamiennych do takiego malucha! Fabryka, żona Ela, związki zawodowe i Bóg wie kto jeszcze bombardowali go listami pełnymi rad i wskazówek, co ma robić. Łups tych listów w ogóle nie czytał, wkładał je do pustych butelek po rumie i piwie i marzycielsko spławił w dół rzeki. Płynęły jako nie doręczona poczta pięknymi okolicami Tyrzowa, branowskich Łęgów, aż do Krzywoklatu. O nic się nie musiał starać, żarcia mu tam zostawiliśmy całą masę, jak w raj. Kupował tylko rum i piwo, rumem zaprawiał herbatę, a piwem siebie. Wędki miał tuż przy namiocie, nylonowe żyłki wyływały na wielkie głębie, pełne szczupaków. Kiedy spławik się zanurzał, wyciągał szczupaka na brzeg. Zjadał go i łowił dalej. Świat dla niego przestał właściwie istnieć. Złowił tam, łobuz, coś ze dwadzieścia pierwszorzędných szczupaków. I jeszcze by chciał, żeby pokrywać mu część kosztów!

Co dzień przechodziła tamtędy młoda listonoszka z pocztą i ucinali sobie pogaduszkę. Hocki klocki, trele morele, hi! hi! hi!, ale było to zajmujące i piękne. Gaworzyli o pogodzie, o trawie, o zamku w Tyrzowie, o prawdziwkach i trylobitach.

Aż któregoś dnia ukazała się na wzgórzu wielka ciężarówka transportująca uszkodzone samochody. Hugo zaraz tę ciężarówkę rozpoznał. Była z jego fabryki. W szoferce obok kierowcy siedziała jego żona Ela, też niezła bestyjka. Załadowali Żelazko, namiot, sprzęt rybacki, a także trylobity z dawnych czasów, które tutaj już trochę wcześniej, bo przed ponad stu laty, odkrył przed moim bratem sławny geolog i paleontolog francuski, Joachim Barrande.

Przyjeźdź, fantastycznie biorą!

Zatelefonował do mnie mój brat Hugo:

- Przyjeźdź, fantastycznie biorą!

I chociaż padało, namówiłem żonę na wyjazd do niego pod Zbeczno nad Berounkę, mimo że wiedziałem, że ryb jest tam niewiele. Na żonę, na deszcz i na wicher miałem ważki argument:

wreszcie się zdrowo powędruje i będą na kolację świeże ryby.

- Dajmy na to karpik, a może szczupak czy nawet sandacz!

Brzmiało to nadzwyczajnie. Z Vinohradów nad Berouhkę jest autem szmat drogi, a myśmy w dodatku pobłądzili. To już jest u nas regułą. Wjechaliśmy przy tym na jakąś skarpe, a za Lanamido Mysiej Dziury, która w mgłę i deszczu wyglądała, jakby się zjeżdżało z samego wierzchołka Gross Glockneru.

Długośmy jeszcze naszą szkodą przedzierali się przez różne wertepy, zanim wypatrzyliśmy letniskowy domek mojego brata. Rzecz jasna, nie zastaliśmy go. Pewnie już gdzieś tam beze mnie wyciąga z nurtów rybę za rybą. Kiedy go wreszcie odnalazłem, myślałem, że mu dam w łeb. Siedział na stołeczku i z kilku wędek naraz łowił na żyłki z ciężarkiem i kolorowymi bręczkami. Nie karpie, ale kiełbie. Sznycelki! Te małe rybki, które nadają się do akwarium. Jeść ich nie można, marynować nie można, konserw z nich także robić nie można, no a smażyć ich jako sznycelki to już w ogóle nie sposób. Więc to ma być to wspaniałe wędkowanie, na które mnie tu ściągnął i przez które o mały włos bylibyśmy zginęli w potwornej mgłę i deszczu w okolicy Lanów razem z żoną i naszymi synami, Janem, Piotrem i Jurkiem. Milczę i ogarnia mnie straszliwa wściekłość. Kolo braciaszka siedzi jakiś bezpański pies, taki ciupek, co to pewnie nie potrafi ani be, ani me, ani hau-hau i śmieje się idiotycznie i identycznie jak mój braciszek. Kiedy rybka porusza żyłką z odzywającym się natychmiast bręczkiem, pies porusza ogonkiem. Orientuje się, bestia, kiedy rybka bierze. W życiu takiego psa nie widziałem. Kota to tak, a jakże, ale psa nie. Braciszek wyciąga z wody rybkę za rybką, a co dziesiątą mu

rzuca. Pies ma ogromną uciechę, jeszcze raz rybkę wyrzuca w górę i wtedy dopiero chaps, połyka surową. Jak w cyrku! Udana para. Ciągłe jeszcze jestem wściekły, a mój braciasek niby to mnie nie widzi i w dodatku mruczy pod nosem:

- Fantastycznie się wędkuje! Fantastycznie biorą!

Co wyciągnie rybkę, to się śmieje, jest wesoły i szczęśliwy, no i pies tak samo. Długo ich obserwuję i raptem zaczynam rozumieć. Jest zadowolony, że ryba ciągle bierze, jest nad wodą, jak okiem sięgnąć, toczy się rzeka, a za rzeką jest las, a w tym lesie drą się bażanty, również ze szczęścia, i wybierają z mokrej ziemi dżdżownicę.

Przysiadam na wolnym stołku, zaczynam się śmiać i wykrzykuję do niego:

- Aleś nas nabrał Aleś nas wykołował!

Po czym mówię:

- Daj mi jedną wędkę!

I razem z nim zaczynam łowić. Sznycelki. Jeść ich nie można, marynować nie można, konserw z nich także robić nie można, no a smażyć ich jako sznycelki to już w ogóle nie sposób. Przysiadają się również moi synowie, Jan, Piotr, Jurek, i łapią kiełbiki. Jakoś nam już nie robi różnicy, że to nie są wielkie ryby. Jedyna osoba, której to będzie robić różnicę, to moja żona. Uwielbia jeść ryby gotowane po francusku albo smażone. Zwłaszcza szczupaka pieczonego w pergaminie czy karpia naszpikowanego słoninką. Co chwilę wychyla się z werandy i niecierpliwie, z nadzieją macha do nas białą chusteczką. Ale na próżno się łudzi, że dziś będą ryby. Zresztą nie pierwszy to jej zawód, odkąd ma mnie za męża. Siedzimy na stołeczkach, łowimy kiełbki i rechoczymy, bawimy się lepiej niż w wesołym miasteczku. Rybki wrzucamy z powrotem do rzeki, aby sobie żyły i weseliły się, i tylko czasem jakąś większą sztukę, która już napływała się wystarczająco w swoim mokrym świecie, rzucamy na uciechę ciapkowi, który jednak ma imię, wabi się Carda. I Carda też w uśmiechu rozdziawia pysk. Gdyby teraz ktoś tędy przechodził, powiedziałby, że z nas skończeni wariaci. I wcale by się nie pomylił.

Złodziej wędek

Nad Ohrzą zdarzyła nam się dziwna rzecz. Łowili tam z nami Waldek Freund z Podborzan i marynarz Puhony z Pragi. Ten marynarz Puhony odbywał poprzednio rejsy na naszych statkach zamorskich gdzieś aż do Osaki i Tokio i przywiózł sobie piękne japońskie wędkę. Tak się nimi cieszył, że prawie ich nie używał, trzymał je tylko przed namiotem i pokazywał każdemu, kto tamtędy przechodził. Były to rzeczywiście wspaniałe wędkę, miały zapasowe górne segmenty i czerwone wiązania przelotek, były cienkie jak promienie słoneczne wychodzące gdzieś tam z Morza Japońskiego.

Całymi godzinami siedziałem pod jego namiotem i razem z nim podróżowałem; zajmująco opowiadał mi o swoich podróżach, w dodatku oglądałem sobie przy tym te wędkę, zupełnie tak, jakby się z kimś rozmawiało słuchając jednocześnie muzyki. Wędkę te nawet mi się śniły po nocach, łapałem na nie srebrne ryby w przejrzystej błękitnej rzece. Raz zbudziłem się w środku takiego snu. Usiadłem i słuchałem, jak o parę kroków od namiotu cicho płynie rzeka. Największy urok namiotu polega właśnie na tym, że można go postawić tuż przy rzece. Wieczorem rzeka was usypia, a rano budzi. Wyjrzałem na dwór, była noc, ciemna noc. W namiocie spałem z Jurkiem - Hugo sypiał w aucie Jurek sapał, widocznie śnił mu się fantastyczny gulasz, który tego dnia przyrządził Hugo, stając się tym samym najpoważniejszym kandydatem na pierwsze miejsce w gotowaniu, które łącznie z kucharskim medalem "Za zasługi" przyznawaliśmy wspólnie pod koniec tygodnia. Jurek po prostu nie miał tak lirycznych snów jak ja.

Popatruję na rzekę i postanawiam iść rano na te wielkie klenie pod jazem, zwykle tam na kiełbika co nieco się złowiło, dwa czy trzy piękne klenie, frajda nad frajdami. Nagle patrzę - Hugo. On też chyba mnie spostrzegł. Zaczął sobie myć ręce przy samym brzegu. Póki byłem rozespany, wcale nie wydawało mi się to dziwne. Ale kiedy ocknąłem się na dobre, powiadam sobie: Co to za wyglupy po nocy? Wylazłem z namiotu i powoli idę nad rzekę w jego stronę. Kiedy dzieliło mnie od niego już tylko parę kroków, powiadam:

- Hugo, co ty tu robisz?

Mruknął coś w rodzaju:

- No wiesz...

Przy tym jakoś dziwnie się zaśmiał, po czym zaczął się przede mną cofać machając rękoma zupełnie jak kaczkę skrzydłami, kiedy ucieka przez mieliznę. W jednej chwili padło na mnie przerażenie, przypomniał mi się horoskop, który przed laty przepowiadał, że ktoś z naszej rodziny dostanie pomieszczenia zmysłów, i przyszło mi do głowy, że Hugo zwariował. Rechotał, podskakiwał i szedł na coraz głębszą wodę. Rzuciłem się do namiotu i potrząsnąłem Jurkiem.

- Jurek! Hugo zwariował. Szybko! Utopi się!

Jurek się zerwał, spał na golasa i tak pobiegł do rzeki, a ja za nim. Był jakieś trzy metry od naszego Łupsa, kiedy raptem odwrócił się do mnie i powiedział ostro, z wyrzutem w głosie:

- Przecież to nie Hugo! I W takiej chwili człowiekowi przez głowę przelatuje tysiąc myśli. Że to może złodziej, morderca, lichy wie co jeszcze. Jurek znajdował się bliżej niego niż ja, i to dobrze, bo Jurek nigdy niczego i nikogo się nie bał, zupełnie jak nasz tatuś. Nieraz widziałem, jak zwał z nóg bardziej wyrośniętych od siebie facetów, jeśli mu ubliżyli albo ubliżyli czemuś, za co dalby się pokrajać, i rozkwaszał im pięścią gęby. Więc dobrze się stało, że był w przodzie. Ja się bałem. Zbliżał się do tego faceta, a ten facet, chłop na schwał, zbudowany kubek w kubek jak Hugo, stał i czekał. Zauważyłem, że trzyma rękę pod wodą. Przejął mnie jeszcze większy strach i powiedziałem półgłosem:

- Może mieć w ręku siekiere!

Jurek zatrzymał się. Stali tak naprzeciwko siebie w rzece, jeden patrzył na drugiego, Jurek nie myślał odchodzić, żeby nie wyjść na tchórza, tamten widocznie tak samo, więc stali i milczeli. Wreszcie ten facet zrobił parę kroków do tyłu, znowu się tak jakoś dziwnie zaśmiał, po czym zanurzył się i odpłynął na drugi brzeg. Tam zaraz zniknął nam z oczu, pewnie przepadł w zaroślach.

Jurek odezwał się ze złością:

- No i wszystko do dupy!

Poszliśmy zbudzić wędkarzy. Miejsce, gdzie stały japońskie wędkę, świeciło pustką.

Następnego dnia byliśmy tak ponurzy, jak gdyby to łowienie ryb ktoś mim zbrukał, odechciało nam się wędkować i przyrządzać posiłki, jadło się jakieś tam resztki. A na drugi dzień pani Freundowa znalazła z samego rana wszystkie skradzione wędkę oparte o drzewo niedaleko namiotu. Kiedy nas zawołała, wlepiliśmy w nie oczy, jak gdyby stał się cud boski i te wędkę spadły z nieba. Patrzyłem na nie i wydawały mi się jakieś czystsze, jak gdyby ten złodziej obmył je własną skruchą i tym wszystkim, co musiał przeżyć w ciągu tej jednej doby. A kiedy im się przyjrzałem jeszcze bliżej, zobaczyłem na nich rosę; przypominała ludzkie łzy.

To nie bajeczka o szlachetnym złodzieju i moim dzielnym bracie. To prawda. Możecie o to zapytać pana Puhony, naturalnie, jeśli akurat nie odbywa rejsu do Osaki i Tokio. I możecie też przyjść do mnie obejrzeć jedną z tych japońskich wędek, pan Puhony dał mi ją na pamiątkę. Łowią nią, częściej jednak wpatruję się w nią, nastawiam sobie płytę Amerykanina Franka Sinatry z piosenką "I love Paris" i zamyślam się nad naturą ludzką. A w nocy mi się śni, że na tę japońską wędkę łapię znowu srebrne ryby w błękitnej rzece, a kompanem moim jest ten "złodziej". Chciałbym go poznać, ale do tego już nigdy nie dojdzie. Zapytałbym go, dlaczego właściwie te wędkę wtedy odniósł. Chętnie bym mu również pożyczył tej swojej wędkę albo dałbym mu ją nawet, żeby i on sobie nią solidnie połowił. Nie tylko przez jedną noc...

A później przez długi czas już w ten sposób z braciszkami nie wypuszczałem się na ryby. Horoskop się sprawdził. Pomieszania zmysłów dostałem ja, pięć lat spędziłem w zakładzie dla chorych psychicznie.

Ryb tam nie ma.

Jedynie królowie, cesarze, Napoleony, Chrystusy, Afrodyty, księżne Libusze i Dziewice Orleańskie.

Jak zginęliśmy na rybach

Po dobrych paru latach zdecydowaliśmy się znowu na naszą kawalerską eskapadę, tym razem wypuściliśmy się do Czech południowych, gdzie jest, jak wiecie, szeroki i błękitny widnokrąg i nawilgłe powietrze. Szmata czasu tam nie byłem, o Łużnicy i południowych Czechach, kiedy zapadłem na ciężką chorobę, mogłem jedynie marzyć. Łużnica i Czechy południowe wydawały mi się wtedy dalekie i niedostępne jak dajmy na to Honolulu. Z tym, że nigdy za Honolulu tak nie tęskniłem jak za Czechami południowymi, bo zawsze tam się czułem nadzwyczajnie i widziało mi się tam czeskie morze, od którego tylko krok jest do firmamentu.

Każdy z nas trojga twierdził, że tym razem musi złapać największą rybę swojego życia. Ja ponadto pragnąłem jeszcze raz w życiu ujrzeć Łużnicę pod Taborem, gdzie rzeka opływa łukiem Przybienice. Kiedy człowiek tam zamknie oczy, widzi, jak pędzą najodważniejsi Czesi, husyci, którzy każdemu dawali po łbie albo dużo niżej. Utkwił mi również w głowie jeden młyn, gdzie kiedyś także mi było nadzwyczaj dobrze i gdzie nałapałem masę ryb. Nazywał się Młynomieli czy jakoś tak. W pobliżu na łące miał wtedy letnią chałupkę niejaki pan Kotalik, motorniczy z Pragi. Kiedy płynęliśmy tamtędy z Długim Honzą, pasła się akurat na tej łące jego biała koza, a myśmy mu ją cichcem wydoili.

I te wszystkie piękne wspomnienia chciałem ożywić, kiedy z braciszkami jechałem w tamte strony popielatym combi. Jechaliśmy do pana Zemana, który znał dobrze te okolice. Pana Zemana zabraliśmy tam w umówionym

obejściu i ruszyliśmy dalej do jakiegoś młyna. Był to ten sam młyn, który mi niekiedy przychodził na myśl podczas mojego umierania, napisane było na nim nie Młynomiel, co nie miałyby żadnego sensu, ale Suchomiel. Że i bez wody miele. Bracia wołali na mnie, żebym już szedł do wozu, że pojedziemy jeszcze tylko kawałek, ale ja z tego miejsca nie mogłem się ruszyć, moje nogi przykleiło do ziemi szczególnie spoiwo i chciało mi się beczeć, no bo ujrzałem to swoje Honolulu, o którym myślałem, że już go nigdy nie ujrzę.

Z rana poszedłem łowić do tego rajy rybackiego. I nawet kartę rybacką tym razem miałem. Tylko że ryby biorą nie na kartę rybacką. Biorą na robaka albo na kielbia. Zarzuciłem kielbia, ale nic go nie chapsnęło, płynąłby do samej Pragi, a może nawet aż do Morza Północnego. Usiadłem w końcu na brzegu i patrzyłem na drugą stronę rzeki, to tam w różne miejsca zachodził na ryby tramwajarz Kotalik w swetrze i w szelkach. A na ramieniu niósł sak. I cicho kłął, zupełnie jakby wietrzyk dmuchał. Nigdy nic nie ułowił, po czym wracał do chałupki i mówił swojej staruszce:

- Znowu ryby nie biorą.

Nie złapał już nawet śliza, ręce mu się za bardzo trzęsły. A był z niego kiedyś dobry rybak. Nawet koza mu zdechła, i przed chałupką pozostały tylko słoneczniki. Gdyby tak mógł złowić złotą rybkę i dzięki trzem życzeniom osiąść nową łódź, nową chałupkę i nową kozę! Ale to było tylko w bajkach, złotej rybki nie złowili w Lużnicy nawet najlepsi rybacy.

Słońce świeciło mgławo i osowiale, jak świeci na jesieni, przed domkiem na drugim brzegu prała bieliznę młoda piękna kobieta w białym staniku. Wyciągnąłem się na rozgrzanym kamieniu, byłem podniecony, wyobraziłem sobie, jak do niej idę przez rzekę, podchodzę ociekając wodą i zdieram z niej ten stanik, i mówię jej, że to bez sensu prac w takim dniu, kiedy ja na Suchomiel przyjechałem. Ale nie uczyniłem tego. Brak mi na to odwagi i urody. Jeszcze bym dostał po pysku! W dodatku zrobiło się chłodnawo. Ryby nie brały. Pracza znikła. Kotalik znowu szedł powiedzieć staruszce, że jakoś nie biorą. Podrzemuję, to znów przypatruję się oknom w młynie, okna są ciemne, każde okno jedno oko. Zaczynam się bać i dobrze wiem dlaczego.

Młyn:

Gdzie podziały się ryby, które tu były?

Kto stąd zabrał piękny jaz?

Kto pozwolił tu postawić tyle domków?

Milczę, te ryby mam i ja na sumieniu. Wpatruję się w okna i zdaje mi się, że słyszę: Idź do diabła!

Z każdego okna mógłby wyrzeć diabeł, z każdego okna mógłby wywalić na mnie ognisty język. Pędzę do auta, które ciągle na mnie czeka, i jedziemy dalej, szukać innych młynów, które jeszcze są na chodzie. Dopiero na Neżarce znajdujemy taki młyn. Młynarz odstępuje nam jedną izbę bez żaren i bez łózek, w której będziemy przez tydzień niewypowiedzianie szczęśliwi.

Wypadamy nad rzekę, pewnie tu ryb będzie całe morze. Rzeka płynie niemal przez podwórze, mleka od krów i kóz jest tu obfitość i nalewa się je prosto z cycków. Woda jest głęboka, tajemnicza, od spodu podpływają bąbelki i zwycięzca wszystkich naszych konkursów rybackich, Hugo, jak zwykle twierdzi, że muszą tam być karpie jak małe wieprzki. Siedzimy na grobli, spadają liście i płyną omijając żyłki, które prują wodę. Co jakiś czas braciaszkowie spinningują leszcza płetwacza. Wyciągany z wody na światło jest srebrny i jak gdyby roztopiony. Leszcz przeważnie nie walczy z wędkarzem i jest w tym coś pięknego, bo wynurza się wytwornie jak *modes robes*, jak gdyby dama szła na bal. Nie stawia oporu, nie chce robić szumu i naruszać spokoju.

Na drugi dzień już mnie nie bawi to siedzenie na młyńskim podwórku z braćmi i kwokami, idę do Młotowni na szczupaki. Jest tam podobno wielki jaz, a pod tym jazem głębia, a w tej głębi szczupaki. Ale jest tam kawał drogi. Jurek mnie prosił, żebym mu kupił fajek.

Idę w górę rzeki, a w rzece jest srebro i złote liście. Idę sam i raptem zdaję sobie sprawę, że nie trąbią tu samochody, żeby zejść im z drogi, i nie dryndają tramwaje, żeby się cofnąć. I to jest główna przyczyna, że idę na szczupaki. Nie widzę braciaszków wyciągających leszcze, nie widzę nikogo, spostrzegam tylko bażanty, pod borem sarenki, a w powietrzu ptaka, co fruwa bezszelestnie. Patrząc na rzekę zgaduję, gdzie by tak mógł leżeć kleń, a gdzie by mógł się przyczaić szczupak. Ale ani razu nie zarzucam wędki. Idę już dobre kilka godzin. Ledwie powłóczę nogami, kiedy dochodzę do Młotowni. Gospoda jest zamknięta, z papierosów, braciaszku, nici, pragnienia też nie ugaszę. Cóż, idę jeszcze nad tę głębię. Jest to bite dwa kilometry drogi dalej, kiedy tam dochodzę, mam wrażenie, że chyba skonam. Siadam nad tą głębią i jestem tak doszczętnie wypompowany, że nie mam siły złożyć wędki. Toteż siedzę beczynnie dochodząc do siebie, po czym ruszam w drogę powrotną, która jest, jak wiadomo, zawsze o wiele dłuższa.

Przy drodze stoi kapliczka, w niej Matka Boska z porcelany, a obok źródło. Jakiś wieśniak mi powiedział, że tu jest najlepsza woda w okolicy. Ale że niby kto kłamie bez opamiętania, temu przy nabieraniu tej wody odpada ręka. I ja też czasem kłamie, nie chciałbym zostać bez ręki. Na wszelki wypadek nabieram lewą, jest mi mniej potrzebna. Ręka mi drży. Jakoś nic się nie stało, widocznie tak bardzo nie kłamie. Wlewam w siebie szklanę

za szklanką, woda mi cieknie po swetrze i koszuli. Woda jest rzeczywiście fantastyczna, orzeźwiająca aż do oszołomienia, na pewno najlepsza w tych stronach. Wypijam całe dziesięć szklanek, jedynie wzrokiem, tak jak umiem, dziękuję porcelanowej Dziewicy, że mi zostawiła rękę, i ruszam w drogę. Podśpiewuję sobie żeglarskie i rybackie piosenki i przed zmierzchem docieram do młyna. Braciszki jak ćwoki siedzą ciągle na brzegu przy młynie, mają pełne torby leszczy i pewnym siebie głosem pytają mnie:

- Co tam złapałeś?, - Nic. Szczupaki nie brały.

Więc znowu kłamię, nie przyznaję się, że w ogóle nie łapałem. A wieczorem rozmyślałam o tym, jaki to był niezwykły i piękny dzień.

Zbliża się dzień odjazdu. Zbieram właśnie w zagajniku za młynem żółte kurki, kiedy słyszę krzyk. Przylatują do młyna, ale już poniewczasie. Na brzegu leży karp wielki jak mały wieprz. Bąbelki nie kłamały. Złapał go Jurek. Kiedy wyciąga wielką rybę, zawsze woła o pomoc. Tym razem na pomoc pośpieszyli mu łódką młynarz z synem Emanem. Powpadali do wody, o mało co się nie utopili, zostawili otwarte drzwi do izby, wlały do środka kozy, zżarły śrut dla prosiąt, młynarka pomstuje, a Jurek biega po młynie, bo chce karpia zważyć. W końcu, kiedy mu się nie udaje znaleźć wagi, zaczyna wszystkich częstować śliwownicą. Z chlewka uciekł niezwykle jurny kozioł. Jurek nie posiada się ze szczęścia, rzuca się nam na szyję, my się cierpko uśmiechamy, jakoś nie podzielamy jego radości, gdzieś tam w najskrytszym zakamarku podświadomości budzi się w nas zawiść, że złapał takiego wielkiego karpia. Wkłada go do sadza, ale karp się w nim nie mieści razem z leszczami, więc je wyrzuca.

Jasna sprawa, chce go żywego dowieźć do Pragi. Wszystko już przemyślał. Przywiezie karpia do Pragi i ustali godziny składania mu wizyt, jak są godziny przyjęć u lekarza, żeby wszyscy przyjaciele, a zwłaszcza nieprzyjaciele, mogli przyjść popatrzeć. W pierwszej kolejności zaprosi wędkarzy, później niewędkarzy, będzie to program przynajmniej na trzy dni. Weźmie sobie na te parę dni urlop. Hugo musi zrobić wszystko, żeby karp dojechał do Pragi żywy. To przecież ponad sto kilometrów. Jurek obiecuje bratu sto koron, jeśli karp nie zaśnie. Na drugi dzień rano wszystko jest przyszykowane do drogi.

Młynarz, młynarka i Eman ustawiają się w szpaler. Młynarka zapomniała już o śrucie, który zżarły pazerne kozy. Do zdjęcia pamiątkowego karpia podtyka się pod sam obiektyw, żeby wyszedł większy, niż jest w rzeczywistości, co kompletnie się nie udało, i później Jurek nas zwymyślał.

Wszystko już mamy załadowane, jako ostatni wniesiony zostaje do wozu karp. Hugo w nadziei na tę obiecaną stówę czyni szczególne zabiegi, daje mu do pyszczki cukier namoczony w śliwownicy. Karp mlaska, śliwownica jest oryginalna, z Wizowic. Jest to podobno najlepszy sposób, żeby karp wytrzymał bez wody. Kiedy nie patrzemy, Hugo bierze karpia na ręce jak niemowlę i poi go z buteleczki rumem. Przed podróżą uspokaja go słowami:

- Ty nasza okruszynko.

Karp został owinięty mokrą szmatą i spowity pieluszką, którą nabyliśmy od wieśniaczki. Mnie się widzi, że jest już kompletnie urżnięty i że najchętniej wyskoczyłby na młyńskie podwórze, by zatańczyć na ognie i zaśpiewać:

"Jam ci jest ten karp z rzeki Neżarki."

Tymczasem nic z tych rzeczy. Zostaje położony obok mnie na tylnym siedzeniu. Mam obowiązek go doglądać i co jakiś czas polewać rzeczną wodą. Wszystko zostało przemyślane do najdrobniejszych szczegółów. Z olówkiem w ręku obliczyło się według rozkładu jazdy pociągów, jak szybko musimy jechać, żeby nigdzie nie natrafić na zamknięte szlabany. Jeść i pić mieliśmy podczas jazdy. Siusiac również podczas jazdy do puszki po ogórkach. Jurek jako kierowca musi wytrzymać aż do Pragi bez siusiania.

Startujemy.

Może to wielkie słowo, ale nasza jazda to prawdziwy wyścig Grand Prix. Jurek milczy, z uporem patrzy przed siebie, na rękach ma białe skórzane rękawiczki jak zawodnik. Obok niego siedzi Hugo, do jednego z najmocniej szych wędzisk przywiązał białą chusteczkę i od czasu do czasu macha przez otwarte okno. Ja co i rusz ciurkam karpowi wodę, ale mam wrażenie, że wołałby alkohol. Jurek trąbi, na razie jedzie świetnie, wyprzedzamy wóz za wozem. Wymijamy nawet wozy marek zagranicznych.

Kiedy otarliśmy się o ciężarówkę i wpadliśmy na przydrożny słup telegraficzny, wszystko rozprysło się w drobny mak. Zginęliśmy w ciągu kilkunastu sekund.

Funkcjonariusze z granatowego pojazdu, który w końcu nadjechał, ujrzeni kłębisko blachy, drutu i wędek. Nad tym wszystkim powiewała biała flaga kłęski. Następnie przyjechali ci z palnikami acetylenowymi. Zaczęli rozpruwać combi i po kolei nas wyjmować. Był to daremny trud. Kiedy się już tak z godzinę mordowali, przypatrujący się sierżant pochylił głowę nad tylnym siedzeniem, po czym radośnie wykrzyknął: .

- Chodźcie no, chodźcie. No proszę, nie na próżno się mordowaliście. Tutaj jeden jeszcze oddycha.

Rozgarnął szmaty i ujrzał naszą kruszynkę. Wziął ją na ręce i nogi się pod nim ugięły.

- Toż ten karp jest zalany w trupa - powiedział. - No, jeżeli tak spoił karpia, to jak oni sami musieli wyglądać. Po czym zapytał stojących wokół panów od acetyleny:

- Chce go który?

Zabzdryngolonego karpia nikt nie chciał. Przypominałby im tę katastrofę, która nastąpiła w pobliżu rzeki Lużnicy, do której wpływa Neżarka. Wobec tego sierżant z karpem na rękach poszedł ku rzece i złożył go do wody. Karp się ociągał, ale w końcu zaczął przebierać płetwami. Zataczając się trzeźwiął z wolna, po czym popłynął w górę rzeki do tego pięknego młyna Krkawec, gdzie miał swoje pielesze. A że droga była długa, podśpiewywał sobie:

"Jam ci jest ten karp z rzeki Neżarki."

Kiedy dopłynął na miejsce, rozповідаł wśród karpia, że był w prima sort gospodzie na kółkach, gdzie dawano za darmo śliwownicę, a także rum.

Jak nie zginęliśmy na rybach

Tylko że ta historia nie skończyła się tak, jak to przed chwilą odmalowałem. No bo jako kompletny nieboszczyk nie mógłbym tego wszystkiego napisać. Skończyło się to inaczej. Ten słup telegraficzny był od nas o włos, ale na szczęście go nie dziabnęliśmy. Dalej pruliśmy do Pragi machając białym proporczykiem i od czasu do czasu odlewając się do puszek po ogórkach. Już z przedmieścia Pragi Jurek zatelefonował do żony, żeby wymyła wannę "specjałem" i do pełna napuściła wody, bo wiezie karpia wielkiego jak cielę.

Przed dom przypruliśmy w samą porę, karp już robił bokami, i Hugo, który trzął się o przyrzeczoną stowę, stosował mu jakieś sztuczne oddychanie, poruszał skrzelami i z pysia do pysia wdmuchiwał powietrze. Zaraz go wpuścili do wypucowanej wanny. Karp się przekręcił na grzbiet, nie wiedzieliśmy, czy zdycha, czy jest po prostu zaprawiony. Dana z Jurkiem na zmianę podpierali go rękoma, żeby trzymał się prosto. Kiedy się wreszcie sam wyprostował i cokolwiek podpłynął, bo wanna była dla niego za krótka, Jurek wyjął stowę i wręczył ją bratu.

Jurek przymocował nad wanną własnoręcznie wymalowaną tabliczkę:

ZŁOWIONY NA SPINNING PODCZAS ŁOWIENIA LESZCZY NA KOTWICZKĘ, ŻYŁKĄ PIĘTNASTKĄ

Tylko prawdziwy rybak może docenić, że w taki sposób złowiony karp to prawdziwy skarb. Zaraz też Jurek zaczął wydzwaniać do Piotrów, Jarosławów i Włodków. Telefonował do wszystkich przyjaciół prawdziwych i do przyjaciół, o których sądził, że w gruncie rzeczy są nieprzyjaciółmi. Zawołał sąsiada z tej samej klatki, Jarde Mirka:

- Złowiłem karpika, chodź, zobaczysz.

Wszyscy mu gratulowali, wszyscy w głębi duszy mu zazdrościli. Ale to jeszcze nie byli wszyscy. Jeszcze karpia powinna zobaczyć Praga-Śródmieście, powinni go zobaczyć koledzy z pracy. Jurek otwierał okno, wietrzył i zmieniał wodę. Przypomniało mu się, że karp powinien coś jeść, przyszło mu do głowy, że na Vinohradach widział tabliczkę:

ZATRUDNIMY POŁAWIACZA WESZEK WODNYCH!

Pojechał na Vinohrady, ale weszek nie dostał, bo jak na razie żaden poławiacz się nie ujawnił. Dał do wywołania zdjęcie z młyna, ale stwierdził, że karp na odbitkach wyszedł mniejszy, niż jest w rzeczywistości. Mnie nawymyślał, a do braciszka w Kładnie napisał nie przebierając w słowach list oskarżycielski, że Hugo specjalnie zrobił takie zdjęcie, bo sam tak wielkiego karpia jeszcze nie złapał.

Jednego wielkiego karpia złapał nasz tatuś w Braniku, ale to miało całkiem inną otoczkę. Łowił w tej Pradze i łowił, i nic nie mógł złowić, więc w końcu dał mamusi pieniędzy na wielkiego żywego karpia, żeby mu go kupiła u Wańhy. Kiedy nikt się nie patrzył, nadział go na haczyk, i w ten sposób pokazał tym durnym wędkarzom znad Weltawy, jakie są w Pradze ryby. Na drugi dzień cała rzeka była obstawiona praskimi rybakami.

Karp mojego braciszka nie stronił od świata. Zaprzyjaźnił się z domową suczką Nike, która ma wygląd baranka. Wspinająca się na tylne łapy i mądrymi ślepiami śledziła jego majestatyczne ruchy. Ale niebawem z karpem Jurka zaczęło być kiepsko.

Widocznie Jurek zbyt często zmieniał mu wodę, a karp nie był przyzwyczajony do wody pitnej, chyba trzeba mu było mieszać ją z rumem.

Któregoś dnia Jurek wszedł do łazienki i stwierdził, że karp zdechł. Nie poruszał już skrzelami i nie otwierał pyszczki. Ale najciekawsze, że trzymał się prosto jak żywy. Opierał się płetwami o dno i stał tak całe dwie godziny, żeby Jurek mógł się jeszcze nacieszyć. Byli przecież przyjaciółmi. Jurek wziął nóż i zarznął

nieboszczyka, żeby było co jeść i żeby znowu mieć w domu od Dany trochę spokoju. Zrobili z niego filety. Nikt nic nie wiedział, że karp był śnięty. Filety porzysłał znajomym, tylko Hugo nie dostał nic. Ciągłe jeszcze był na niego okropnie wściekły za to, że na zdjęciach ten karp wyszedł trochę mniejszy. W rzeczywistości był dość spory, ale w oczach Jurka z upływem czasu bez przerwy rósł i rósł. Dziś już jest tak wielki, że nie objąłby go żaden aparat fotograficzny na świecie i w żadnej wannie świata by się nie zmieścił. Trzeba by było dla niego zbudować specjalny basen i przy fotografowaniu zastosować szerokokątny obiektyw.

Kiedy mój bratuńcio Jurek to przeczyta, powie, że przemawia przeze mnie błada zawiść. Nie złapałem dotąd ryby swojego życia. Ale Hugo weźmie moją stronę. Jemu od tamtej pory cały sprzęt rozpirzyły już na amen wszystkie spotkane wielkie karpie.

Buty made in Italy

Szalenie lubiłem Emila i od dawna już mu obiecywałem, że go wezmę na węgorze. Wziąć kogoś na węgorze to znaczyło dostarczyć mu serii niecodziennych doznań. Nocne połowy, nieznanymi drapieżcy, o których się mało wie, znakomite mięsko dla Emila i jego połowicy. Przygotowywałem go długo, zupełnie jak gdybym miał z nim lecieć rakieta na księżyc.

- No, Emil, we czwartek prujemy - powiadomiłem go ściszym głosem.

Zachowywałem konspirację, żeby ktoś ze znajomych do nas się nie przyfastrygował. Chciałem jechać z Emilem tylko we dwójkę.

Sunęliśmy fiatem prosto w szczeniące lata. Emil jechał powoli jak większość lekarzy, którzy nie pragną kolejnym wypadkiem przysparzać kolejnych nieboszczyków. Fiat mruczał jak kot. Emil palił lucky strike'i, a ja tylko powtarzałem:

- Pal. Napal się. Całą noc nie będziesz palił, tam nie wolno nam zapalić nawet zapalki, żeby nas nikt nie przyłapał. Zapamiętaj to sobie!

- Tak, całą noc nie będę palił.

I dodawał:

- Ani jednego lucky strike'a!

Niczego innego od niego nie chciałem. O węgorze ja się postaram. Emil jeszcze nigdy nie jadł porządnego węgorza.

Emil miał niewiele ponad czterdziestkę, do elegantów nie należał, ale dzięki smakowi i dbałości jego żony był nienagannie ubrany. Ta marynareczka w delikatną, nie rzucającą się w oczy kratkę, ten porządny wełniany sweter, odpowiedni dla mężczyzny w każdym wieku. No i to, co miał dziś na sobie najpiękniejsze - nowe buty made in Italy w kolorze dojrzałej pomarańczy i ze sprzączkami, jakie nosił już Cezar.

Mój znajomy przewoźnik uśmiechał się pod nosem, wiedział, że chodzi o węgorze. Pamiętał mnie jeszcze jako brzdąca. Dałem mu paczkę papierosów, co uczyniło go niemową, nikomu już by nie powiedział, że kogoś przewoził do raju węgorzy.

Jaki wspaniały był widok na tym odcinku rzeki! I ta Skala Szymów w tle, gdzie kiedyś przez godzinę złowiłem jedenaście węgorzy. Zobaczysz sam, Emilu, co ci będę opowiadał.

Robiło się już ciemno, półksiężyc nad rzeką ledwo prześwitywał, to dobrze. Rozpakowaliśmy wędkę, mieliśmy olbrzymią szansę na niezły połów. Nastąpiła pora bez papierosów lucky strike.

Zaczepiłem rybki przeznaczone dla większych węgorzy, na kilka haczyków nadziałem glisty, na które łakomią się mniejsze sztuki. Pozarzucałem piękne przynęty. Czas mijał, a wędkę ani drgnęły. Rybacy to znają dobrze.

Nic się nie rusza i nic się nie porusza.

Koło północy Emil zaczął błagać o papierosa.

Kurka wodna, przecież to doskonały lekarz! Czemu miałby sobie nie zapalić!

No więc pozwoliłem mu.

Z wolna przestało mnie cokolwiek obchodzić.

Nic nie brało. Emil zupełnie inaczej wyobrażał sobie łowienie ryb. Nazbierał patyków i rozpałił ognisko. Z początku baliśmy się nawet papierosa, a teraz nad rzeką płonęła watra! Było to zuchwalstwo. Ale Emil tego nie rozumiał, a mnie już było wszystko jedno. Siadł niemal w ogniu, grzał sobie nogi, aż wreszcie przysnął.

Z węgorzy nic nie wyszło. Licho wie, gdzie podróżowały. Chyba po raz pierwszy w życiu wpadłem na rybach we wściekłość. Że nic nie złowiłem, że niepotrzebnie Emila wyciągnąłem ze szpitala, gdzie był nieodzowny, no bo stale mieli za mało lekarzy. I to w dodatku tak świetnych jak on. Z tego wszystkiego zacząłem kłąć:

- Co za cholerny pech, ani jednej sztuki! Rozpirzyłbym je wszystkie w drobny mak. To potwory!

Nic, tylko zemściły się za ten dzień, kiedy ich tu złapałem jednaście! I to akurat dzisiaj, no! Zmije wodne! Zmije!

Zwinęliśmy manele i wróciliśmy brzegiem do fiata. Emil dał przewoźnikowi ostatnie pudełko lucky strike'ów i nie miał już co palić. Na drugim brzegu powiedział mi:

- Nie wyglupiaj się, nie bądź histerykiem. Kiedy byłem małym chłopcem, paśliśmy gęsi nad Malszą. To już będzie jakieś czterdzieści lat. I też łapaliśmy węgorze, i też nic nie złapaliśmy. Dzisiaj to powtórzyłem. Było to piękne.

Tak powiedział Emil, który widział cały świat, Amerykę i Borneo, Honduras i Wenezuelę. Zobaczył noc z czeskim niebem i gwiazdami i stał się znowu brzdącem przy trzaskającym ognisku. Pozbył się ostatniej paczki lucky strike'ów, tak że nie miał co palić, ale prowadził uważnie i bez pośpiechu. Patrzyłem, jak rozważnie jedzie, jak ze spokojem pozwala się wyprzedzać szaleńcom szos.

Obserwowałem pracę jego nóg. Nagle zamarłem. Czubki jego butów były nadwęglone i wystawały z nich skarpetki. Od dawna już wiedział, że upalił buty od żonusi. Ale między nami była wielka różnica. Ja ze spokojem przyjmowałem zwycięstwa, on ze spokojem umiał przyjmować klęski. Dlatego też zrozumiał, że tej nocy węgorze z nami wygrały, jak się wygrywa w sporcie. Po drodze zatrzymał się przed motelem. Zwrócił się do długonogiej kelnerki:

- Czy ma pani lucky strike'i?

Spojrzała na czubki jego butów, z których wyglądały skarpetki, i burknęła:

- Są tylko marice.

Dal jej suty napiwek i podziękował:

- To wspaniale.

Po czym zapalił maricę. W wozie się uśmiechał. Był znowu brzdącem przy ognisku, a nad nim było niebo. Bezskutecznie próbował policzyć gwiazdy. Była to pora, gdy nie odpowiadał jeszcze za życia swoich małych i dużych pacjentów i gdy matki nie przychodziły do niego z płaczem, żeby uratował jedyny ich skarb, dziecko.

Mijały nas samochody, niektórzy niedzielni kierowcy trąbili i klęli:

- Jedź, baranie!

A on z niezmiennym spokojem jechał dalej bez pośpiechu, lekko naciskał pedały, płynęliśmy raczej, niż jechaliśmy. Podczas wojny był kierowcą transportera, a także dżipa. Walczył na czołgu w Ardenach, razem z kumplami parli do przodu przeciwko faszystowskim tygrysom. Widział już tylu umarłych, że na tej białej szosie zabrakłoby miejsca, gdyby chciano ich tu ułożyć. Wiedział, że wielu z tych, co go wyprzedzają, pokpiwa sobie z niego, ma go za trzęsiportka, choć są to przeważnie kierowcy od siedmiu boleści. Przyznawał, że się boi. Nie o siebie, o nich. Nie chciał ich spotkać trochę dalej z rozbitymi głowami i poszarpanymi kończynami na jakimś słupie przydrożnym czy drzewie. Przynajmniej dzisiaj nie chciał mieć do czynienia z białymi opatrunkami, krwią, płaczem i bezsensowną śmiercią.

Pragnął mieć jak najdłużej w pamięci tę dzisiejszą noc na węgorzach, ten ogień, który pachniał białą akacją i szczenięciami latami.

Złote węgorze

Kiedyś przywiozłem z Amsterdamu pęczek wędzonych węgorzyków. Były cienkie jak młodziutki chrzan albo witki wierzbiny i chociaż nie były stare, były złote. Węgorzyki przewiązałem wstążką.

Kogo lubilem, temu wręczyłem złotego węgorza.

Pęczek był jednak mały, dla wszystkich nie starczyło.

U nas w domu wędzone węgorze nazywało się zawsze złotymi, mimo że nigdy takie nie były.

W piecu wędzarskim nabierały barwy ciemnych nocy i głębokiego dna morskiego.

- Czy kiedyś wreszcie złowimy złote węgorze?

Tak mawiał tatuś, ale chodziło mu o to, czy kiedyś nałapiemy tyle węgorzy naraz, żeby się opłacało iść do rzeźnika Franca Janoucha powiedzieć, że ma rozpalić akacjowym i śliwkowym drzewem, które kwitnie biało, i dosypać do ognia tarki jałowcowe. Zezowaty Franc obiecał nam trochę tego drzewa zostawić na podwórku do naszego prywatnego użytku. Tatuś i Franc powoli się starzeli i Janouch, kiedy mnie spotykał, nabijał się pytając, gdzie są te nasze węgorze ze złota.

Co jak co, ale węgorze usiłowaliśmy łowić bez żadnych lewych sposobów, jedynie na wędki. Zarzucaliśmy na granicy dnia i nocy, kiedy to zazwyczaj węgorze się łowi, i czekaliśmy na piękny znak białych chorągieweczek, aż nas oczy bolały od patrzenia. Czekaliśmy, aż drgną jak membrana i ruszą w górę na maszt wędziska. Na ogół czekaliśmy bezskutecznie, rzadziuchno chorągiewka jak białe psiak podskoczyła w górę. Przeważnie był

to jakiś samotny wędrowiec. Czasem złapaliśmy dwa, rzadziej trzy, przez cały wieczór. Trafiało się to raz na rok, jak raz na rok jest tłusty czwartek.

Spałem na strychu naszego domku, okienko przesłaniała koronka pstrych błyskotek jak w budach cyrkowych. Z zewnątrz padało światło księżycowe osiadając na załamaniach stropu pierzastymi strzałkami, przypominającymi lot białych ptaków.

Zszedłem na dół w pizamie, tatuś leżał na wznak, również nie spał. Klęknąłem przy jego łóżku i wyszeptalem natarczywe pytanie:

- Czy są w ogóle złote węgorze?

- Są. Ja ich nie widziałem, ale ty być może je zobaczysz. Odrywają się od dna i płyną całą lawą.

Złakomią się na wszystko, co im wtedy podsuniesz.

Zasnąłem uspokojony.

Po czym pracowałem pewnie z tysiąc dni i spałem pewnie z tysiąc nocy.

No i przypadła okrągła data urodzin mojego tatusia, a ja nie miałem co mu podarować, bo chyba wszystko już w życiu miał i nie tęsknił za niczym nowym. Żadne krzyki mody w sprzęcie rybackim go nie podniecały, nowego spinningu też nie chciał, wystarczyły mu stare, bo spisywały się jeszcze dobrze, nawijały i cichutko mruczały jak kołowrotki podczas przedzenia. Przyszło mi więc do głowy, żeby spełnić jego marzenie. Ponowić próbę złowienia złotych węgorzy. Pojechać do kraju dzieciństwa, gdzie jeszcze żyje stary przewoźnik wuj Proszek, który na pewno mi poradzi, jak je przydybać.

Znowu telepałem się ciuchcią.

Cztery dni i cztery wieczory chodziłem z Branowa nad Berounkę jak głupi i w końcu powiedziałem sobie, że się poddam jak Napoleon podczas przegranej bitwy pod Waterloo. Rzeka była nieprawdopodobnie martwa. Ciepła jak kawa. Nadawała się bardziej do kąpieli niż jakiegokolwiek połowu ryb. A niebo było. gładkie i wyblakłe jak rakownicze mydło. Bezszykownie chciałem wypatrzeć choćby małą rybkę, nic, tylko rybia ikra bawiła się przy brzegu w chowanego i w ciuciubabkę.

Zwijam manele dzień wcześniej! Ostatecznie nie ma co się wygłupiać z tymi złotymi węgorzami, które nie istnieją.

Rano wstałem jak zbity pies. Moje uszanowanie - niezłego łupnia dały mi te ryby. Cztery dni nad wodą, i guzik z pętelką. Na branowskim podwórku nakładałem na wędki zielone futerały. Z kuchni wylazł Proszek coś tam pogwizdując. Zwrócił się do mnie:

- No jak, chłopcze?

- Pakuję się, wujku. Nie bawią mnie już te gruszki na wierzbie. Przestało mi dopisywać szczęście na tej rzece.

Nic na to nie odpowiedział. Postąpił parę kroków, żeby lepiej widzieć niebo. Podciągnął sobie portki i popatrzył w przestrzeń nad lasami od strony Kourzymca, a potem potoczył wzrokiem po widnokręgu aż ku rzece. Zupełnie jak gdyby coś tam czytał piekielnie interesującego albo wsłuchiwał się w znajomy głos. Po czym zaczął kaszleć czy raczej się krztusić, miał astmę. W końcu splunął soczyście na kamienne podwórze. Powiedział pewnym siebie głosem:

- Idź jeszcze dziś nad wodę. A potem możesz się zabierać w diabły.

Z trzaskiem zamknął za sobą drzwi. Widać go mierziło, że nie potrafiłem czegoś zrozumieć. Idąc w jego ślady stanąłem na środku podwórka, nawet spodnie podciągnąłem jak on, zakaszałem i rozejrzałem się po widnokręgu. Nic tam nie widziałem. Wydawało mi się tylko, że niebo jest jakieś nabrzmiałe.

Wyjąłem wędki z futerałów i posłusznie poszedłem nad rzekę. Słońce mnie przygważdżało do drogi, raz po raz przed oczyma latały mi białe cętki, miałem wrażenie, że pada śnieg.

Nad wodą znów bezskutecznie próbowałem pozyskać na wszelkie sposoby przychylność ryb.

W końcu położyłem się w trawie nad jazem koło Skały Szymów. Doszczętnie już była postrzępiona dynamitem i zrudziała. Tuż za swoimi plecami spostrzegłem wyrwę pełną wody.

Obydwie wędki, i spinning, i wędka bez koła, wrotka, miały jako przynętę glisty, z tym że na tej drugiej doczepiłem jeszcze kiełbika. Glisty spokojnie kąpały się w wodzie, byłem więc pewien, że i dziś nic nie złowię. I tylko nie rozumiałem, jak Proszek mógł się tak kropnąć każąc mi iść nad wodę.

Naprzeciwno młyn nezabudicki wystukiwał rozklekotanym kołem starą śpiewkę, wyglądało na to, że mówi o czasach, które przeszły i już nie powrócą. Chwymano wtedy węgorze w ślep. Ślep to drewniane koryto z siecią o dużych okach, przez które węgorz wpływa, po czym wpada jak do beczki i już się stamtąd za żadne skarby nie wydostanie. Młynarz Czech złapał przed wojną w ślep węgorza, który ważył około sześciu kilo. Umieścił go w szafliku do parzenia prosiąt i ludzie ze wsi przyjeżdżali się na niego popatrzeć jak na boa dusiciela do cyrku. Nałowiono tu węgorzy całą furę, ale to już pieśń przeszłości. O tym powinniście wiedzieć, panie Proszek, skoro z was niekoronowany król rybaków. Tak sobie medytowałem, no bo nie pozostawało mi już nic innego. I

raptem wydało mi się, że świat zadrżał w posadach. Odwróciłem głowę i spojrzałem w niebo. Wyglądało na to, że za chwilę pęknie i rozstąpi się. Ściemniło się, rudawa skała pochyliła się nade mną.

Na starym kościele Świętego Wawrzyńca w Nezabudicach dzwoniło na południe.

Bim! Bam!

Była dwunasta.

Bim! Bam!

Spektakl się rozpoczyna.

Pęka firmament i sypie się ciemność. I zaświtało mi: święci schodzą na ziemię! Na lasy i rzeki spadają błyskawice prosto ze strzelb nieznanymi strzelców niebieskich. Któryś tam grzmoci w miedziane talerze. Z nieba runęły strugi. Wzburzyła się rzeka, po wodzie płyną bąble wielkie jak pięści. Drzewa się chwieją, oblatuje je strach, że mogą się złamać i umrzeć.

Gdzieś zachichotał ptak.

Nagle przypomniałem sobie o wędkach. Prysnęły oznaki spokoju, żyłki prują spieniony nurt, jak gdyby coś je zachłannie połykało. Ryba wzięła przynętę! Na spinningu rozwija się kołowrotek, a druga wędka huśta się jak ramię pompy, którą dostaliśmy od dziadka Novaka. Skoczyłem do mniejszej wędki i ciągnę w górę, żeby nie pękła. Ukazał się tajemniczy łepok węgorka. Machnąłem go przez trawę do tej wyrwy pełnej wody. Stąd już nie uciekniesz, uwalniam go z haczyka. Rzucam się do spinningu i podcinam. Znowu węgork! Na mocnej żyłce wyplusnąłem go na brzeg. Sam dosłownie się zerwał do tej samej kałuży, gdzie był tamten. Przywiązałem nowy haczyk. Ręce mi drżały z przejęcia, woda ciekła mi po twarzy. Trzeci węgork. Potem czwarty, już naprawdę złoty. Całe lata czekałem na tę chwilę.

Przyszły złote węgorze!

Jeden mi się zaczepił na dnie rzeki. Józio Wilk, który przybiegł tu z Łęgów i wszystko widział, pognął po łódkę. Siedziałem czekając na uwolnienie głównej wędki, straciłem dobrych dwadzieścia minut. Teraz już mi nie wolno zmarnować ani sekundy. Pod wodą musiały ich płynąć całe zastępy.

Zerwały się z dna jak stada antylop. Za każdym razem szły na przynętę i natychmiast brały jak wiecznie niesyte kokoszki. Może miały pietra, że nastaje koniec świata. Może ten koniec i nastawał, tylko jakaś siła go zażegnwała, Siódmy, ósmy, dziewiąty, dziesiąty, jedenasty.

Nic nie trwa wiecznie. Ani uroda, ani radość, ani ból. Niebo się zbliżniło błękitnym jedwabiem i zesłało na ziemię żółte promienie słońca. Burza przeszła, węgorze znikły.

Czy nie był to sen?

Czy nie było to przywidzenie?

Stałem nad kałużą patrząc na kłębiące się węgorze. Nie były ani wielkie, ani małe. Były w sam raz.

Więc z tymi złotymi węgorzami to prawda. Załadowałem je do torby i pognąłem do Branowa przez wzgórze macierzanek. Proszek stał przed progiem podkręcając marsowego węża i uśmiechał się lisio.

Wracałem do domu ciuchcią przez Beroun i Karlsztejn i nie dawało mi spokoju, po czym poznał Proszek, że był to ten najważniejszy dzień. Widocznie w łowieniu ryb decydująca jest pogoda. A głównie ciśnienie powietrza i zmiany. A do tego jeszcze drgawki w oku, astma i pobolewanie nagniotków. Z góry wiedział, na co się zanosi w powietrzu, niepotrzebne mu było do tego radio i biuletyny meteorologiczne. Kiedy tak się nad tym dobrze zastanowiłem, to w gruncie rzeczy te węgorze sprezentował na urodziny mojemu tacie wuj Proszek. Ja tylko je podcinałem i ciągnąłem z wody.

Węgorze zaniósłem na ladę rzeźnikowi Francowi. Oczy mu zazezowały.

- Więc jednak je złapałeś. Jest ich cała jedenastka jak na boisku letenskim. Po uwędzeniu będą jak poemat.

Janouch był wielkim zwolennikiem klubu Sparta, ale Sparty swoimi przyślepymi oczyma już dawno nie widział, słyszał tylko, jak pokrzykują na stadionie albo w radio. Nade wszystko kochał starą gwardię, Żelazną Spartę, i te niezapomniane chwile, gdy jasnokędzierzawy rezerwowi, złotowłosa primadonna Sparty Kada, pruć do przodu z piłką przy nodze i czeskim zawijasem miękko podawał ją Wackowi Pilatowi. I za każdym razem zasłuchiwał się, jak gdyby słyszał skandowanie dziesiątków tysięcy na cześć tamtej Sparty, niepokonanej i żelaznej.

Węgorze zatem będą jak poemat któregoś z najlepszych czeskich poetów. Będzie w nich morze, księżyc, rzeka, śmierć. I słońce, którego nienawidzą. Będzie w nich przyprawa z luksusowych biesiad, jakie wyprawiały wśród chmurnych nocy, i będzie w nich głód postu i nieskończonych wędrówek.

Tymczasem u pana Rouska w sklepie żelaznym kupiłem za dwanaście koron złotą tandetną tacę. I wyruszyłem po uwędzone węgorze.

19 lipca.

Wszystko było przygotowane na urodziny tatusia. Żółte róże na stole, biały koronkowy obrus, a przy nim czysty tatuś, którego mamunia wyszorowała od stóp do głów szczotką ryżową. Rosół z wołowiny z lanymi kluseczkami i kurczak z kartofelkami.

Morelowy kompot i beczkowe piwo od Hartmanów. Zanim zaczęto podawać do stołu, odezwałem się skromnie:

- Miałbym przystawkę.

- Dawać ją tu! - wykrzyknął rozpromieniony tatuś. Spodziewał się pewnie szynki albo serdelków z cebulą.

A tu ja wniosłem z szopy swoją jedenastkę złotych węgorki na tacy przewiązanej piękną wstęgą w niebiesko-żółto-czerwonych barwach Sparty, którą mi upiął w kokardę pan Franc Janouch. W mojej duszy rozbrzmiewały fanfary, a serce w rytmie tłukących blach skandowało "Sto lat". Wiedziałem, że sprawię tatusiowi wielką radość, bo złowiłem je ja, jego syn, czyli jakby je złowił on sam. I nie pomyliłem się. Postawiłem złotą tacę przed tatusiem i jeszcze przybrałem ją trzema cytrynami z hiszpańskiego południa, wyciągniętymi z kieszeni. No bo do wędzonych węgorki obowiązkowo trzeba kapnąć cytryny, inaczej nie byłby to ten prawdziwy cymes, to niebo w gębie, ten poemat. Z okien świeciło na stół słońce, i nie tylko taca, ale i węgorki mieniły się złotem. Zrobiły się nagle złote jak złoto na koronie królewskiej albo na skarbach Tutenchamona. Tatuś był oszołomiony, krzyknął w stronę kuchenki do mamy:

- Herminko, nasz chłopiec złapał złote węgorki!

I zaraz zaczął płakać, wierny zasadzie, że płacz jest równie piękny jak śmiech. Ten jego płacz nie trwał nigdy długo. Rozkroił hiszpańską cytrynę i powąchał ją, tak jak się wacha różę. Kiwnął głową. Z Hiszpanów był zadowolony. Wziął na widelec pierwszy kęs węgorka, ugryzł i zrobił taką minę, jakie w późniejszych latach robił Louis de Funes, kiedy w Saint-Tropez zwolniono go z pracy w policji. Teraz dopiero popłynęły tatusiowi prawdziwe łzy. Ze wstrętem wypuł miazgę węgorka na koronkowy obrus i powiedział:

- To nie jest do jedzenia. Tuman z tego Francka. Miał hojną rękę, w dodatku jeszcze pewnie myślał o tej swojej sławnej Sparcie. Te węgorki zasolił na śmierć.

Powiedział to i zaraz zaczął jeść rosół z wołowiny z lanymi kluseczkami. Przy tym pomlaskiwał dając do zrozumienia, jak mu smakuje.

Chyłkiem wycofałem się do szopy i już nie wiedziałem, czy powiesić na haku węgorki, czy siebie. W końcu ustąpiłem miejsca węgorkom. Wisiały tam długo i nikt nie zwracał na nie uwagi. Wyszły na kość, zostały z nich łby i skóry, które się kołysały na wietrze jak wisielcy, kiedy tylko szopa była otwarta. Postanowiłem pochować je jak ludzi. Zakopałem je przy źródle pod brzozą, skąd był widok na rzekę i ich wodny szlak ku Morzu Sargassowemu. I zaświtało mi wtedy, że uśmiercić rybę to chyba nic złego. Ale nie zużytkować jej - to doprawdy straszne. Jak gdyby śmierci i rozkładowi ulegały tylko te z nich, które zagrzebuje się w gnoju, wyrzuca do śmietnika albo którym kopie się gdzieś tam grób.

Był to zatem grób moich złotych węgorki. Grób całkiem niepotrzebny, taki, jakie zdarzają się nie tylko rybom i ptakom, ale także ludziom.

Z biegiem czasu umarł Franc Janouch, rzeźnik i wędliniarz CK mocarstwa, a później CSR, a jeszcze później CSRS. Janouch, któremu nigdy nie powiedzieliśmy, że te węgorki przesolił. Wręcz przeciwnie, kiedyś mu oświadczyłem, że były jak poemat Frani Szramka. Chciał wiedzieć, który utwór mam na myśli, na to mu powiedziałem: *Śluza*.

Odszedł Proszek. Przewozili go w trumnie na jego najukochańszej łodzi, a pod tą łodzią płynęła honorowa warta srebrnych ryb. Płakałem wtedy na brzegu jak nigdy dotąd i nie był to płacz piękny jak śmiech.

Tylko tatuś ciągle jeszcze dzielnie się trzymał w ogrodzie świata i na starość powędrował na zachód.

Na zachód od Pragi, do pobliskiego Radocina, gdzie za sumkę wytargowaną za letni domek kupił sobie chałupinę postawioną ot tak, żeby tylko nie spaliło jej słońce i nie zdmuchnął wiaterek. Miał ogródek z truskawkami i jabłonią, na których porozwieszał budki dla szpaków. W ogródku sklecił sobie na dodatek pyszałkowatą chatynkę, niemal że na kurzej łapce. Mówił na nią norka albo nabzdyczka. Zasztywał się w niej, gdy miał powyżej uszu całego świata i mamuni. Stamtąd nam wymyślał, że go nie szanujemy za to, co dla nas zrobił.

Na szczęście paręset metrów od parkanu pluskała mu jego rzeka Berounka.

Ze swoim kompanem Wackiem Hajkiem wybetonował w ogródku kwadratowy basenik na ryby. I jak miałem się wkrótce przekonać, głównie na węgorki. Sądziłem, że ta cała historia skończy się przesolonym fiaskiem, ale gdzie tam, miała się jeszcze ciągnąć długo, i to z dużo większą intensywnością.

W Radocinie koło transformatorów na przedmieściu panował wtedy bardzo ciekawy klimat rybacki. Na wysłużonym garnku siadywał tam z wędką staruszek Braindl, kawałek dalej łowił Alojzy Purchart, który wbrew głośnym protestom miejscowych kobiet z lubością latał po nocy w kalesonach wygrzebywać w ogródkach glisty, zachodził tam i cwany rybak Wodolan. No i przybiegał też zawsze jamnik Hajka, Ferdek,

niuchając i wyjadając wędkarzom najsmakowitsze kęski surowego ciasta, przeznaczone dla ryb. A przede wszystkim jeździł tam mój tatuś, zwiariowany na punkcie węgorzy. Razem z tatusiem wędkował od czasu do czasu Wacek Hajek, który miał piękne ciało i umiał wspaniale pływać, toteż kiedy się komu haczyk zaczepił na dnie, Wacek zupełnie gratis nurkował i uwalniał go. Żwiru tam było dużo więcej niż ryb, i tatuś, ledwo tam przypedałował któregoś wieczora na rowerze ciągnąc z tyłu wózek na ryby, zahaczył zaraz o dno i pomstował:

- To ci rzeka!

- To dopiero jest rzeka!

- Jasny gwint, to jest przeklęta rzeka!

Po czym się zawiązał:

- Mam amerykańską żyłkę USA. Nią i dno wyrwę.

Zaparł się nogami i przy głośnym dopingu innych ciągnął i ciągnął kamienie i dno. Z okolicznych domów zaczęto im wymyślać, żeby byli cicho, bo pracujący ludzie nie mogą zasnąć. Jeśli co wieczór będą tu takie wrzaski, to pójdą ze skargą na milicję albo do rady narodowej.

Dna jednak wyrwać się nie dało i tatuś zawołał:

- Wacku, to draństwo wciąż mnie trzyma. Podpłyn no.

Wacek się rozebrał, zrobił parę przysiadów, wziął na odwagę i hops. Wkrótce się przekonał, że tatuś ma tak mocną żyłkę, że mógłby na niej ciągnąć wodną krowę. Nic więc dziwnego, że takiej żyłki made in USA nie mógł urwać. Wacek dał nura niczym wydra i odczepił haczyk od kamienia. A skoro już był w wodzie, to sobie popływał. Ryby się przepłoszyły, toteż na razie się nie zarzucało lub nie zwracało uwagi na wędkę. Zaczęli opowiadać sobie kawały, nagadali się i naśmiali co niemiara.

Na ogół jednak podchodzono do sprawy poważnie.

Tatuś wpadł na nową teorię. Musi nałapać z parę setek albo i tysięcy glist. Posieka je dla węgorzy w drobny mak, wrzuci do wody i w tym miejscu będzie łowił. W ten sposób złapie węgorza. Ale najpierw trzeba było łapać glisty. Chodzili we dwójkę z mamunią rośnymi nocami, pochyleni i z latarkami w rękę, przepatrywali grządkę za grządką w ogrodnictwie Novaków, a gdy natknęli się na glistę, za łepkę ją i do puszki. Bolały później oczy i krzyż. Chciało się spać, no bo wypuszczali się dopiero wtedy, gdy już normalni ludzie posnęli. W dodatku tatuś był po ciężkiej operacji i z oczu mu ciekły jakieś paskudztwa i łzy. Mama skarżyła się, że już tego nie wytrzyma, i powtarzała tatusiowi, że powinien być sobie wziąć zupełnie inną mamę. Tatuś ją przekonywał, że musi wytrzymać, i wygłaszał mowy agitacyjne. Mamunia jednak po paru dniach powiedziała mu adju i pozostała w domu, a on snuł się po nocy ze światłem samotnie jak Latający Holender.

Ody miał już dostatecznie dużo glist, wypuścił się nad rzekę rowerem ciągnąc z tyłu wózek. Nie wierzył już, że napatoczą mu się złote węgorze, i zaczął łowić węgorze samotniki.

Wkrótce dostałem od niego wiadomość, żeby przyjechać do Radocina. Przywitał mnie ogolony i w podniosłym nastroju. Posadził na oszklonej werandce, gdzie stół był już nakryty koronkowym obrusem i leżał na nim nóż i widelec.

Tatuś rozwinął przede mną długi pergamin, okopcony świeczką jak w nocnym barze. Wziąłem go do ręki i ujrzałem wypisane 42 dania z węgorza.

Oto one:

Angielski pasztet z węgorza

Węgorz po angielsku

Węgorz Beaucairois

Węgorz po wenecku

Węgorz Benedykt

Węgorz Bonvalet

Węgorz à la bordelaise

Węgorz burgundzki

Węgorz Durand

Węgorz Fines-herbes

Węgorz po flamandzku

Węgorz po francusku

Węgorz po hambursku

Węgorz Helly

Węgorz smakoszowski

Węgorz po młynarsku

Węgorz na różnie .

Węgorz na maśle

Węgorz na błękitno
Węgorz w śmietanie
Węgorz po niemiecku
Węgorz po normandzku
Węgorz po parysku
Węgorz pieczony w popiele
Węgorz prowansalski
Węgorz w sosie homarowym
Węgorz z szyjkami rakowymi
Węgorz ragôut
Węgorz Robert
Węgorz à la Rouennaise
Węgorz à la russe
Węgorz po rzymsku
Węgorz w sosie holenderskim
Węgorz smażony
Węgorz St. Menehould
Węgorz po suffrańsku
Węgorz po hiszpańsku
Węgorz po tatarsku
Wędzony węgorz smażony
Węgorz à la Wilhelm
Węgorz Villeroi
Węgorz w potrawce

Przeczytawszy to, wreszcie zrozumiałem, dlaczego węgorze płyną nocą i w dodatku przy samym dniu. Mają na nie chrapkę najlepsi kucharze i smakosze całego świata. Niekiedy płacą za nie nawet złotem.

Tymczasem tatuś wrócił przepasany fartuchem niosąc nagrzaną talerz jak w lokalu kategorii S. Następnie wkroczył z patelnią, na której złożyły się skórki pokrojonego na porcje węgorza. Uśmiechnął się przepraszająco i cicho powiedział:

- Czterdzieści jeden dań. z węgorza zostało już sprzedanych. Jest tylko ten na maśle.

A ja na to odparłem:

- Tego najbardziej lubię, tatusiu.

I zabrałem się do jedzenia.

Posypał tego węgorza zieloną pietruszką ze swego ogródka, toteż pachniał ogródkiem, kwiatami truskawkowymi. które kwitły w pobliżu tej pietruszki. Siedział i patrzył na mnie czekając, aż skończę. Spalaszowałem go całego, dawno już nie jadłem tak fantastycznego węgorza. Powiedziałem, że był jak poemat, i tatuś był szczęśliwy jak dziecko.

Łapał węgorze i trzymał je dla mnie żywe w baseniku, a ja nie mogłem zrozumieć, dlaczego nie zaprasza na nie również kogoś innego, na przykład moich braci. Po złapaniu węgorza dawał mi zawsze znać. że bym przyjechał. Przyjeżdżałem i tylko jeden raz wziąłem ze sobą kumpla. który miał wówczas jakieś kłopoty, i chciałem, żeby ten węgorz mu je rozproszył. Za każdym razem rytuał był ten sam. Przepisany skądś wykaz dań z węgorza na pergaminie. Węgorz na maśle. Pochwały. Zachwyty. Papieros. Chłodzone białe wino. Potem do ogródka na dojrzałe truskawki i na pogaduszki.

Od radocimskich rybaków dowiedziałem się, ile wieczorów spędził tatuś nad Berounką. Setki godzin po ciemku, kiedy już źle widział, a bezpańskie psy poszły sobie gdzieś spać. Sterczał tam jak samotny włóczęga i samotne włóczęgi łowił. Nigdy do niego nie przyszły złote węgorze, nigdy to szczęście do niego się nie uśmiechnęło. Jak gdyby to była gra. Miał szczęście w miłości. Do ryb w ogóle nie miał wielkiego szczęścia. Swoje ryby zawsze musiał wysiedzieć, i to twardo, kamień, na którym siedział, wkleśł pod nim przez ten czas, jak pod działaniem płynącej wody.

Znowu dostałem wiadomość, że bym przyjechał na kolację. Wszystko odbyło się jak zwykle. Ale nie tak zupełnie wszystko. Tatuś mi się widział bardziej uroczyście. Kiedy skończyłem jeść i uśmiechnąłem się do niego, nie dopuścił mnie do głosu, sam powiedział:

- To był, przyjacielu, ten jedenasty.

I dopiero wtedy wszystko zrozumiałem. Jak mogłem być taki tępy? Po prostu zwrócił mi tę jedenastkę węgorzy, chciał spłacić wszystkie długi przed odejściem na tamten świat.

Z Trzebotowa zawiadomiono nas telegraficznie, że nie żyje.

Powiedziałem mistrzowi ceremonii pogrzebowej, że nie będzie żałował, jeśli to dla mnie zrobi. Wiem, że tego się nie powinno. Wcisnąłem mu do ręki puzderko porcelanowe z wieczkiem. Na białym tle była namalowana czerwona róża, maciupenka jak rajskie jabłuszko. Poprosiłem go, żeby do puzderka nasypał po kremacji garsteczkę popiołu.

Za jakiś czas puzderko otrzymałem z powrotem. Udałem się z nim nad Berounkę, najukochańszą rzekę tatusia. Dmuchał lekki wietrzyk, po szosie biegał jamnik Ferdek majtając uszami. Poza tym nie było żywej duszy. Usiadłem w kucki nad głębią, w której tata najczęściej złapał węgorzy. Wyjąłem puzderko z różą i wysypałem tę garsteczkę na pograniczu ciszy i rwącego nurtu. Parę pyłków poszło na dno, reszta popłynęła z prądem. Pragnąłem, żeby go rzeka zaniosiła do pięknych i ciepłych mórz, gdzie by mu nigdy nie było zimno, tak jak jest czasem zimno ludziom na tej planecie, która jak pstra karuzela toczy się i toczy w kółko.

Podnoszę głowę i widzę wielkie ptaki, białe łabędzie. Machają skrzydłami i lecą na zbraslawski zamek, gdzie łączy, śmiech i ludzie pozamieniali się w posągi.

Epilog

Dostałem pomieszania zmysłów na zimowej olimpiadzie w Innsbrucku. Mózg mi się zaćmił, jak gdyby spłynęła mgła z Alp. Zobaczyłem pewnego pana jako diabła w całej okazałości, miał rogi, kopyta, sierść i wiekowe spróchniałe zęby. Potem poszedłem w góry nad Innsbruckiem, żeby podpalić zabudowania wiejskie. Byłem przekonany, że taka wielka jasność rozproszy mgłę. Wyprowadziłem już krowy i ogiery ze stajni, żeby nie spłonęły, kiedy dopadła mnie austriacka policja. Założyli mi kajdanki i poprowadzili w dolinę. Wymyślałem im, zdarłem z nóg buty i szedłem po śniegu boso jako Chrystus, którego prowadzą na krzyż.

Wysłano mnie przez Dworzyszczę do praskich lekarzy.

Ten pierwszy okres nie był dla mnie osobiście straszny, był straszny dla moich bliskich, którzy mnie obserwowali. Właściwie to czułem się błogo i wykonywałem wszystko z pasją i przekonaniem. Czasem to nawet było przyjemne, pięknie jest być błogosławiącym Chrystusem.

Najgorzej, gdy za pomocą proszków doprowadzą człowieka do stanu, w którym zdaje sobie sprawę, że jest wariatem. Oczy zasnuwa smutek, człowiek już wie, że nie jest Chrystusem, ale biedakiem, któremu brak zdrowych zmysłów, czyniących z człowieka człowieka. Siedzieć trzeba za wzmocnionymi kratami, choć nikogo się nie zabiło i nikogo nie skrzywdziło. Jest się skazanym bez sądu. Ludzie na zewnątrz sobie żyją i zaczyna się im zazdrościć.

Tylko cudem można z tego wyjść. Pięć lat czekałem na ten cud. Siedzisz samotnie na krześle przez całe tygodnie, miesiące, lata. Nie mogę twierdzić, że cierpiałem jak zwierzę, bo nikt nie wie, jak zwierzę cierpi, choć tak często o tym opowiada się i pisze. Wiem tylko, że cierpiałem potwornie, tego nie da się wypowiedzieć. A zresztą nikt by w to nawet nie uwierzył, ludzie nie chcą słyszeć o tej chorobie, bo się jej strasznie boją.

Kiedy czułem się lepiej, myślałem o tym, co było w życiu najpiękniejsze. Nie myślałem o miłości ani o tym, że się włóczyłem po świecie. Nie myślałem o nocnych lotach przez oceany ani o tym, jak grałem w praskiej Sparcie w kanadyjskiego hokeja.

Chodziłem znowu na ryby - nad potoki, rzeki, stawy i przegrody. I uzmysłowiłem sobie, że najpiękniejsze, co na świecie przeżyłem, to było właśnie to.

Czemu owe chwile były najpiękniejsze?

Nie potrafię tego jasno wytłumaczyć, ale starałem się znaleźć odpowiedź pisząc moje wspomnienia. Wiem, że nie zawsze przychodziło mi na myśl, gdzie jaką rybę złowiłem i ile miała od pyska do ogona, ale przypominało mi się wszystko, co się z rybami wiązało. Przede wszystkim, jak szedłem czy jechałem na ryby. Na Żeliwce jeździłem nad potok z pstrągami rozklekotanym rowerem, kiedy ludzie jeszcze spali. Wszystko było jak w olbrzymim teatrze przyrody. Trawa i pola lśniły od rosy, śpiewały ptaki, a pod lasem pasły się sarenki, które już mnie znały. Kiedy dojeżdżałem do tego pięknego potoku, byłem pełen pokory, nabierałem wody w dłoń i miałem ochotę się przeżegnać, ale nigdy tego nie zrobiłem. Przypomniała mi się stercząca nad Janowem tama, gdzie ze swoją mamą Herminią łapałem pstrągi wielkie jak karpie, a woda była zielona jak trawa na łąkach niebieskich, o których marzyłem. Najczęściej przychodziło mi na myśl Krzywoklackie. Młyn Nezabudicki z nie gasnącym nigdy światelkiem, które jaśniało kłusownikom i żandarmom. Tajemnicze węgorze z gadzimi oczkami, ciągnące tędy jak opętane w swojej wędrówce z mórz i oceanów. Ciekawe, że wiele rzeczy z mego życia się ulotniło, ale ryby w nim pozostały. Były związane z przyrodą, wśród której nie telepie się ludną ulicą śmiesznie podrygujący tramwaj cywilizacji. Dzisiaj już wiem, że wiele ludzi chodzi nie tyle na ryby, co żeby

móc jak w dawnych czasach pozbyć się samotności, posłuchać krzyku ptaków i zwierząt i szelestu spadających liści jesiennych. Kiedy tam tak powoli umierałem, widziałem przede wszystkim rzekę, która w moim życiu znaczyła najwięcej i którą kochałem. Kochałem ją do tego stopnia, że zawsze przed łowieniem nabierałem jej wody w muszlę dłoni i całowałem ją, jak się całuje kobietę. Potem resztę wody rozbryzgiwałem po twarzy i dopiero wtedy składałem wędkę. Przede mną płynęła rzeka. Niebo człowiek widzi, las może przepatrzyć, ale prawdziwej rzeki nigdy się nie przejrzę. Do prawdziwej rzeki zagląda się jedynie wędką.

Kiedy tak czasem siedziałem przy zakratowanym oknie i łowiłem we wspomnieniach ryby, było to piękne aż do bólu. Musiałem wówczas odwracać się od tego piękna i myśleć, że na świecie są również brudy, paskudztwa i mętne wody - po to, żebym nie tęsknił za wolnością.

Wreszcie doszedłem do tego właściwego słowa: wolność. Rybołówstwo to przede wszystkim wolność. Iść całe kilometry za pstrągami, pić wodę ze źródeł, być samotnym i wolnym przynajmniej godzinę, dzień albo nawet tygodnie i miesiące. Wolnym od telewizji, gazet, radia i cywilizacji.

Dziesiątki razy chciałem odebrać sobie życie, gdy już nie mogłem dłużej wytrzymać, ale nigdy tego nie zrobiłem. Pewnie w podświadomości pragnąłem jeszcze jeden raz pocałować usta rzeki i łowić srebrne ryby. To właśnie jako rybak nauczyłem się cierpliwości, a wspomnienia pomagały mi żyć.

Ota
Pavel

Śmierć pięknych saren



swiat reoracki

012

biblioteka